

# Marzec 68

Referaty z sesji  
na Uniwersytecie Warszawskim  
w 1981 roku

Publikacja non profit, nieprzeznaczona do sprzedaży, wydana ze środków przyznanych  
Stowarzyszeniu Otwarta Rzeczpospolita przez Fundację im. Stefana Batorego w ramach programu  
„Dla tolerancji”



**FUNDACJA**  
IM. STEFANA **BATOREGO**

# 68 Marzec

Referaty z sesji  
na Uniwersytecie Warszawskim  
w 1981 roku



Stowarzyszenie przeciw Antysemityzmowi i Ksenofobii

[www.or.org.pl](http://www.or.org.pl)

Projekt okładki

Michał Braniewski

Redakcja tekstów i noty o autorach

Marek Gumkowski, Maria Ofierska

Teksty referatów wygłoszonych na sesji „Marzec 68” w dniach 8, 11, 13, 18, 20, 21, 22 i 23 marca 1981 r. podajemy w wersji ogłoszonej w wówczas w wydawnictwach „drugiego obiegu”, z drobnymi poprawkami językowymi i interpunkcyjnymi. Wprowadzenie Andrzeja Friszkego *Sesja marcowa 1981* zostało napisane w 2008 r. specjalnie dla tej książki. Wszystkim Autorom lub innym właścicielom praw autorskich składamy podziękowania za wyrażenie zgody na publikację tekstów.

*Spis treści*

- str. 7 *Andrzej Friszke*  
Sesja marcowa 1981
- str. 15 *Jacek Kuroń*  
Między Październikiem '56 a Marcem '68
- str. 29 *Kazimierz Dejmek*  
Casus „Dziady”
- str. 51 *Andrzej Braun*  
Co się działo na Nadzwyczajnym Walnym Zebraniu  
Oddziału Warszawskiego ZLP
- str. 57 *Jan Lityński*  
Jak doszło do wydarzeń marcowych
- str. 71 *Jan Walc*  
Ruszamy z posad bryłę świata
- str. 77 *Zbigniew Bujak*  
Robotnicy 1968
- str. 85 *Jerzy Jedlicki*  
Organizowanie nienawiści
- str. 103 *Andrzej Drawicz*  
Marzec w prasie PRL
- str. 117 *Kazimierz Wóycicki*  
Młodzież, Kościół, Marzec
- str. 123 *Stefan Amsterdamski*  
Marzec w filozofii i filozofia Marca
- str. 141 *Władysław Krajewski*  
Skutki Marca dla filozofii polskiej
- str. 151 *Jan Józef Lipski*  
Kwestia żydowska
- str. 173 *Adam Michnik*  
Dziedzictwo Marca
- str. 183 *Krzysztof Wolicki*  
Dziedzictwo Marca



## Andrzej Friszke

### Sesja marcowa 1981

Nie była to konferencja podobna do tych, jakich wiele odbywa się w każdym roku akademickim. Odbywała się w trakcie pokojowej rewolucji „Solidarności” i była jednym z jej przejawów. Wśród wielu celów zapoczątkowanego Sierpniem '80 ruchu społecznego było pragnienie odzyskania pamięci i tradycji, zwłaszcza tych najnowszych. Historia minionych dziesięcioleci była w PRL nieobecna, nawet nie tyle zakłamana, co skazana na całkowite zapomnienie. Nie istniały książki o zniewoleniu Polski w 1945 r., stalinizmie, o roku 1956, o buncie studentów w 1968 i robotników w 1970 r. O polskich miesiącach nie było wzmianek w podręcznikach, artykułów w gazetach. Pamięć o niedawnej przeszłości przywracały w końcu lat siedemdziesiątych jedynie wydawnictwa drukujące poza cenzurą, w ograniczonym siłą rzeczy nakładzie. Pragnienie wiedzy o najnowszej historii było więc jednym z oczekiwań odradzającego się po Sierpniu społeczeństwa. Chodziło o odzyskanie pamięci, zbudowanie własnej tożsamości przez odwołanie do dat i zdarzeń, kiedy upominano się o prawo samostanowienia i rzucano wyzwanie dyktaturze. Chodziło o pozytywne symbole, ale też o nazwanie nieprawości i zbrodni oraz upamiętnienie ich ofiar oraz – jeśli było to możliwe – naprawienie krzywd. Jak silne były to potrzeby, świadczy żądanie robotników Stoczni Gdańskiej, by wzniesić pomnik poległych w grudniu 1970 r., a następnie zbudowanie w ciągu trzech miesięcy pomnika – trzech krzyży.

Dla środowisk akademickich – zarówno „Solidarności”, jak i Niezależnego Zrzeszenia Studentów – najważniejszą tradycją wolnościową był Marzec 1968 roku. Były to wydarzenia odległe zaledwie o 12 lat, ich sens i przebieg był jednak całkowicie zakłamanym przez propagandę, a następnie uznany za tabu i objęty milczeniem. Na uczelniach obecnych było wielu uczestników marco-

wego buntu, ale także jego pogromców. Przez lata o 1968 roku nie wspomiano, rzadko powracano do tych wydarzeń nawet w prywatnych rozmowach. Marzec funkcjonował więc w pamięci jako mglisty mit.

Marzec 1968 roku miał kilka wymiarów. Był największym w PRL buntem studentów i intelektualistów, upominających się o wolność i praworządność. Towarzyszyła mu wielka erupcja propagandy antysemitkiej i antyinteligencyjnej, za pomocą której partia dławiła wolnościowe aspiracje. Był to czas represji – uwięzienia wielu studentów, wytaczania im politycznych procesów, a także masowego usuwania z pracy podejrzanych o sprzyjanie ideom wolności lub oskarżanych o żydowskie pochodzenie. Zarazem Marzec to czas awansowania na opróżnione stanowiska tych, którzy organizowali kampanie nienawiści i czystki.

Sprawę Marca i pomarcowych represji podjął Senat Uniwersytetu Warszawskiego, już 28 września 1980 r. powołując komisję, która miała zbadać decyzje o zwolnieniach, w 1968 roku i latach następnym, pracowników naukowych z przyczyn politycznych oraz wnioskować o cofnięcie represji. Przewodniczącym komisji został prof. Klemens Szaniawski.

Inicjatywę zorganizowania obchodów rocznicy Marca podjęło 20 grudnia 1980 r. walne zebranie NSZZ „Solidarność” UW. Być może inspiracją były wcześniejsze o kilka dni obchody odsłonięcia Pomnika Poległych Stoczniovców w Gdańsku. Przygotowano koncepcję sesji rocznicowej, a także wmurowania tablicy pamiątkowej. Postanowiono wystąpić do rektora, by podjął starania o uchylene zarządzenia ministra, który 25 marca 1968 r. zwolnił z pracy na Uniwersytecie Warszawskim profesorów uznanych za inspiratorów wystąpień studenckich. Na zebraniu Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” UW 13 lutego 1981 r. dość szczegółowe już propozycje zreferował dr Jerzy Wocial, uzupełnił je dr Krzysztof Laskowski. W dyskusji przewodniczący Komisji Zakładowej dr Maciej Geller podkreślił, że przygotowywana tablica ma integrować całe środowisko akademickie, a także środowisko akademickie z robotniczym. Dlatego jest ważne, aby przy jej odsłonięciu były obecne delegacje robotnicze z największych zakładów przemysłowych Warszawy. Przyjęto uchwałę „O wypadkach marcowych”, która zawierała ocenę tych wydarzeń:



„Pomarcowe represje – jeden z najhaniebniejszych epizodów historii PRL po 1956 roku – dotknęły ludzi, wyniszczyły wiele środowisk myśli twórczej, zaatakowały fundamentalne wartości, jak tolerancja, prawda, autonomia myśli, jak godność własna i poszanowanie godności drugiego człowieka. Wartości, których usunięcie z życia publicznego oznacza zubożenie kultury.

Owa akcja niszczycielska nie pozostawała w jakimkolwiek pozytywnym stosunku do interesów naszego kraju, a restaurowała atmosferę lęku i zagrożenia dobrze znaną z okresu terroru stalinowskiego. Pobudzała też postawy antysemityzmu oraz prymitywnego nacjonalizmu. Dla zapewnienia tej akcji sukcesu władze podjęły próbę rozbicia polskiego społeczeństwa przez antagonizowanie inteligencji i robotników. [...] Uważamy za konieczny rozrachunek z wydarzeniami, których konsekwencji nie podobna i nie wolno wymazać ze społecznej pamięci”.

Uchwała, która wyraźnie określała stosunek do tych wydarzeń i ich konsekwencji, była radykalnie sprzeczna ze stanowiskiem zajmowanym nadal przez władze PRL. Zarówno uchwała, jak projekt obchodów oraz zamiar wmurowania tablicy musiały się spotkać z niezadowolaniem władz, a także zdecydowaną niechęcią tej części środowiska akademickiego, która je wspierała. Nadal bowiem ważne stanowiska – zarówno w skali kraju, jak i Warszawy, w tym także w gronie wykładowców UW – zajmowali ludzie, którzy awansowali na fali czystek i antysemitkiej kampanii 1968 roku.

Na kolejnym zebraniu Komisji Zakładowej, 25 lutego, rozpatrywano m.in. głosy sprzeciwu wobec przygotowywanych obchodów płynące z części środowiska uniwersyteckiego. Cytowano różne negatywne opinie i argumenty: „Sposób przygotowania sesji jest grą polityczną”, „Dlaczego w referatach są pominięci ludzie z UW?”, „Czy sesja ma charakter naukowy, czy jest uczestnictwem pokrzywdzonych?”. Przyjęcie koncepcji zaproszenia z referatami ludzi związanych biograficznie z ruchem protestu było aktem odwagi, ale zarazem zadośćuczynienia, a także zmanifestowania jedności środowiska „Solidarności” uniwersyteckiej z całym ruchem. Planowano jednak także wystąpienia wykładowców UW. Sesja, wedle zamiaru organizatorów, nie miała być manifestacją polityczną, choć samo wyrażenie opinii zawartych w cytowanej uchwale było swego rodzaju manifestacją – podobnie jak dobór prelegentów,

reprezentujących, co oczywiste, tę stronę ówczesnego konfliktu, która opowiadała się za wolnością, a nie zniewoleniem i represjami. Na tym zebraniu wybrano Społeczną Komisję Organizującą Obchody 13 rocznicy Marca '68, do której weszli ze strony NSZZ „Solidarność” UW: Maciej Geller, Jerzy Wociał, Krzysztof Laskowski, Wojciech Ostrowski oraz Andrzej Friszke, a ze strony Niezależnego Zrzeszenia Studentów: Magda Sadowska, Wojciech Frąckiewicz, Piotr Bogdański, Grażyna Jaworska, Monika Wiśniewska i Barbara Piotrowska. W zebraniach często uczestniczyła też Halina Suwała, redaktor „Solidarności Uniwersytetu Warszawskiego”, oraz Zbigniew Rykowski, przewodniczący uniwersyteckiego NZS. Wkrótce wydrukowano w tysiącu egzemplarzy „Projektowany program obchodów Marzec 1968”.

Również 25 lutego 1981 r. stanowisko wobec rocznicy zajął Senat UW. Przypomniwał, że „wydarzenia marcowe” stały się pojęciem, z którym wiąże się „rozwiązywanie siłą konfliktów społecznych; przeciwstawianie robotników – inteligencji, a zwłaszcza środowisku akademickiemu; odwoływanie się przez propagandę do hasła nietolerancji; administrowanie nauką i kulturą, powodujące często ocenianie ludzi na podstawie ich koniunkturalnej postawy, a nie rzeczywistej wartości moralnej i zawodowej; preferowanie postaw konsumpcyjnych i dyspozycyjnych pozwalających poświęcać wartości moralne na rzecz celów związanych z osobistą korzyścią”. Senat uznawał, że z doświadczeń Marca płyną wnioski o potrzebie współdziałania całego społeczeństwa w dziele naprawy, o uznaniu samorządności za właściwą zasadę organizacji życia społecznego, o odpowiedzialności wszystkich – rządzących i rządzonych – za słowa i czyny oraz o oparciu całego życia politycznego i społecznego na zasadach prawdy, jawności i uczciwości, rozstrzygnięcia sporów w drodze dyskusji, a nie przemocy. Jednocześnie Senat wyraził nadzieję, iż „rzeczowa i rozważna analiza tych wydarzeń nie będzie prowadzić do odnowienia niepotrzebnych podziałów, lecz do ich przewyciężenia”.

Podczas spotkań Społecznej Komisji dopinano szczegóły organizacyjne, ale także debatowano z udziałem rektora prof. Henryka Samsonowicza nad problemami szczególnie drażliwymi. Rektor znajdował się pod ogromnym naciskiem władz ministerialnych i politycznych, a także konserwatyw-

nej części partyjnych wykładowców. Miał powody, by obawiać się możliwej prowokacji, zakłócenia porządku, a nawet represji. Wiadomość o powołaniu Komisji znalazła się w meldunkach operacyjnych MSW wraz z wiadomością o przygotowywaniu referatu przez Jacka Kuronia. Niewiadomą drogą trafiła na antenę Radia Wolna Europa informacja o przygotowywanym na 8 marca pochodzie, na którego czele mieli iść członkowie Senatu UW. Informację tę szczęśliwie sprostowano, ale napięcie nadal istniało. Koncentrowało się szczególnie wokół sprawy tablicy i projektu jej uroczystego odsłonięcia. Wyraźnie zaznaczyły się w tej sprawie podziały w Senacie UW.

Sprawą zainteresowały się najwyższe władze PZPR. Na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR 27 lutego kwestię rocznicy marcowej wniósł pod obrady Stefan Olszowski, postulując opublikowanie w prasie „słusznych” artykułów oraz przeciwdziałanie „wykładom i seminariom okolicznościowym na UW”. Odpowiedzialny za naukę sekretarz KC Roman Ney dodał, że zostały przeprowadzone zebrania z egzekutywami wydziałowymi na UW oraz rozmowa z rektorem Samsonowiczem. Najostrzej wystąpili przywódcy partyjnego „betonu”: Mirosław Milewski, minister spraw wewnętrznych, i Stanisław Kociołek, I sekretarz Komitetu Warszawskiego. Ten ostatni powiedział: „Inspiratorzy chcą wykorzystać rocznicę, aby postawić partię w stan oskarżenia”. Podsumowujący obrady I sekretarz KC PZPR Stanisław Kania, podtrzymał tradycyjne oceny Marca i zachęcał, by – w ograniczonym zakresie – je powtórzyć. „Trzeba oświetlać postawy wtedy i dziś głównych bohaterów wydarzeń – Kołakowski, Baczeko, Bauman, Smolarowie. W publicystyce nie rozwijać szerokiego frontu demaskowania syjonizmu”.

Ostatniego dnia lutego rektor prof. Samsonowicz spotkał się z doradcami Krajowej Komisji Porozumiewawczej „Solidarności”: Bronisławem Geremkiem i Jackiem Kuroniem. Rozmawiali o sprawie tablicy, dochodząc ostatecznie do wniosku, by nie prowokować reakcji władzy i odroczyć jej wmurowanie. Tymczasem po stronie środowiska organizującego obchody narastał entuzjazm, nadzieja, że może przyjadą na sesję pomarcowi banici – Leszek Kołakowski, Bronisław Baczeko, Włodzimierz Brus, Krzysztof Pomian. Zatrzymanie w tej sytuacji 5 marca Jacka Kuronia i przedstawienie mu przez prokuratora zarzutu z art. 270

par. 1 Kodeksu karnego („Kto publicznie łży, wyszydza lub poniża naród polski...”) pobudziło do pytań, czy nie jest to ostrzeżenie, względnie zapowiedź prowokacji przed zbliżającą się sesją.

Tymczasem 4 marca, wobec faktu, że tablica nie była jeszcze gotowa, Komisja Zakładowa postanowiła, że 8 marca odbędzie się uroczystość wmurowania aktu erekcyjnego podpisanego przez „Solidarność”, NZS, przedstawicieli zakładów pracy, a sama płyta upamiętniająca Marzec umieszczona będzie później, opodal bramy głównej, na ścianie Instytutu Geografii. Dyskusja odbywała się z udziałem przedstawicieli Regionu Mazowsze: Zbigniewa Bujaka, Zbigniewa Janasa, Seweryna Jaworskiego i Janusza Onyszkiewicza. Wszyscy oni mówili o konieczności podkreślenia solidarności inteligencji i robotników, czego symbolem ma być tablica. Niechętnie przyjmowali fakt przesunięcia daty jej odsłonięcia.

8 marca w południe na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego – w tym samym miejscu, gdzie 13 lat wcześniej rozpoczął się słynny wiec – zebrało się około tysiąca studentów i pracowników naukowych. Prof. Jerzy Mycielski odczytał uchwałę Komisji Zakładowej „O wypadkach marcowych”, a następnie przewodniczący Regionu Mazowsze Zbigniew Bujak i przewodniczący uniwersyteckiej „Solidarności” Maciej Geller wmurowali akt erekcyjny pod tablicę, która miała upamiętnić minione wydarzenia.

Zorganizowanie obchodów na Uniwersytecie Warszawskim sprowokowało czy też dało pretekst do wystąpienia najbardziej czarnosecinnej frakcji w aparacie władzy. 8 marca, równoległe z wiecem na UW, odbyła się na placu Na Rozdrożu, pod dawną siedzibą UB, demonstracja przeciw zbrodniarzom stalinowskim o żydowskich nazwiskach oraz ich „następcom” w „Solidarności”, którzy zorganizowali obchody w rocznicę Marca. Wygłoszono jawnie antysemitki przemówienia. Ten wiec dał początek Zjednoczeniu Patriotycznemu „Grunwald”, w którym skupili się skrajni nacjonaliści i antysemitki, w tym zarówno niektórzy dawni więźniowie UB, jak i ludzie związani ze Służbą Bezpieczeństwa. Dwa dni później na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR Kociołek przyznał, że demonstracja „miała na celu równoważyć imprezę na Uniwersytecie Warszawskim w 13 rocznicę wydarzeń marcowych”.

Tymczasem 8 marca o godzinie 16.00 w wypełnionym po brzegi kilkuset słuchaczami Auditorium Maximum wykładem Jacka Kuronia rozpoczęła się sesja. Następne spotkanie – z referatami Kazimierza Dejmka i Andrzeja Brauna – miało miejsce 11 marca, kolejne 13 marca – z wystąpieniami Jana Lityńskiego, Seweryna Blumsztajna, Jana Łojaka (te dwa z nieznanymi przyczyn nie weszły do przyszłej publikacji), Jana Walca i Zbigniewa Bujaka. Po kilku dniach przerwy, 18 marca, odbyła się sesja z wykładami Jerzego Jedlickiego, Andrzeja Drawicza i Kazimierza Wóycickiego, a 20 marca o związanej z Marcem pacyfikacji polskiej filozofii mówili Stefan Amsterdamski i Władysław Krajewski. Nazajutrz Jan Józef Lipski analizował „kwestię żydowską”, a 22 marca Adam Michnik i Krzysztof Wolicki mówili o dziedzictwie Marca. Ostatni, ósmy dzień sesji (28 marca), był poświęcony historii samorządności wyższych uczelni i jej postulowanym perspektywom. Udział wzięli profesorem UW: Waclaw Gajewski, Andrzej Bogusławski, Stefan Jackowski (wtedy doktor), Włodzimierz Kołos, Adam Sikora i Jerzy Szacki.

Sesja przyciągała setki studentów, wielka sala zawsze była pełna. Reagowano gorąco, wiele osób zapisywało się do dyskusji. Bez wątplenia w owych dniach ta sala była centrum intelektualnym, ale i emocjonalnym Warszawy – także ze względu na towarzyszące wydarzenia, stanowiące jej tło. W czasie trwania sesji, 19 marca, doszło do pobicia działaczy „Solidarności” w Bydgoszczy i rozpoczął się wielki kryzys, w trakcie którego stawalo pytanie, czy dojdzie w Polsce do wielkiej konfrontacji. Ostatnim dniom obrad towarzyszyło więc napięcie i kuluarowe rozmowy, w których mówiono nie tyle o przeszłości, ile o niepokojącej wszystkich współczesności.

Wygłoszone na sesji marcowej referaty utrzymane były na wysokim poziomie. Odznaczały się głębią spojrzenia na problemy związane z Marcem, ideowym napięciem i szeroką perspektywą historyczną, widoczną m.in. w referatach Jedlickiego i Lipskiego. Wystąpienia prelegentów przynosiły bogatą informację i rozbudowaną refleksję o poruszonych zagadnieniach, a także namysł nad ideami, którymi kierować się winien ruch „Solidarności”. Z pewnością była to najważniejsza sesja historyczna, jaka odbyła się w okresie legalnego działania „Solidarności”, między sierpniem a grudniem 1981 r.

Materiały z sesji miały być wydane drukiem. Dokonano tego staraniem Studenckiej Oficyny Wydawniczej, we współpracy z redakcją „Solidarności”, UW tuż przed 13 grudnia, nakład częściowo trafił do kolportażu. Dwa zeszyty z referatami, które są podstawą niniejszego wydania, rozpowszechniane były w ograniczonym nakładzie już w okresie stanu wojennego. Wybranych 8 referatów (Kuronia, Dejmka, Brauna, Amsterdamskiego, Lipskiego, Walca, Bujaka i Jedlickiego) ukazało się też nakładem niezależnej oficyny wydawniczej NOWA, otwierając serię „Zeszyty Edukacji Narodowej. Dokumenty”.

Odsłonięcie odlanej w Zakładach im. Nowotki tablicy (według projektu Andrzeja Kossa z warszawskiej ASP) odbyło się 22 kwietnia 1981 r. z udziałem przedstawicieli licznych zakładów pracy Warszawy. Na tablicy widnieje napis:

*Nie trzeba kłaniać się okolicznościom,  
A prawdom kazać, by za drzwiami stały  
Cyprian K. Norwid*

*Na tym dziedzińcu, 8 marca 1968 roku, rozpędzono wiec studentów domagających się wolności słowa. Wydarzenia marcowe stały się symbolem brutalności, prześladowania niezależnej myśli, niszczenia kultury narodowej i jedności społeczeństwa polskiego. Dziś solidarni, oddając sprawiedliwość pokrzywdzonym, umieszczamy tę tablicę ku przestrodze przyszłym pokoleniom.*

*1981 Studenci, pracownicy UW, robotnicy Warszawy*

## Jacek Kuroń

### Między Październikiem '56 a Marcem '68

Wybaczyć Państwu, to niestety nie będzie wykład, a po prostu moich kilka osobistych refleksji wokół spraw, które w moim przeświadczeniu są ważne dla okresu wyznaczanego latami od Października do Marca, tzn. oczywiście od października '56 do marca '68. To zestawienie dat, z których pierwsza jest, bez względu na wszelkie możliwe zastrzeżenia i wątpliwości, wielkim triumfem polskiego społeczeństwa i polskiej demokracji, a druga – znów w pewnym uproszczeniu – wielką tej demokracji klęską, nakazuje skupić uwagę na procesie zniewalania społeczeństwa, wywłaszczania go z praw i możliwości. Trzeba przy tym podkreślić, wbrew pochopnym ocenom, że nie było w tym okresie i potem momentu, w którym zabrano by wszystkie zdobycze Października. Pewne historyczne zdobycze wydają się nieodwracalne. Niemniej zabrano bardzo wiele i z tego punktu widzenia można marzec 68 traktować jako zwieńczenie procesu pozbawienia społeczeństwa zdobyczy październikowych. Spojrzelibyśmy wówczas na Marzec jako na okres szczególnie dotkliwych represji wymierzonych przeciwko polskiej nauce, polskiej kulturze, polskiemu życiu umysłowemu, polskiemu społeczeństwu. Z tego punktu widzenia można by nawet powiedzieć, że następstwem Marca był grudzień 1970 roku, że był on nieuchronnym następstwem tego działania. I tu, gdyby to był poważny akademicki wykład, należałoby się zająć zagadnieniem swoistego determinizmu w historii, rozumianego nie tak, że historia układa sobie jakiś plan, ale że pewne działania ludzi rodzą określone konsekwencje. Rozmawialibyśmy zatem o zamierzonych i niezamierzonych skutkach ludzkiego działania. Jest rzeczą oczywistą, że ci ludzie, którzy podjęli walkę ze zdobyczami Października, nie mieli zamiaru doprowadzić do rewolty robotniczej na Wybrzeżu, a wydaje się, że jednak doprowadzili.

Powiedziałem powyżej, że pewne procesy historyczne są nieodwracalne i teraz możemy sobie ten ogólnik skonkretyzować. W Październiku społeczeństwo polskie osiągnęło w różnych dziedzinach wpływ na warunki swego życia i zarazem świadomość, że wpływ ten stanowi jedno z jego praw elementarnych. Wywłaszczenie społeczeństwa z tych praw musiało prędzej czy później napotkać opór. Jak widzieliśmy, można taki opór złamać siłą, tyle że kto zaczyna od pałek milicyjnych, musi dojść do czołgów. Jak zaś mawiał Napoleon, z bagnietem można robić różne rzeczy, ale siedzieć na nim nie sposób. Czy jeszcze raczej: czołgi, gdyby miały być podstawą władzy, musiałyby to być czołgi ościennego mocarstwa. Słowem, łamiąc przemocą ruch studentów i inteligencji w Marcu, władze skazały się na rewoltę robotniczą w Grudniu i ułatwiły sobie znakomicie decyzję o użyciu czołgów przeciwko tej rewolcie. Umiały jednak – i to odnotujmy na ich korzyść – po tych czołgach wycofać się na tyle, ile musiały. Z tej perspektywy wydarzenia marcowe należy rozpatrywać jako opór społeczeństwa wywłaszczanego z praw wywalczonych w październiku 1956 r.

Jak wyglądał ów proces odbierania zdobyczy październikowych? Bardzo trudno jest wypunktować go konkretnymi faktami, pozbawieniem jakichś praw, zlikwidowaniem jakiejś instytucji. To jest następstwo tego, co w sposób istotny różni ruch październikowy od naszego ruchu, zapoczątkowanego w sierpniu 1980 r. Faktem jest, że ruch październikowy nie stworzył instytucji demokratycznych. Dlatego jego likwidowanie było dużo łatwiejsze, niż będzie, niż może być likwidowanie tego ruchu. Dziś tworzymy organizacje samorządne i niezależne, a wówczas nie umieliśmy ich tworzyć. Z jednym wyjątkiem, niestety bardzo ograniczonym. Mam tu na myśli Rady Robotnicze. Były one praktycznie jedyną instytucją Października i zarazem symbolem idei, jak sądzę, dla tego ruchu najważniejszej. Miały być formą demokratycznego władania przedsiębiorstwem przez załogę i tym samym gospodarką narodową przez społeczeństwo. Wiązały się ściśle z programem reformy gospodarczej, która miała usamodzielnic przedsiębiorstwa. Nie wdając się w szczegóły tego projektu, do którego dziś wróciliśmy, zwróćmy uwagę, że podstawą tego pomysłu jest dążenie do faktycznego uspołecznienia środków produkcji. Jeżeli zważymy, że jednostronna przewaga władzy nad obywatel-



lem w naszym kraju opiera się na niepodzielnym władaniu przez nią środkami produkcji z maszynami drukarskimi, papierem, radiostacjami włącznie, to łatwo zrozumiemy, że ruch uspołecznienia tego władania jest podstawowy dla wszelkiej demokracji.

Dlatego za datę pogrzebu nadziei październikowych skłonny jestem uznać powołanie Konferencji Samorządu Robotniczego (28 XII 1958 r.), instytucji, która przejęła uprawnienia Rad, a w której skład wchodził przedstawiciele Podstawowych Organizacji Partyjnych PZPR, Rady Zakładowej, organizacji młodzieżowej, Naczelnej Organizacji Technicznej, Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Mechaników Polskich, innych działających w zakładzie organizacji i wreszcie także Rady Robotniczej, każdy przedstawiciel z jednym głosem. Była to więc faktyczna likwidacja Rad Robotniczych, choć już wcześniej przekreślono tę ideę, rezygnując z wprowadzenia reformy gospodarczej.

Warto w tym miejscu zasygnalizować problemy godne bardziej szczegółowej analizy. Rady miały być formą zarządzania przedsiębiorstwem, tworzyły się jednak w każdym zakładzie oddzielnie. Były wprawdzie wówczas dążenia, aby Rady organizowały się pionowo, w skali regionu i kraju, ale tendencję tę powszechnie uznawano za ekstremistyczną, noszącą piętno anarchosyndykalizmu. Skłonny jestem przypuszczać, że kolosalna przewaga „Solidarności” nad ruchem Rad Robotniczych wynika w znacznym stopniu z jej struktury pionowej: „Solidarność” jest zorganizowana w skali kraju, zaś Rady działały tylko w poszczególnych zakładach. Mogły więc walczyć o niezależność i samorządność tylko w skali zakładu, i to w każdym zakładzie oddzielnie. Tymczasem, jak to powiedzieliśmy, o ich likwidacji zdecydowano centralnie, zaś wobec polityki kierownictwa partyjno–państwowego Rady były bezsilne.

Drugi problem, który chcę tu podjąć, wiąże się ściśle z reformą gospodarczą. Jak już mówiłem, Rady Robotnicze były m.in. ruchem walki o reformę gospodarczą. Później liczni ekonomiści mówili, że był to błąd. Nie należało drażnić władzy, trzeba było robić zwyczajną technokratyczną reformę. Gdybyśmy nie odwoływali się do sił społecznych, twierdzono, władze by to przyjęły, a tak przestraszyły się ruchu społecznego, przestraszyły się tego, że ograniczy się władze, i wstrzymały reformę, czego skutkiem jest kryzys

ekonomiczny, który dziś mamy. Skądinąd kiedyś, w początkach lat sześćdziesiątych, kiedy się zaczęła reforma węgierska, byłem skłonny mieć wyrzuty sumienia, czułem się współwinny. Zdawało się, że droga wiedzie nie przez siły społeczne, lecz przez samą technokratyczną reformę, przez decentralizację, mechanizmy rynkowe itp. Dopiero klęska reformy węgierskiej wykazała, że były to złudzenia. Jeżeli nie ma sił społecznych, które bronią samodzielności przedsiębiorstw, dekrety władzy o takiej samodzielności nie zdadzą się na nic. Prawa, których strzeże wyłącznie władza, tej władzy nie obowiązują. Trzeba o tym pamiętać dziś, kiedy przystępujemy znowu do dzieła reformy gospodarczej, choć refleksja ta nie tylko tej sprawie dotyczy.

Wreszcie trzeci problem. Czy idea zarządzania przedsiębiorstwem, gospodarką wyrasta z dążeń robotniczych? Mam wrażenie, że jest ona wnoszona do ruchu robotniczego przez inteligencję, w odróżnieniu od idei związków zawodowych. Mówię o tym ze smutkiem, bo samorząd jest dla mojej wizji świata ideą niezwykle doniosłą. Wydaje się, że Rady w październiku 1956 roku były dla robotników formą walki przeciwko władzy. Kiedy zaś Rady się ukonstytuowały, przypomnijmy, w skali zakładu i co za tym idzie, w ramach jego lokalnej, partykularnej problematyki, wtedy zaczął się odpływ zainteresowania nimi, czy nawet nieufność wobec nich. Czy błąd tkwi tylko w strukturze? Może sprawa zarządzania jest obca robotnikom? Może dochodzić do niej trzeba przez ruch zawodowy? Kiedy Komitet Obrony Robotników zaczął prowadzić działalność organizatorską w środowiskach robotniczych, wtedy spieraliśmy się w tej właśnie sprawie z różnymi doradcami. Myśmy stawiali bardzo ostro na działalność o charakterze związkowym, na walkę o bezpośrednie interesy robotników. Doradcy mówili, że to błąd, że trzeba zacząć od spraw samorządu. Wskazywali, że interesy zawodowe dzielą społeczeństwo, a idea samorządu – łączy. Rozumieliśmy ich racje, ale decydowały oczekiwania robotników.

Spotykałem się z robotnikami już to w umeblowanych na wysoki połysk mieszkaniach, przy kawie i ciastkach, już to w ruderach, gdzie piliśmy wódkę z jednej butelki. Bardzo różne środowiska i podkultury łączy się w jednym pojęciu „robotnik”. Jednak bez względu na miejsce spotkania, czy mówiąc ściślej środowisko, wszyscy rozumieli doskonale, na czym polega

walka o prawa i interesy robotnicze. Wiedzieli, czego chcą i jakiej pomocy oczekują ode mnie. Natomiast rozmowa o zarządzaniu zakładem była możliwa tylko jako mój monolog, i to delikatnie mówiąc, przy średnim zainteresowaniu słuchaczy. Wreszcie w Sierpniu okazało się, że wbrew logice doradców ruch związkowy zjednoczył całe społeczeństwo, czego nie umiały dokonać październikowe Rady. Nie wiem, czy za pomocą tych refleksji zbliżam Państwa do objaśnienia społecznego mechanizmu wywłaszczania społeczeństwa z październikowych zdobyczy. Postępujemy jednak dalej tą drogą.

We wrześniu 1956 roku na tej sali odbywał się wiec studentów Uniwersytetu Warszawskiego. Jeden z pierwszych z długiej fali wieców, które potem trwały przez cały październik na Politechnice Warszawskiej. Otóż na tym wiecu rzucono hasło: „Nie ma chleba bez wolności”. Na wiec przybyła delegacja robotników z Żerania, przyszedł między innymi Goździk, przemawiał, podchwycił to hasło: „Nie ma chleba bez wolności”, które zresztą potem bardzo długo funkcjonowało jako symbol jedności robotników i inteligencji. Wróciło ono potem w marcu 1968 roku, tylko brzmiało już wówczas zupełnie inaczej. Było to w gruncie rzeczy dramatyczne, rozpaczliwe wołanie do robotników o pomoc, żeby bronili ruchu studenckiego, żeby nie bili studentów. Bo przyjeżdżały tu przecież delegacje zakładów pracy, aktyw robotniczy nie po to, by deklarować swoją jedność, nie po to by wmurowywać tablicę, nie po to, żeby przy tej tablicy przemawiać. Otóż, proszę Państwa, nasuwa się pytanie: czy to rzeczywiście robotnicy przychodzili bić? Przecież nie wszyscy, no, przecież nie większość, no, przecież w gruncie rzeczy drobna garstka. Ale byli to ludzie naprawdę zatrudnieni na stanowiskach pracowników fizycznych w różnych zakładach pracy – przede wszystkim w wielkich zakładach pracy. A w '56 roku, kiedy tu Goździk wkroczył na czele robotników z Żerania, oni przyszedli w kombinezonach, on przemawiał, oni rządkiem stanęli frontem do sali. No przecież nie przyszedli wszyscy robotnicy ani ich większość, tylko jakaś drobna część. W dodatku ten pierwszy, który szedł i który w ich imieniu przemawiał, nie był zatrudniony na stanowisku robotnika, tylko pierwszego sekretarza Komitetu Zakładowego PZPR. A więc i w Październiku, i w Marcu nie można mówić o ogóle robotników. I dziś też nie wszyscy robotnicy przyszedli i tę tablicę wmurowali. Więc może podpis na niej jest jakimś nadużyciem?

Nie wszystkie przecież fabryki demokratycznie wybrały swoich delegatów na tę uroczystość. Ale na tej samej zasadzie można by powiedzieć, że również napis „studenci” i napis „pracownicy UW” jest nadużyciem. Przypomnijmy przy okazji, że to nie robotnicy, a inteligenci deptali wartości, w języku pisanym i drukowanym. Trudno twierdzić, że Kąkol, Gontarz, Osiadacz – i jak oni się tam nazywają, a była ich cała plejada – to robotnicy.

Nie mówię tego, aby mnożyć paradoksy, ale dlatego, że istnieje tu pewna istotna różnica. Klimat ‘56 roku w zakładach pracy był taki, że z podniesionym czołem mogli do nas przyjść robotnicy, przemawiać i deklorować jedność. Wiele jest dzisiaj takich zakładów pracy, z których śmiało i z podniesionym czołem przychodzą robotnicy i deklarują jedność. Natomiast niemożliwe jest dziś, żeby przyszli jako delegaci robotników ci faceci z pałkami. Przecież w tych zakładach natychmiast by ich odnaleziono. Natomiast w ‘68 roku tego klimatu nie było. Byli robotnicy – znam ich osobiście i przyjaźnię się z nimi – którzy zaciskali zęby, byli wściekli i po cichu nawet komuś odważyli się „nawrzucać”. Ale nie mieli odwagi wystąpić i powiedzieć: nie wolno wam tam chodzić bić. I to nie tylko dlatego, że bali się władz, choć to prawda, że się bali. Ale dlatego, że nie czuli za sobą moralnego poparcia swoich kolegów. Natomiast dziś jest odwrotnie: to moralne zaplecze oni czują. To, co się zmieniło między Październikiem a Marcem i między Marcem a Sierpniem, to klimat, to znaczy gotowość ludzi do zademonstrowania swojej postawy, do działania. Zaś wraz ze wzrostem tej gotowości wzrasta społeczna świadomość. Ruch społeczny powstaje wtedy, gdy ludzie w swoim życiu prywatnym odnajdują taką sprawę publiczną, która ich łączy ponad rolami zawodowymi i w imię której chcą wspólnie w swoim prywatnym czasie wystąpić. W październiku 1956 roku i jeszcze wcześniej, we wrześniu, lipcu, czerwcu tegoż roku, takie wspólne sprawy się pojawiły, zostały wyartykułowane, nazwane i połączyły ludzi. Połączyły prostego profesora uniwersytetu z prostym tokarzem. To, że jeden był robotnikiem, a drugi intelektualistą, stało się cechą zupełnie nieistotną wobec sprawy, która była ich sprawą wspólną, ruchem demokratyzacji, tym właśnie, co symbolicznie wyraża hasło: „nie ma chleba bez wolności – i wolności bez chleba”.

Skądinąd w tym sloganie jest pewna pułapka: bo, po pierwsze, czy naprawdę nie ma chleba bez wolności, a wolności bez chleba? Różnie to bywa. Można by wskazać na takie okresy, kiedy nie było wolności, a był chleb – i odwrotnie. Po drugie, jeśli chodzi o życie jednostek, a sprawy ludzkie składają się ze spraw jednostkowych, to zaryzykowałbym twierdzenie, że na ogół jest tak, że albo jest chleb, albo jest wolność. To nawet znam z własnego życia: tym więcej mam wolności, im mniej mam chleba, i odwrotnie, choć oczywiście bywa przeciwnie. I to jest pierwsza pułapka. Oczywiście czasami może być tak, że istnieje ściśły związek między chlebem a wolnością, między sprawami ekonomiki i sprawami demokracji. Trzeba wszelako rozumieć owo zdanie jako postulat, a zarazem jako normę: chcemy chleba i wolności, nie chcemy tego od siebie oddzielać. Druga pułapka jest znacznie groźniejsza. Chodzi o zawartą w tym haśle sugestię, że sojusz robotników i intelektualistów jest budowany na takiej oto zasadzie – intelektualiści chcą wolności, a robotnicy chcą chleba. To bardzo groźna pułapka. Czy zdajecie sobie Państwo sprawę, że o płace pielęgniarek, płace służby zdrowia walczyły wielkie zakłady pracy, takie, które o swoje płace nie wojowały wcale czy w każdym razie niewiele? A gdy pojawił się spór o wolne soboty i zgłoszono projekt, żeby w wolne soboty jednak pracować i zrobić z tego fundusz reformy gospodarczej pod kontrolą „Solidarności”, to ta idea była przez załogi zakładów pracy przyjmowana z aprobatą. Jak wynika z historii robotniczo–studenckich demonstracji w październiku 1957, po zamknięciu „Po prostu”, w klimacie ideowym tamtych dni były przesłanki dla ruchu społecznego jednoczącego robotników i intelektualistów. Jednak zarówno program tego ruchu, jak i – co się ściśle z tym wiąże – jego formy instytucjonalne były zbyt wątłe, aby ruch ten umiał przeciwstawić się siłom dławiącym zdobycze Października. Rady Robotnicze w tej postaci, w jakiej się ukształtowały, niewiele interesowały robotników. Jakże więc mogły interesować inteligencję?

Klimat Października zmienił się radykalnie pod wpływem dwóch czynników: tego, że na oczach całego polskiego społeczeństwa zarżnięto rewolucję węgierską, wszyscy to przeżywaliśmy, czytając znakomite reportaże w oficjalnej prasie, i mieliśmy świadomość, że cała ta lawina może w każdej chwili spaść na nas – był to ważny czynnik paraliżowania społeczeństwa; drugim

było masowe, nieograniczone zaufanie do Gomułki. W społecznej świadomości dominowało przeświadczenie, że nie możemy zrobić tego, co chcemy, zaś to, co można, chce za nas zrobić Gomułka – pozwólmy mu. Ruch nie wypracował jednoczących społeczeństwo zadań, wykraczających poza postrzemywanie drastycznych metod stalinizmu i związanych z tym form instytucjonalnych. W związku z tym nie umiał uniezależnić się od kierownictwa partyjnego czy tych jego frakcji, które w pierwszej fazie wspierały ten ruch i – dodajmy – manipulowały nim, korzystając z jego poparcia. Wszystko to wspierało autorytet Gomułki i czyniło praktycznie niemożliwą kontrolę nad polityką władzy. Nie jest to jednak wystarczająca odpowiedź.

Dlaczego wtedy, kiedy Październik był tłumiony, nie odezwali się ci ludzie, te środowiska, które były inicjatorami, ideologami, animatorami ruchu październikowego? Dlaczego milczeliśmy w 1957, 1958, 1959 roku? Nie ulegaliśmy autorytetowi Gomułki, jeśli zaś chodzi o radzieckie czołgi, to przecież należało, tak jak to czynimy dziś, pytać o dopuszczalne granice reform, a myśmy milczeli. Myślę, że w tym miejscu trzeba mówić o odpowiedzialności lewicy. Październik w moim przekonaniu jest zasługą i zarazem winą polskiej lewicy. Ściśle: lewicy, która wyszła ze stalinowskiej szkoły i dopiero zaczęła stawiać pierwsze samodzielne kroki. Myślę, że w tym, przede wszystkim, tkwi tajemnica naszego milczenia.

W październiku 1956, a w szczególności po VIII Plenum, ludzie przestali się bać. Na różnych wiecach, zebraniach, dyskusjach coraz to swobodniej zaczęli mówić i w związku z tym coraz mocniej brzmiał głos przeciwników lewicy, którą obciążano odpowiedzialnością za stalinizm, którą odrzucano. To nas poraziło. Powiedzieliśmy: do głosu dochodzi reakcja, podnosi głowę czarna sotnia. Nie umieliśmy podjąć rozrachunku z tradycją lewicy, i co ważniejsze, nie dojrzelśmy do pluralizmu jako akceptacji poglądów odmiennych, przeciwnych. Nie umieliśmy wtedy zrobić tego wspólnie. Trzeba było dwóch – trzech lat, aby każdy z osobna przeszedł tę drogę, po to, abyśmy mogli w roku 1960, 1961 znowu powoli się zbierać. Skoro więc nie dojrzelśmy do pluralizmu i do rozliczenia z lewicową tradycją, to zaakceptowaliśmy fałszywy podział: wydawało nam się, że bliżej nam do tych, pozał się Boże, liberałów w Komitecie Centralnym PZPR niż do przeciwników lewicy w społeczeń-

stwie. Nie wystąpiliśmy po stronie kierownictwa partii przeciw Październikowi, ale też i nie umieliśmy wystąpić przeciw kierownictwu w obronie Października. Milczeliśmy.

Dla mnie osobiście – a sądzę, że nie tylko dla mnie – ważną racją, która powstrzymywała mnie przed wystąpieniem wówczas przeciw kierownictwu partyjnemu, był strach przed antysemityzmem. Warto tę sprawę podjąć, choćby w największym skrócie, bo towarzyszy ona nam od Października po dzień dzisiejszy. Od samych początków ruchu październikowego zajmowaliśmy się kwestią żydowską. Z jednej strony deklarowaliśmy na wiecach, że nie dopuścimy do antysemityzmu, a z drugiej strony słuchaliśmy głosów płynących z KC, ściślej – z jego części zwanej „Natolinem”, że za stalinizm odpowiedzialni są Żydzi i rozliczenie ze stalinizmem należy prowadzić z Żydami. Ze szczególną mocą podjęła tę tezę propaganda państwowa w marcu 1968 r. I dziś znowu inspirowana w kręgach władzy organizacja „Grunwald” powtarza ten sam argument. Najłatwiej powiedzieć, że cała ta argumentacja to chwyt propagandowy. Ale dlaczego ten właśnie? W Październiku 1956, w tej całej fali krytyki komunizmu i lewicy, niemało było głosów wskazujących na odpowiedzialność Żydów. Stąd strach, o którym mówiłem powyżej. Problem istnieje i nie wolno przed nim uciekać. Trzeba go podjąć w tym punkcie, w którym te antysemickie brednie są najbliższe rzeczywistych zjawisk.

W 1966 roku siedziałem w jednej celi z docentem Markiem Szapiro. Siedział on za to, że w prywatnym liście do pewnej pani, z którą utrzymywał intymne stosunki, napisał, że w Polsce jest antysemityzm, a ponieważ listy jego czytano, został skazany za rozpowszechnianie wiadomości fałszywych, godzących w interesy państwa polskiego. Otóż Marek – a był to taki żydowski Żyd – opowiadał, że jeszcze w getcie Korczak powiedział jego ojcu: „Jeśli bolszewicy wywołą Polskę, to Żydzi w Polsce będą skompromitowani. Popatrz na to getto nienawidzące antysemityzmu polskiego. Oni to oczywiście przeniosą na Polaków. Społeczeństwo polskie nie będzie chciało z bolszewikami kolaborować. Żydzi będą. I to się musi dla nas skończyć tragicznie”. Myślę, że jest w tym rozumowaniu jakaś racja. Jakkolwiek by na to patrzeć, wokół lewicy niezwykle wielu było ludzi żydowskiego pochodzenia. Nie oznacza to, rzecz jasna, że większość społeczności żydowskiej była lewicowa. Nie. Była to

zdecydowana mniejszość. Natomiast ci, którzy się asymilowali, znajdowali się pod niezwykle silną presją. Byli często znakomitymi lekarzami, adwokatami, pisarzami – Polakami i zarazem, z racji swego pochodzenia, byli gorsi od innych pisarzy, lekarzy, adwokatów. To nakazywało im poszukiwać rozwiązania i lewica taką możliwość, takie rozwiązanie proponowała. Bądźmy szczerzy, szczególnie skrajnie internacjonalny nurt lewicy, który wręcz negował patriotyzm. To straszne uczucie: człowiek, który chce zostać Polakiem, a Polacy odrzucają go. Stąd pokusa rozwiązania, która się narzuca: zmyć barwy ze sztandarów i ciał. I stąd – choć oczywiście nie tylko – w rodzącym się po 1945 roku aparacie władzy mnóstwo było ludzi żydowskiego pochodzenia. Byli. Nie da się zaprzeczyć.

W tym momencie pozwolę sobie na małą dygresję. Zwykle, gdy mówię o udziale lewicy w ustanawianiu stalinizmu w Polsce, spotykam się z ogromnym oburzeniem. Mówi mi się zawsze: to nieprawda, był przecież Pużak, Cohn, Pajdak, prawdziwi ludzie lewicy byli przeciw, nie poszli na kolaborację. To oczywiście prawda, ale ilu ich było? Gdyby zapytać towarzyszy z chwałą okrytej PPS, jaki to procent partii poszedł na współpracę, a jaki nie, to odpowiedzieliby, że zdecydowana większość jednak poszła. Zjawisko to wyprowadzam z etosu lewicy, z przekonania, że można zmieniać świat we wszystkich wymiarach i sferach, dokonując przemian w jednej tylko dziedzinie, w sferze stosunków produkcji. A ta nowa władza takich zmian w stosunkach produkcji dokonywała. I ludziom lewicy chciało się wierzyć, że bez względu na to, w jak straszny sposób było to robione, za jak wielką cenę dokonywano tych przemian, zmiana w stosunkach produkcji pociągnie za sobą automatycznie wszystkie oczekiwane w etosie lewicy błogosławione następstwa. Dodajmy, że dla ludzi lewicy żydowskiego pochodzenia, którzy ocalili z prawdziwego piekła, wkroczenie wojsk radzieckich to był w ogóle świt. Z tych – a także z tych, które wymieniał Korczak – przyczyn, weszło wielu ludzi o semickich rysach do stalinowskiego aparatu władzy w Polsce. Co zresztą zgodne było z polityką stalinowskiego dzielenia i budzenia nienawiści. Nie potrafię powiedzieć, ilu ich było w UB, i nie wydaje mi się, że to ważne. Ważne, że byli i że można ich było zobaczyć. Każdy człowiek musi jakoś objaśniać świat, w którym żyje, tłumaczyć klęski, które na niego spadają, szczególnie wówczas, kiedy chce



przeciw tym klęskom wystąpić, gdy chce świat zmieniać. Im mniejsze intelektualne przygotowanie, tym większa potrzeba formuł–wytrychów, takich, które objaśnią wszystko. Przy czym w zbiorowości najłatwiej rozpowszechniają się formuły dostępne wszystkim. Wydaje się, że z tego punktu widzenia szczególnie atrakcyjny jest taki sposób objaśniania świata, który odwołuje się do podziału na „swoich” i „obcych”. Wystarczyło więc, że wśród funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa można było wyróżnić wielu ludzi z semickimi rysami, aby „Żyd” jako klucz objaśnienia świata zaczął się rozpowszechniać. I to nawet bez pomocy propagandy odgórnie sterowanej. W październiku '56 roku powstał ruch, który dążył do zmian stosunków społecznych i póki miał on konkretny program, antystalinowski, póty program ten objaśniał świat i nie było miejsca na fałszywe objaśnienia–wytrychy. W momencie gdy podzieliliśmy się na partykularne sprawy, a środowiska inicjujące ruch zamilkły w imię fałszywego podziału na lewicę i prawicę, zaczęła wchodzić fałszywa świadomość i inny fałszywy podział na „swoich” i „obcych”. Ten podział zatriumfował w marcu 1968 w propagandzie partyjnej. Była ona jednak w jakimś stopniu skuteczna. Dość wspomnieć, że w odpowiedzi na „antysocjalistyczną” propagandę ze studenckich komitetów wystąpili ludzie żydowskiego pochodzenia. Żeby nie dawać argumentów. O ileż bliższa mi jest, w tej jedynej sprawie, postawa studentów z paryskiego maja '68, którzy na stwierdzenie, że Cohn–Bendit jest niemieckim Żydem, odpowiedzieli: „My wszyscy jesteśmy niemieckimi Żydami”.

Tak zbliżyłem się do zakończenia moich refleksji. Chciałbym jednak zająć się jeszcze jednym ważkim czynnikiem milczenia liderów październikowych i tym samym jeszcze jednym wnioskiem bardziej ogólnym.

Kiedy zamknięto „Po prostu” i zaczęły się uliczne demonstracje, znowu zbiegliśmy się na Uniwersytet, żeby określić, co robić. Przyjechał do nas Władysław Bieńkowski z poleceniem od Szefa, żebyśmy potępili „chuliganów”, czyli demonstrantów. I myśmy się twardo postawili, tzn. „chuliganów” nie potępiliśmy, ale też głosu nie zabraliśmy w ogóle. Dlaczego? To już ostatnie pytanie, które tu postawię. Od początku mieliśmy świadomość, że społeczeństwo akceptuje Gomułkę i jeśli przeciwko niemu wystąpimy, to przegramy. Do tego momentu, przez cały ruch październikowy, nauczyliśmy się polity-

kować i także w tym momencie chcieliśmy politykować dalej. Trzeba było czasu, aby zrozumieć, że nie w każdych okolicznościach obowiązuje taka logika. Polityka to rachunek zysków i strat. Obowiązuje zatem tylko wówczas, gdy można jeszcze coś zyskać czy utrzymać to, co się już uzyskało. Kiedy taka możliwość się kończy, zaczyna się zupełnie inny wymiar. Powiedziałbym, że w tym momencie dla każdego z osobna, indywidualnie, zaczyna się wolność. Oto w momencie, kiedy kończy się politykowanie, kiedy nie ma szans skuteczności, zaczynamy odpowiadać już tylko za prawdę. Już wtedy, w „czarnym październiku” 1957 roku należało sobie uświadomić, że jako ruch przestaliśmy istnieć. Że jedyne, co możemy zrobić, to powiedzieć głośno swoje prawdy, zginąć z rozwiniętym sztandarem. Byłby to nie tylko gest, byłby to przede wszystkim testament Października. Ale wtedy jeszcze nie rozumieliśmy tego. Kiedy w marcu 1968 roku stanęło przed nami pytanie, czy robić wiec na Uniwersytecie, tamten błąd nad nami ciążył. Nie mówię, że nad wszystkimi uczestnikami tego zebrania, które podjęło decyzję, ale przynajmniej nad kilkoma starszymi. Myśmy trzeźwo oceniali nasze szanse. Wiedzieliśmy, że pójdziemy do więzienia. Nie przypuszczaliśmy tylko, że w tak licznym towarzystwie. Nie sądziliśmy, że to taki rozmiar przybierze. I może to znowu był błąd. Mieliśmy jednak przeświadczenie, że w tym momencie trzeba dać świadectwo i że dajemy je, każdy z osobna.

Sądzę, że jeżeli należałoby wskazać dziś manifest ideowy Marca '68 roku, to należałoby wybrać *Przesłanie Pana Cogito* Herberta: „ocalałeś nie po to aby żyć / masz mało czasu trzeba dać świadectwo”. Gdy to sobie uświadomiliśmy, od tego momentu tak właśnie próbowaliśmy działać, aż do powołania KOR-u. Jeszcze powstanie KOR-u było czymś na pograniczu, jeszcze było czymś w rodzaju tego, że oto mamy dać świadectwo, a już za chwilę znowu zaczęło się politykowanie, kalkulacje, ile możemy w sposób realistyczny, skuteczny, konkretny dziś osiągnąć w danych warunkach. Potężny ruch społeczny musi taką politykę prowadzić. I pamiętajmy, co jest niewątpliwe: odpowiadamy za kraj, za naród, za wszystko. I każdy z nas musi to wszystko uwzględniać i ważyć. Musimy iść na rozliczne kompromisy. Wiadomo: są czołgi, z tego wynikają określone konsekwencje. My tego ruchu nie możemy zatrzymać. Musimy rozwijać proces demokratyzacji, rozwijać instytucje,

tworzyć zadania, które będą łączyć nas w jedno, przełamywać bariery profesjonalne, kształtować społeczną świadomość. Musimy wiedzieć, że działamy w ramach twardych, nieprzekraczalnych granic i granice te musimy stale uwzględniać. Zarazem jednak, proszę Państwa, myślę sobie, że nie oznacza to wcale, że zostaliśmy zwolnieni od dawania świadectwa, tzn. że i te kompromisy, i te granice, i te różne kunktatorstwa nie są wszystkim. To jest tak, że kiedy się politykuje, zapomina się w ogóle o tym wymiarze dawania świadectwa. Działa się politycznie wtedy, kiedy ma się siłę, kiedy działa się skutecznie, gdy każdy krok waży następnymi krokami. A daje się świadectwo wtedy, kiedy ma się siebie do zadysponowania i siebie się chce poświęcić, bo każdy może poświęcić tylko siebie, nie może poświęcać nikogo innego. O tym trzeba nieustannie pamiętać.

Niestety, nie jest to w pełni prawdziwe. Mam świadomość, że w marcu 1968 r. chciałem poświęcić tylko siebie, a poświęciłem wielu, wielu innych. Nic na to nie poradzę. Myślę jednak, że chroni mnie trochę to, że o tym wiem, że o tym pamiętam, że ponoszę odpowiedzialność za każdy czyn i za każde jego zaniedbanie. Granicą polityki są fundamentalne wartości ludzkie. Dlatego dziś, w czasie polityki, do której wszystkich Państwa zachęcam, jako jeszcze jedną naukę z tego wszystkiego, co zdarzyło się między Październikiem a Marcem, chciałbym wyciągnąć taką oto myśl: żeby zawsze mieć gotowość w sobie – to jest strasznie trudne, ale chyba możliwe – żeby sobie w jakiejś sytuacji powiedzieć: nie ocalałem po to, aby żyć, mam dać świadectwo.

■ **Jacek Kuroń** (1934 – 2004), działacz społeczny i polityczny, pedagog z wykształcenia, wychowawca i historyk z zamiłowania. Po wystosowaniu wraz z Karolem Modzelewskim *Listu otwartego do członków partii* (1965) został aresztowany i skazany na 3 lata więzienia (Modzelewski na 3,5 roku). W 1968 skazany na 3,5 roku. Od lat 60. XX w. był czołową postacią opozycji demokratycznej w Polsce, współtwórcą Komitetu Obrony Robotników i Towarzystwa Kursów Naukowych, doradcą i działaczem „Solidarności”. Wielokrotnie aresztowany i więziony. W 1989 uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu, w niepodległej Polsce był posłem na Sejm, ministrem pracy i polityki socjalnej, animatorem i opiekunem wie-

lu inicjatyw społecznych i edukacyjnych. Autor zbiorów publicystyki politycznej (*Polityka i odpowiedzialność*, 1984), książek autobiograficznych i wspomnieniowych (*Wiara i wina*, 1989; *Gwiezdny czas*, 1991), rozważań nad sposobami rozwiązania najważniejszych społecznych i kulturowych problemów współczesności (*Działanie*, 2002; *Rzeczpospolita dla moich wnuków*, 2004).

## Kazimierz Dejmek

### Casus *Dziady*

Od razu na wstępie chcę powiedzieć, że do wszystkich wydarzeń sprzed lat trzynastu powracam z dużą niechęcią i z dużą przykrością, właściwie ze wstydem, takim samym mniej więcej, jaki mnie ogarnia na wspomnienie 1938 r., kiedy państwo polskie do spółki z Hitlerem rozgrabiło Czechosłowację. Uprzedzałem organizatorów, że nie wygłoszę żadnego wykładu, żadnego referatu, żadnego odczytu. Zaproponowałem im formę spotkania, czegoś w rodzaju „konferencji prasowej” i podjąłem się tylko wygłoszenia paru słów wstępu do tego spotkania. Zobaczymy, ile czasu zajmie mi odczytanie kilku dokumentów, gdyż nie tyle chciałbym mówić od siebie i nie tyle posłużyć się własną zawodną pamięcią, ile paru świadectwami.

Państwo pozwolą, że na początek przytoczę fragment wywiadu, który przeprowadzili ze mną p. Anna Chmielewska i p. Wiktor Woroszyński w maju 1979 r. i który opublikowali w swoim piśmie. Myślę, że warto: po pierwsze, nie wszyscy państwo zapewne znają tę publikację, a po drugie ze względu na pytania p. Chmielewskiej.

**Anna Chmielewska:** Wiktor wspomniał, że ja znam Pański teatr z legendy i ze studiów, i to jest prawda, jeżeli chodzi o pierwsze kilkanaście czy prawie dwadzieścia lat Pańskiej działalności. Ale w sezonie 1967/1968, kiedy byłam na uniwersytecie, nie tylko widziałam i przeżyłam *Dziady* w Teatrze Narodowym, ale przedstawienie to zaważyło na moim życiu, i nie tylko moim, lecz wielu moich rówieśników, stało się jedną z kulminacji wspólnej biografii pokolenia. Był to w ogóle jeden z rzadkich momentów nie tylko odbicia, współtworzenia przez teatr współczesności, współpowodowania brzemiennego w skutki wstrząsu w tym kraju. Może zechciał Pan by opowiedzieć

trochę o faktach, tak jak wyglądały one od strony teatru: dlaczego *Dziady* zdjęto i kto tę decyzję podjął? Jak doszło do ostatniego przedstawienia? Jak Pan i zespół przyjmowaliście reakcję widowni i to, co potem nastąpiło – protesty, petycje, nagonkę prasową? Wreszcie kto i w jaki sposób pozbawił Pana funkcji dyrektora teatru?

**Kazimierz Dejmek:** Byłoby tu gadania na pół nocy i warto by chyba, póki czas. Bo ja już dzisiaj wielu zdarzeń, ich kolejności i zależności nie pamiętam. Trzeba by mieć pod ręką paru kolegów, parę dokumentów, listów, trochę notatek. Tak, to koniecznie trzeba zrobić, ale teraz? Wolałbym o tym nie mówić. Przeżyłem to wszystko dość głęboko i dość dramatycznie. To był jeden koszmar, pół–jawa, pół–sen, ocknąłem się z niego, jak strzelali do ludzi w grudniu 70 roku.

Ale żeby tak puścić Panią z niczym, to chyba nie uchodzi, no, proszę bardzo, tyle że nie będzie to żadna „Biała Księża”, tylko w skrócie, trochę o początku i trochę o końcu. *Dziadów* w Narodowym nie mogłem ominąć, a unikałem ich przez całe życie, jak diabeł święconej wody. Kiedy przyszło i Narodowemu uczcić solennie 50–tą rocznicę Rewolucji Październikowej, postanowiłem, że *Dziadami* właśnie – dramaturgia światowa niewielu dziełami równie wielkimi, skierowanymi „in tyrannos”, może się poszczycić. Ostatecznie nie tylko nasz straszny Litwin nie lubił caratu, nie lubili go również bolszewicy z Leninem na czele. Wprawdzie po premierze *Kordiana* pewien funkcjonariusz ambasady radzieckiej czynił mi duszeszczypatielnyje wyrzuty, żem właśnie na 200–lecie Narodowego wystawił antyrosyjską sztukę, liczyłem tu jednak na dojrzałość polityczną obu stron. Nie pomyliłem się. Ministerstwo zaakceptowało moją propozycję, a nawet przychyliło się do myśli, aby w czasie występów gościnnych Narodowego w Moskwie przedstawić tam m.in. *Dziady*, oczywiście, jeżeli mi się uda zrobić przyzwoity spektakl.

W czasie trwania prób zaczęło koło nas trochę szumieć od ploteczek i sensacyjek. Kiedy na próbie dla cenzury zjawił się tylko jeden trzeciorzędny cenzor, już wiedziałem, że coś jest naprawdę złe, do premiery jednak doszło. Przedstawienie było jednym wielkim triumfem Holoubka i publiczności. Holoubek grał tę rolę tak, jak się czytuje o graniu Eleonory Duse,

Jermołowej czy Salviniego. Publiczność? Publiczność też była na najwyższym światowym poziomie, natchnął ją Holoubek, Stopka, aktorzy, czas i chwila osobliwa, jej znakiem widowym była praska wiosna, a u nas beznadziejna stagnacja, obumarcie społeczne, na tle którego żwawo uwijali się moczarowcy czy partyzanci. Spychalski i Kliszko byli na premierze i to pewnie oni poszli w ślady owego rosyjskiego urzędniczyny, specjalisty od antyrosyjskości, i to zapewne oni spowodowali nakaz Ministerstwa Kultury, by ograniczyć liczbę przedstawień. Nie dało się tego ukryć, bo trzeba było dokonać zmian w repertuarze, i tu ruszyła lawina. Przez miasto przetoczyła się fala pogłosek, nastrój ekscytacji rósł, na co Ministerstwu nakazano, aby zabroniło dalszych przedstawień. Daremnie zabiegałem o cofnięcie decyzji i daremnie przestrzegałem przed skutkami. I wtedy właśnie doszedłem do wniosku, że mamy tu do czynienia z ordynarną prowokacją. Nie bez powodu uważam za jej autora samego Gomułkę, który – jak mniemam postanowił za jej pomocą rozgromić za jednym zamachem swoich przeciwników wewnątrz aparatu i spacyfikować produczerowskie nastroje polskiego społeczeństwa, a szczególnie inteligencji.

I to było na tyle, jak mówią współcześni Polacy, o początku, a teraz o humorystycznym końcu pewnego dyrektora teatru, to znaczy o tym, jak mnie zdjęto. Ja już w grudniu opróżniłem gabinet dyrektora Teatru Narodowego ze wszystkich moich książek i papierzysek, ale dopiero w lutym 1968 r., kiedy się zaczęły wakacje, wezwał mnie Rusinek i w obecności Balickiego...

**A.Ch.:** Przepraszam, ale kto to Rusinek?

**K.D.:** To był wiceminister, a Balicki był dyrektorem generalnym w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Więc wręczono mi dymisję, proponując równocześnie dyrekcję Słowackiego w Krakowie. Jak Pani widzi – elegancko, propozycji jednak nie przyjąłem. Kiedy zapytał, co zamierzam robić, odpowiedziałem, że zaangażuję się gdzieś jako reżyser. Kiedy zauważył, że nie będzie to możliwe bez ich zgody, odpowiedziałem, że w teatrze pracować nie muszę, że dosyć się w życiu namachałem łopata, pójdę więc do PGR-u. Oświadczył, że bez ich zgody i to mi się nie uda. Kropka; koniec humoreski. Jak Pani wie, była

to prawda, ale ostatecznie, można by o niej tak wprost nie mówić w gmachu Ministerstwa Kultury i Sztuki! A o reszcie przy innej sposobności, bardzo proszę.

I tyle chciałem odczytać. A teraz pytanie, czy o tej reszcie należy dzisiaj mówić. Nie chcę być źle zrozumiany, ale sądzę, że niekoniecznie o całej reszcie. Skoro już się zacząłem bawić w lektora, Państwo pozwolą, że odczytam następny dokument. To jest moje *Oświadczenie* w sprawie *Dziadów*, które zostało przekazane w dniu 6 lutego 1968 roku do Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz do najwyższych władz partyjnych. Przeczytam je z pewnymi skrótami.

Po wielu lekturach i przemyśleniach doszedłem do wniosku, że najważniejszą dla Teatru Narodowego formą uczestnictwa w 50 rocznicy Rewolucji Październikowej będzie wystawienie *Dziadów* Adama Mickiewicza.

W dniu 20 czerwca 1967 r. przystąpiliśmy do prób. Materiał literacki i ikonograficzny programu Teatru Narodowego do *Dziadów* został przeze mnie osobiście zaakceptowany. W dniu 25 listopada 1967 r. odbyła się premiera *Dziadów* przyjęta entuzjastycznie przez publiczność, wśród której liczną grupę stanowiła młodzież. Na widowni znajdowali się między innymi członkowie Biura Politycznego KC PZPR, Zenon Kliszko i Marian Spychalski.

W dniu 28 listopada 1967 r. ukazała się w „Trybunie Ludu” recenzja Jaszcza, której końcowa partia brzmi:

*Dejmek zatrzymał się jakby na progu nierozwiązalnych na pozór sprzeczności, jak wydobyć genialny dramat polityczny z odmętów również wspaniałego, ale całkiem inaczej i w innych kategoriach, dramatu mistycznego. Spróbował je pogodzić i mistyka wyszła na wierzch. A dopóki wychodzić będziemy z założenia, że mistyka Mickiewicza stanowi równie ważny element „Dziadów” jak jego pasja polityczna, że zatem oba te czynniki musimy uwzględnić równolegle w uscenicznianiu dzieła, dopóki porażki zdominują powodzenia. Bo utwór sceniczny jest autonomiczny i rządzi się innymi niż po-*



emat dramatycznymi prawami. Ludowość „Dziadów” wileńskich wciągnęła w swoją noc dziadów Dejmkę i Stopkę, wielbicieli folkloru: ludowa trzeźwość uchroniła ich przed. bałamuctwem. Czemuż nie dała im również pewnej busoli w dalszych częściach widowiska?

Pisząc w ubiegłym roku obszernie i wielokrotnie o Dziadach – przypominałem postulat rozdzielenia „Dziadów” na dwa odrębne wieczory: „Dziady” guślarskie i „Dziady” polityczne. Przemawiając za „Dziadami” politycznymi apelowałem o zachowanie w całości scen satyryczno-politycznych. U Dejmkę skrótom podległa każda scena, równie dobrze mętne Widzenie Księdza Piotra, jak i przejrzysty Salon Warszawski. I Bal u Senatora ogołocony został z wielu momentów, najświetniej prezentujących się w teatrze. Na „Dziady” polityczne satyryczne musimy dalej czekać.

Ale może Dejmek skróci nam czekanie? Doświadczenie z „Kordianem” budzi otuchę. Dejmek przyjrzy się swemu nowemu reżyserskiemu dziełu i – po jakimś czasie – wyciągnie wnioski. A jeżeli się uprze? Nasza, ale i jego strata.

Dziady wchodzi do stałego repertuaru Teatru Narodowego.

Pomyślcie o tym – JASZCZ.

Ukazały się też dalsze recenzje, w sumie siedem. Poleciłem sekretarzowi literackiemu p. Halinie Zakrzewskiej przesłać do redakcji „Teatru” sprostowanie pomylek dokonanych przez recenzentów. Sprostowanie powyższe, które nie ukazało się w „Teatrze”, brzmi następująco:

Warszawa, dnia 4 grudnia 1967 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Recenzja teatralna jest jedynym zapisem informującym widza o przedstawieniu, a nawet więcej, dokumentem, z którego korzystać będzie przyszły badacz teatralny. Zachodzi więc konieczność, w wypadku recenzji z „Dziadów”, sprostować w opisie inscenizacji naszego przedstawienia zbyt rażące nieścisłości i dezinformacje. Czynię to z obowiązku mojej funkcji w teatrze i proszę jednocześnie o wykorzystanie w swoim piśmie moich sprostowań i wyjaśnień, aby doszły one przynajmniej do czytelników Pańskiego pisma.

A więc recenzenci w porządku alfabetycznym.

„Express Wieczorny” z dnia 28 listopada [19]67 r. Cytuję: „przy pomocy strawestowanej dedykacji Mickiewicza...”. Prostuje: Dedykacja Mickiewicza strawestowana nie była. Teatr podał ją w brzmieniu tekstu autora. Cytuję: „Bezpośrednio po tym następuje improwizacja, w którą reżyser wplótł nieliczne strofy z Wyznania Gustawa z części IV”. Prostuje: Wielką Improwizację pan Gustaw Holoubek mówi w całości, a reżyser wcale nie wplótł do niej nielicznych strof z Wyznania Gustawa z części IV. Nie wplótł też nic z części IV do Małej Improwizacji poprzedzającej Wielką. Cytuję: „Jeszcze jedną zmianą inscenizatorsko-reżyserską jest to, że chóry Mickiewiczowskie, które dotychczas mówiły, obecnie śpiewają, co niewątpliwie dodaje emocjonalności widowisku”.

Nie wiadomo, jakie chóry ma recenzent na myśli, jeśli by mu szło o chór wiejskiej gromady w scenach obrzędu, to śpiewający chór wprowadził do swojej inscenizacji chociażby bardzo niedawno Mieczysław Górkiewicz („Dziady” – premiera 19 listopada [19]65 r., teatr w Bielsku Białej, pokaz w Warszawie na sympozjum 29.III – 2.IV.1966). Cytuję: „I na Balu u Senatora Stanisław Zaczyk w roli Adolfa opowiadającego o zesłańcach”. Prostuje: Nie na balu u Senatora, a w Salonie Warszawskim, nie o zesłańcach, a o Cichockim.

„Słowo Powszechnie” z dnia 29 listopada 1967 r. Cytuję: „tekst autorskiej dedykacji, widniejącej na pierwszej karcie III części „Dziadów”, po raz pierwszy wykorzystanej w dziejach scenicznych tego dzieła”. Prostuje: Tekst dedykacji wykorzystał w swojej inscenizacji Mieczysław Górkiewicz (Teatr Polski w Bielsku Białej, premiera 19.XI.65, pokazany na sympozjum w Warszawie). Cytuję: „środek sceny podnosi się nieco, – spod ziemi wyłazić będą lub kryć się tam złe duchy z jakiejś koszarnej szopki”. Prostuje: W żadnym z momentów przedstawienia środek sceny nie, podnosi się. Przez cały czas podest z mansjonami zbudowany na scenie jest nieruchomy. Cytuję: „Gustaw–Konrad rozpoczyna tekst więźnia z Prologu do cz. III („Nocy cicha...”) z ingerującymi Aniołami (które ukazują się zawsze u góry, po obu stronach) i Diablami...”. Prostuje: Aniołowie nie zawsze ukazują się u góry po obu stronach. Po raz pierwszy ukazują się na podeście i stojąc tuż przy więźniu (Gustawie–Konradzie), wypowiadają swoje kwestie. Cytuję: „Tekst Improwizacji skrócony, przetasowany, ale logicznie spójny, o nowej jakby dynamice i nowej jakby jakości intelektualnej”. Prostuje: Wielka Improwizacja w inscenizacji Dejmka nie jest ani skrócona, ani przeta-

sowana. Cytuję: „Improwizację kończy tradycyjnie głos Diabła („Carem”). Po czym Diabły wypełzają spod ziemi i rzucają się na swoją ofiarę (Improwizacji towarzyszy dwugłos duchów dobrych i złych) i dopiero na widok zbliżającego się Ks. Piotra pierzchają. Na tej właśnie scenie drugiej z cz. III kończy się akt I przedstawienia”. Prostuje: Po słowie „Carem” (wypowiadanym przez Diabła) Diabły rzucają się na Konrada i prawie przykrywają go sobą. Tym kończy się akt I przedstawienia. Akt II zaczyna się od tej samej sytuacji i dopiero za chwilę wchodzi Ksiądz Piotr z Jankowskim i Kapralem. Następuje scena egzorcyzmów, po której Diabły pierzchają przy słowach „Chleba i wina”. Cytuję: „Po wyjściu Senatora i gości na opustoszałą scenę wchodzi powoli Konrad, a za nim w oddali uczestnicy obrzędu „dziadów”, intonujący modlitewnie „Zmiłuj się, o Panie”. Przedstawienie kończy się więc tak samo, jak się rozpoczyna. Ale jest to klamra spinająca sztucznie przedstawienie”. Prostuje: Przedstawienie rozpoczyna „obrzęd dziadów”, w którym Gustaw–Konrad nie bierze udziału, zatem nie kończy się ono tak, jak się rozpoczyna.

„Trybuna Ludu” z dnia 28 listopada [19]67 r. Cytuję: „Dekoracja pogrążona w mroku, to zarysy dwóch kaplic (chyba) z frontonem kościoła pośrodku; na nim trzy podwójne krzyże”. Prostuje: Nie, krzyż podwójny jest tylko jeden, z lewej strony od widza, natomiast są trzy pary krzyży z jednym podwójnym. Cytuję: „Brat zakonny ma swoje widzenie pseudowieszczę w ramach mszy świętej katolickiej z udziałem ministrantów oraz chóru”. Wyjaśniam: Msza święta katolicka, której strukturę zatwierdził dla obrządku łacińskiego ostatecznie papież Pius V bullą z 1570 roku; po nieznacznych zmianach Klemensa VIII, Urbana VIII i Plusa X, Sobór Watykański II uprościł w 1964 r. w ramach ogólnej reformy liturgii, niektóre szczegóły obrzędu[...] [Ja nie będę przytaczał całego biegu mszy]. [Dalszy ciąg wyjaśnienia]: Nic podobnego w inscenizacji *Dejmka* nie ma, nie może być mowy o mszy świętej katolickiej. Natomiast (patrz nasz program do „Dziadów”, artykuł specjalny historyka literatury Marii Żmigrodzkiej) [...]. Ale istnieje tu również czas święty [mowa o *Dziadach*], symboliczny, zawarty w granicach roku liturgicznego między wigilią Dnia Zadusznego, gdy to Gustaw przerodził się w Konrada, a zamykającym partie dramatyczne Dniem Zadusznym, określającym czas wywiezienia bohatera do Rosji. W ramach nawiązujących do święta dziadów mamy jeszcze dwa momen-

ty czasu symbolicznego; noc wigilijną, w której toczą się wypadki w celi Konrada, i święto Wielkanocy, ewokowane jako tło Widzenia Księdza Piotra. Czas święty nie odpowiada czasowi historycznemu; służy nie uściśleniu chronologii, lecz wydobywaniu symbolicznego znaczenia wydarzeń. Zgodnie więc z intencją Mickiewicza mamy w inscenizacji Dejmka śpiewy bożonarodzeniowe (kolędy) i wielkanocne (Alleluja).

„Życie Warszawy” z dnia 28 listopada 1967 r. Cytuję: „Ten sam układ mamy na balu u Senatora. Scena ta jest tu śpiewana, zgodnie ze wskazaniem Autora”. Prostuje: Scena ta nie jest śpiewana w przedstawieniu Dejmka. Postacie na balu u Senatora mówią, śpiewają natomiast tańczące panny i młodzieńcy na balu.

Sądzę, Panie Redaktorze, że tych kilka sprostowań uchroni przyszłych czytelników recenzji od fałszywego obrazu, jaki mogą sobie niezawodnie utworzyć z uzupełniających się dezinformacji naszych recenzentów w opisie przedstawienia „Dziadów” w reżyserii Dejmka i scenografii Stopki. Łączę wyrazy szacunku i najgłębszego poważania.

Halina Zakrzewska

Po przytoczeniu tego listu piszę dalej w swoim oświadczeniu:

28 listopada na drugim przedstawieniu *Dziadów* obecni byli członkowie delegacji pisarzy radzieckich na festiwal dramaturgii radzieckiej w Katowicach. Z wyjątkiem Sałyńskiego wyrażali się oni z największym uznaniem o przedstawieniu, jego walorach estetycznych i politycznych. W dniu 29 listopada 67 r. Dyrektor Generalny Ministerstwa Kultury i Sztuki (wspomniany poprzednio w „Zapisie” Balicki) odbył ze mną kolejną rozmowę na temat *Dziadów*. W jej wyniku przesłało na ręce Dyrektora Generalnego list, który znajdzie się pod datą 1.XII.1967 r. Dyrektor Generalny poinformował mnie, iż za pomocą egzemplarza *Dziadów* odparł w KC zarzuty o dopisaniu przeze mnie do tekstu Adama Mickiewicza jakichś scen. [Państwo się śmieją, ale wtedy to nie było do śmiechu]. W tym samym dniu spotkałem się w obecności sekretarza literackiego Teatru Narodowego z dwoma członkami delegacji pisarzy radzieckich, którzy potwierdzili swoje wczorajsze opinie o przed-

stawieniu i wyrazili sąd, że powinno być ono zaprezentowane w Moskwie. W dniu 1 grudnia 67 r. wystosowałem do Dyrektora Generalnego Ministerstwa poniższy list:

*Wielce Szanowny Panie Dyrektorze! W związku z przeprowadzoną ze mną rozmową, uprzejmie powiadamiam, iż wydałem polecenie dla administracji teatru: a) przedstawienie „Dziadów” umieszczać w repertuarze jeden raz w tygodniu, b) nie sprzedawać więcej aniżeli sto biletów po cenach normalnych dla szkół, c) odnotowywać w metrykach przedstawień reakcje publiczności. Równocześnie zwracam się do Pana Dyrektora z prośbą o wyrażenie zgody na utrzymanie 6 przedstawień „Dziadów” w repertuarze grudniowym, który został przez nas ustalony w początku października br., a opublikowany w naszej comiesięcznej ulotce repertuarowej w połowie listopada. Jestem przekonany, że odwołanie przedstawienia z nieznanymi zespołowi powodów oraz z uwagi na już zakupione częściowo przez publiczność bilety sprawić może klimat domysłów i plotki.*

*W zakończeniu pragnę wypowiedzieć się na temat ewentualnych występów gościnnych Teatru Narodowego w Związku Radzieckim. W czasie rozmowy, jaką zechciał Pan Dyrektor ze mną przeprowadzić po premierze m.in. i na ten temat, przedstawiłem Panu Dyrektorowi moje stanowisko w tej sprawie. Obecnie po rozmowach z Arbuzowem i Frołowem [Arbuzow to dramaturg rosyjski, a Frołow – krytyk teatralny rosyjski, o których poprzednio wspominałem; to oni byli w tej delegacji na festiwal dramaturgii w Katowicach], po usłyszeniu opinii Radzińskiego i innych gości radzieckich festiwalu w Katowicach – w tym i o reakcji Sałyńskiego – oraz po przemyśleniu sprawy uważam, iż w czasie ewentualnych występów Teatru Narodowego w Moskwie „Dziady” nie tylko powinny, lecz muszą być w Moskwie przedstawione. Fakt ten, jak sądzę, będzie mógł mieć przełomowe znaczenie dla percepcji „Dziadów” w Polsce, ustanowi bowiem raz na zawsze, iż utwór ten w kategoriach politycznych i narodowych nie jest utworem antyrosyjskim, lecz antycarskim. Utnie się w ten sposób i przy tej okazji całą aferę podniecających domysłów, aluzji, szowinistycznych satysfakcji, ustanawiając oficjalnie i ostatecznie klasowy charakter utworu. Dla naszej opinii publicznej i dla naszej tradycji i nawyków będzie to zapewne szok*

*i wstrząs, w których zbawienność osobiście nie wątpię. Mądrość i pożytek takiej decyzji dla stosunków i ich klimatu pomiędzy obu narodami jest dla mnie oczywista, choć będzie ona próbą i miarą dojrzałości ludzkiej i politycznej. Jestem przekonany, iż mamy obowiązek i musimy mieć obopólną odwagę próbę taką podjąć dla dobra edukacji obu społeczeństw. A mam nadzieję, że całą sferę religijną przedstawienia widzi rosyjski zrozumie właściwiej i lepiej, gdyż jego związek z „podglebkiem” jest faktem i że nie będzie go po nocach straszyć apokaliptyczna wizja aniołów w mansjonach i chłopaczków z gwiazdą, którzy zagrażają wedle „Trybuny Ludu” i jej recenzenta naszemu ustrojowi.*

*Proszę przyjąć, Wielce Szanowny Panie Dyrektorze, wyrazy głębokiego szacunku.*

Do listu załączyłem wydrukowaną ulotkę repertuarową na miesiąc grudzień oraz plany repertuaru na miesiąc styczeń 1968 r. sporządzone, jak to w naszym zwyczaju, na dwa miesiące wcześniej. W tych dniach rozeszła się pogłoska o zatrzymaniu recenzji z *Dziadów* w tygodnikach. Pogłoska ta została potwierdzona przez fakty i w niej należy, moim zdaniem, poszukiwać źródła narastającej lawiny plotek, komentarzy i domysłów. Od tego momentu wokół przedstawienia *Dziadów* zaczęła powstawać atmosfera sensacji politycznej, co znalazło swój wyraz w reakcjach publiczności. Nieobliczalna decyzja spowodowała, iż *Dziady* z kategorii estetycznej zostały zepchnięte na grunt kawiarnianej sensacyjki politycznej.

W dniach 5.XII – 16.XII.[19]67 przebywałem na badaniach w szpitalu, co zostało mi przepisane przez lekarza Teatru Narodowego w połowie listopada 1967 r. W dniu 12.XII.67 r. otrzymałem wiadomość o opinii kierownika Wydziału Kultury KC PZPR i jego zastępcy o przedstawieniu; uznali je za antyrosyjskie. W tygodniku „Stolica”, z tygodnia 17–24 grudnia, w rubryce „Kramik pod Syrenką” ukazała się wzmianka pt. *Pochwała gościa*, której treść przeczytam:

*Znany pisarz radziecki Arbuzow, który w czasie niedawnej wizyty w Warszawie oglądał przedstawienia w kilku stołecznych teatrach, za najlepszy spektakl uznał „Dziady” w Teatrze Narodowym (reżyseria i inscenizacja Kazimierz Dejmek).*

W dniach 8 i 14 grudnia przedstawienia *Dziadów* zostały odwołane

z powodu choroby Gustawa Holoubka, na co istnieją dowody lekarskie. W dniu 21 grudnia 67 r. zostałem wezwany w trybie nagłym do KC na rozmowę z kierownikiem Wydziału Kultury KC PZPR. Pod adresem przedstawienia skierowano dwa generalne zarzuty; antyrosyjskość i antyradzieckość oraz religianctwo. Zarzuty były oparte na cytowanych tekstach utworu. W swojej odpowiedzi określiłem mój stosunek do romantyzmu polskiego, do dwóch przeciwstawnych koncepcji kultury narodowej (Kochanowski – Mickiewicz), do programu Teatru Narodowego i do *Dziadów* jako utworu rewolucyjnego, politycznego i patriotycznego. Odcięcie się partii od przedstawienia *Dziadów* w Teatrze Narodowym określiłem jako wyraz nieufności przywódców partii do socjalizmu, rewolucji i społeczeństwa. Tłumaczyłem bezzasadność identyfikacji Rosji carskiej ze Związkiem Radzieckim oraz moją interpretację chrystianizmu i mistycyzmu Mickiewicza, która polegała na przesunięciu ich ze sfery dewocyjnej na grunt ludowości. Moja interpretacja *Dziadów* wynika zresztą z całokształtu myślenia o narodowej, polskiej formie naszego teatru. Przedstawienie *Dziadów* wyrosło z moich doświadczeń wyniesionych z pracy nad *Historią o chwalebnyim Zmartwychwstaniu* nad *Słowem o Jakubie Szeli i Żywotem Józefa*, z których zresztą świadomie zapożyczyłem szereg rozwiązań. Pragnąc dać dowód zrozumienia, postanowiłem zmienić scenę ostatnią: z Konrada w kajdanach na Guślarza.

Na każdym przedstawieniu *Dziadów* były jakieś komisje i jakieś osobistości. Atmosfera wokół przedstawienia narastała, a jej treść ulegała zmianie: sensacyjka i sensacja ustąpiła miejsca atmosferze niepokoju, troski, sprzeciwu i protestu. Powstała opinia i przekonanie, iż decyzja zdjęcia z afisza *Dziadów* została spowodowana interwencją Ambasady Radzieckiej.

W dniu 30 grudnia [19]67 r. powiadomiono mnie o niezadowoleniu I Sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki z antyradzieckich *Dziadów* w Teatrze Narodowym i o powziętych jakoby krokach administracyjnych wobec mojej osoby. W dniu 3 stycznia 68 r. dyrektor generalny Ministerstwa poinformował mnie o decyzji KC: *Dziady* w miesiącu lutym mogą być zagrane trzy razy, w następnych miesiącach do urlopu po dwa razy, po urlopie nie mogą być wznowione. W czasie tej rozmowy zgłosiłem dymisję ze stanowiska dyrektora Teatru Narodowego. Dymisja nie została przyjęta. W dniu

4 stycznia [19]68 r. dzwoniłem parokrotnie do sekretarza Sekretariatu KC PZPR Zenona Kliszki z prośbą o przyjęcie mnie. Telefony te ponawiałem bezskutecznie w dniach 8 stycznia i 17 stycznia 68 r.

W dniu 16 stycznia 68 r. dyrektor generalny Ministerstwa Kultury zawiadomił mnie, iż w dniach 25 i 30 stycznia 1968 r. odbędą się dwa ostatnie przedstawienia *Dziadów*. Ponownie zgłosiłem swoją dymisję, która nie została przyjęta. Wyraziłem wówczas gotowość ustąpienia ze stanowiska w każdej chwili i w każdej formie, jaka dogadzałaby resortowi z uwagi na to, że zaczęto za wystawianie *Dziadów* obarczać odpowiedzialnością resort, chcąc w ten sposób ratować jakoby moją osobę i moją sytuację. Pragnę i w tym miejscu dobitnie oświadczyć, iż za wystawienie *Dziadów* na okoliczność uroczystych obchodów 50. rocznicy Rewolucji Październikowej oraz za ich wymowę i formę odpowiedzialność ponoszę wyłącznie i jedynie ja.

W dniu 17 stycznia [19]68 r. otrzymałem wiadomość o konferencji, jaka miała miejsce w Ambasadzie Polskiej w Moskwie. Na konferencji tej delegacji pisarzy radzieckich na festiwal w Katowicach zgłosili projekt przyjazdu *Dziadów* na festiwal dramaturgii polskiej w Związku Radzieckim w 1969 roku w związku z uroczystymi obchodami 25-lecia PRL. W dniu 21 stycznia próbowałem rozmawiać z kierownikiem Wydziału Kultury KC na temat decyzji zdjęcia z afisza *Dziadów*, ostrzegając przed jej skutkami. Przewidując, czym może się stać dla nastrojów społeczeństwa wiadomość o tej decyzji, sporządziłem w dniu 26 stycznia [19]68 r. następujący komunikat do prasy;

*Dyrekcja Teatru Narodowego zawiadamia uprzejmie, iż z powodów organizacyjnych przedstawienie „Dziadów” nie będzie grane w pierwszej połowie lutego br. O terminie wznowienia spektaklu w drugiej połowie lutego powiadomimy PT Publiczność w kolejnym komunikacie.*

Na umieszczenie tego komunikatu w prasie nie otrzymaliśmy zgody.

W dniu 30 stycznia [19]68 r. odbyło się ostatnie przedstawienie *Dziadów*, w czasie którego i po którym miały miejsce demonstracje publiczności i młodzieży. Przebieg reakcji publiczności na przedstawieniach odnotowany był w metrykach przedstawień. Naoczni świadkowie potwierdzą zmianę ich treści i narastanie.

W dniu 3 lutego 68 r. w audycji telewizyjnej „Pegaz” Grzegorz Lasota



i Witold Filler w odpowiedzi Wolnej Europie ustosunkowali się do przedstawienia *Dziadów* w Teatrze Narodowym. Witold Filler uzasadnił decyzję zdjęcia *Dziadów* z repertuaru Teatru Narodowego faktem, że uległy one istotnemu wypaczeniu i zasadniczemu zwichnięciu na skutek wyeliminowania przeze mnie podstawowego jakoby konfliktu utworu pomiędzy Gustawem a Konradem. Powyższa teza Witolda Fillera posłużyła mu do stwierdzenia: „Jak widać, daleko odeszliśmy od genialnej metafory Adama Mickiewicza. Romantyczna poezja została zamieniona na drobną politykę. Dodajmy jeszcze, że i ta polityka w swej obiektywnej wymowie nie jest chyba zgodna z ideologią Adama Mickiewicza”.

W dniu 3 maja 1945 r. została powzięta na VII posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej uchwała w sprawie Narodowego Wydania *Dzieł* Adama Mickiewicza, którego tom z *Dziadami* ukazał się w roku 1948. Po wieloletnich naradach i dyskusjach (m.in. w 1952 roku ministerstwo zaprosiło i mnie do opracowania inscenizacji) odbyła się w 1955 roku premiera *Dziadów* w Teatrze Polskim w reżyserii Aleksandra Bardinięgo. Od tego czasu odbyło się kilkanaście wystawień utworu, różnie przez krytykę i opinię publiczną ocenionych. Moja interpretacja spotkała się z uznaniem i z zastrzeżeniami, jej zwolennicy i jej przeciwnicy uznali jednak jej żywość i jej walory artystyczne. Moja interpretacja *Dziadów* jest wierna literze i duchowi arcydzieła Adama Mickiewicza. Jako materialista z największym taktem zinterpretowałem w kategoriach obrzędowych i ludowych mistyczną sferę utworu. Jako reżyser uczyniłem wszystko, aby rewolucyjne i patriotyczne treści utworu stały się żywe.

Jaszcz i jemu podobni chwalili przedstawienie *Nieboskiej Komedii* w reżyserii Konrada Swinarskiego, podobnie, jak chwalili i lansowali podobnego rodzaju produkcje naszych „nowatorów”, uprawiających kłusownictwo. W przeciwieństwie do nich utwór poety nie był dla mnie nigdy pretekstem. Nigdy też nie miałem nic wspólnego ze szkodnictwem w dziedzinie teatru, uprawianym po obu stronach rampy przez nieodpowiedzialne elementy, czy to w imię marksizmu, czy ostatnich nowinek zachodnich.

Zastosowane wobec mojego przedstawienia środki administracyjne

spowodowały i sprowokowały reakcję społeczeństwa i wywołały atmosferę protestu. Odrzucam kategorycznie wszelkie insynuacje i pomawianie mnie o szkodliwą politycznie interpretację *Dziadów*, zniekształcenie i wypaczenie ich treści. Zakaz wystawienia *Dziadów* w Teatrze Narodowym oceniam jako prowokację antynarodową i antyradziecką. Jako członek partii protestuję przeciwko decyzji KC PZPR o zdjęciu z repertuaru Teatru Narodowego *Dziadów* Adama Mickiewicza w moim układzie tekstu i reżyserii oraz domagam się odwołania tej decyzji. 6 lutego 1968 r.

W dniu 30 stycznia odbyło się ostatnie przedstawienie *Dziadów*. A oto *Notatka służbowa dotycząca spektaklu „Dziadów” w dniu 30 stycznia 1968 r.* (Podpisany jest dyrektor administracyjny, mój ówczesny zastępca, dyrektor Harry Anders. Notatka została sporządzona na żądanie określonych organów):

1. Bilety na spektakl też zostały wyprzedane znacznie wcześniej aniżeli termin przedostatniego spektaklu, czyli 25 stycznia br. – dwa tygodnie przedsprzedaży.

2. Publiczność informowana była dużym napisem umieszczonym w hallu Teatru Narodowego: „Wszystkie bilety sprzedane”.

3. Wobec dużej ilości zgłaszających się interesantów osobiście do teatru, telefonicznie, i którym nie sposób było odmówić wejścia, sporządziliśmy dwie listy: jedną na możliwą ilość miejsc dostawnych siedzących, drugą na miejsca stojące (40 siedzących plus 75 siedzących). Ilość tych miejsc nie zakłócała normalnego funkcjonowania widowni i wynika ona z praktyki teatralnej.

4. Organizacja obsługi widzów w tym dniu była następująca: a) kontrola biletów przy drzwiach wejściowych z hallu do szatni składała się z 4 osób (nazwiska bileterów); b) porządkowanie widzów wokół drzwi od strony hallu kasowego sprawowali nasi pracownicy (wymienieni pracownicy, pięciu). Pracownicy ci tworzyli szpaler umożliwiający swobodne dojście do osób kontrolujących bilety; c) od strony portierni wejście dla pracowników zabezpieczali nasi pracownicy (nazwiska), d) wszystkie bileterki nie sprzedawały w tym dniu programów, sprzedaż była scen-

tralizowana na stoisku, a widzowie byli obsługiwani przez kierujących ruchem bileterów (wydawanie krzeseł dostawnych, wskazywanie miejsc na widowni itd., itd.).

5. Wielokrotnie, od godz. 18.00 poczynając, informowałem i przeproszałem osobiście publiczność zaczynającą się gromadzić w hallu kasowym, że wszystkie bilety zostały wyprzedane, że nie mamy żadnych możliwości ulokowania więcej widzów, aniżeli obejmuje nasza widownia. Wiele osób zrezygnowało i opuszczało hall kasowy, osoby, które uzyskiwały miejsca dostawne dodatkowe, miały pozostawione w kasie biletowej specjalna karty wejściowe.

6. Publiczność zaczęliśmy wpuszczać do teatru (z hallu kasowego do szatni, a następnie na widownię) o godz. 18 minut 30, to znaczy znacznie wcześniej niż czynimy to na pozostałych spektaklach.

7. Wskutek napływu osób i wzrastającego naporu nasi kontrolerzy musieli się cofnąć nieco w głąb i w tym też momencie wdarło się kilka osób poza bramę łączącą hall kasowy z wnętrzem teatru. Widząc, że publiczność nie słucha prośb naszych pracowników, zdecydowałem zamknąć drzwi i zadzwoniłem do Pogotowia MO (tel. 26–24–24). Była to godzina między 19.00 a 19.10. Przedstawiłem funkcjonariuszce MO sytuację i prosiłem o pomoc. Osoba przyjmująca mój meldunek oświadczyła, że przekazała moją sprawę i że patrol MO zaraz będą. Po kilku minutach widząc, że nie ma nikogo z MO (upłynęło może 5 minut), powtórnie połączyłem się z Pogotowiem MO, prosząc znów o pomoc. Usłyszałem odpowiedź, że dwa radiowozy są na Placu Teatralnym i pod teatrem i że mam je odszukać. Z kol. Stanisławem Wąchalskim przez wejście dla pracowników od ul. Wierzbowej pobiegliśmy na Plac Teatralny, gdzie przed teatrem stał jeden radiowóz, w którym był tylko kierowca w stopniu sierżanta, który z kolei poinformował nas, że oficer MO (w stopniu kapitana) wszedł do hallu. Widząc, że nie dostaniemy się do przedstawiciela MO, kol. Wąchalski wrócił do teatru, ja pozostałem przy samochodzie MO i prosiłem funkcjonariusza MO, aby był uprzejmy i połączył się z Pogotowiem, ale nie znam odpowiedzi, bo zauważyłem, że publiczność z hallu kasowego wchodzi do teatru. Podążyłem za wchodzącymi. Dowiedziałem się od kol. Wąchalskiego, który był we wnętrzu, że oficer MO polecił naszej służbie porządkowej wpuścić całą publiczność do teatru. W ten sposób

dostało się do teatru bez biletów około 50 osób, mężczyźni i kobiety. Byli to przede wszystkim aktorzy z teatrów stolicy, kilka osób z Łodzi i Poznania, młodzież studencka.

8. Po powyższym fakcie zamknęliśmy drzwi i kontrolowaliśmy dalej osoby przychodzące z biletami.

9. Dwukrotnie po powyższym fakcie przybył do teatru wyższy oficer MO w stopniu majora, któremu ja i nasi pracownicy referowaliśmy sprawę.

10. Publiczność w czasie zajmowania miejsc, w czasie opuszczania widowni zachowywała się wzorowo.

11. Po spektaklu, po zapadnięciu kurtyny i odsłonach przy ukłonach trwały okrzyki „Niepodległość bez cenzury”, a następnie „Dejmek”.

12. W czasie trwania spektaklu na parterze czuwał kierownik widowni Worobiew, na pierwszym balkonie – kierownik widowni Wąchalcki, a na drugim balkonie byłem osobiście cały czas na widowni.

13. Ilość widzów na widowni; ilość biletów sprzedanych – 880 plus passe-partout oraz abonamenty – 22, dostawne – 40, stojące według kart wejścia – 75, oraz bez biletów i kart – 50.

14. Kurtyna szła w górę dziesięć razy, gdy natomiast w dniach 25 listopada – jedenaście, 28 listopada – dziesięć, 1 grudnia – jedenaście, 21 grudnia – szesnaście, 5 stycznia – piętnaście, 13 stycznia – piętnaście itd., itd.

15. Informacja ogólna: przed 23 stycznia br. do dnia spektaklu w dniu 30 stycznia br. do kierownictwa teatru napływały setki, jeśli nie tysiące telefonów od różnych instytucji i osób (na przykład z Łodzi, Wydział Kultury, z Lublina – zgłoszenie 30 osób, przyjazd aktorów i przedstawicieli prasy z prośbą o rezerwację biletów z całej Polski, osoby z terenu Warszawy pracujące w instytucjach centralnych, urzędach i biurach, prasa Warszawy i całego kraju, itd.). Na powyższe prośby i telefony zmuszeni byliśmy udzielać odpowiedzi odmownych, tłumacząc całkowitym brakiem biletów i miejsc na spektakle. Należy także dodać, że zmuszeni byliśmy odmówić obejrzenia spektaklu *Dziadów* rodzinom naszych zespołów: artystycznego, technicznego i administracyjnego, wywołując zrozumiałe rozgoryczenia wśród naszymi pracownikami.

Tu jeszcze mamy taki dokumencik: *Brawa w dniu 30 stycznia 1968 r. w okresie przedstawienia „Dziadów” przy otwartej kurtynie*. Ale już chyba nie

będę państwu tego czytał, bo ja i tak jestem tu raczej za buchaltera aniżeli za atrakcyjnego mówcę.

Chcę jeszcze dodać parę słów na koniec, bo muszę już kończyć. Myślę, że do tych trzynastu lat dzielących nas od roku 1968, tzn. trzynastu lat z groszami dzielących nas od premiery, no i od ostatniego spektaklu, trzeba koniecznie dodać (co jest dla Państwa, jak sądzę, całkowicie jasne i oczywiste) parę lat dzielących nas od października 1956 roku. To chyba truizm, ale nie ulega w tej chwili żadnej wątpliwości, że Marzec był konsekwencją Października. (Oczywiście, te „ruskie baby” możemy, jedna z drugiej dalej wyciągać, bo przecież październik 1956 był konsekwencją [19]48 roku; można by iść dalej w głąb, jeszcze do 1938 roku i wcześniej do historii KPP itd., itd.).

A więc parę słów o tym, co się zaczęło dziać po Październiku. Chcę zwrócić uwagę Państwa na to, że Gomułka zaczął wyrzekać się Października, odchodzić od niego, przede wszystkim przy pomocy aparatu bezpieczeństwa. Pod koniec lat pięćdziesiątych, na początku sześćdziesiątych, nastąpiła niebywała rozbudowa rozgromionego po Październiku aparatu bezpieczeństwa, aparatu policji, i Gomułka się na tym aparacie przede wszystkim oparł. Towarzyszyły temu najrozmaitsze czystki, zwłaszcza antyżydowskie i zwłaszcza w wojsku, ale nie tylko. Gomułka był atakowany z wielu stron: i przez liberałów, i przez rewizjonistów, i przez konserwę partyjną. Nie ulega wątpliwości, że w Marcu szykowany był zamach stanu. Wiemy na przykład o tym, że były sekretarz dzielnicy robotniczej Wola, Jerzy Łukasiewicz, utrzymywał w pogotowiu aktyw partyjny w czasie marcowego posiedzenia Sejmu. Aktyw ten miał się udać pod Sejm z manifestacją i domagać się ustąpienia Spychalskiego, Cyrankiewicza itd., itd. O tym, że zamach stanu, przegrupowanie na najwyższych szczeblach było szykowane, mówią nie tylko plotki, ale i ulotki. Sam miałem w ręku parę ulotek, których anonimowi autorzy dowodzili, że np. Józef Cyrankiewicz naprawdę nazywa się – no, nie wiem – Mordechaj Tajtelbaum, i że ten właśnie Mordechaj, na początku lat pięćdziesiątych, gwałcił na oczach dziewiętnastu skazanych na śmierć naszych admirałów i oficerów z Wybrzeża – ich żony. Spychalski oczywiście według tych ulotek był agentem wywiadu izraelskiego itd., itd.

Jakkolwiek rzeczy by się miały, z jakimkolwiek działaniami politycznymi mielibyśmy do czynienia, jakiegokolwiek zwalczające się obozy brałyby w tym udział – ja w tej chwili uchylam się od panoramy, od przeglądu; jestem w tej materii całkowitym amatorem – w żadnym wypadku nie wolno było wmanewrować kwestii żydowskiej do tej rozgrywki politycznej czy do tych działań politycznych, które – jak na wstępie powiedziałem – sięgają swoimi korzeniami daleko do lat trzydziestych zapewne. Można zrozumieć, że polityk mógł mieć jakiś cel. Polityka nie jest moralna i nie musi być estetyczna. Nie wolno było jednak oczyszczać pola dla kołtuna szczególnie podatnego na tego rodzaju argumentację. Sądzę, że polityka, czy polityków, powinien przed takimi działaniami powstrzymać wzgląd elementarny: stosunek do mniejszości narodowych, a pod naszą szerokością geograficzną zwłaszcza stosunek do kwestii żydowskiej jest miarą nie tylko społecznej i osobistej przyzwoitości, ale również probierzem wiarygodności socjalizmu. Myślę, że to, co się w tym względzie stało w marcu 1968 r., przyniosło nie tylko szkodę dobremu imieniu Polski i Polaków, ale zhańbiło również dobre imię socjalizmu. Rzecz charakterystyczna; ten „marcowy” Gomułkowski socjalizm po raz pierwszy oczarował polskiego kołtuna. Co się zaś tyczy endeków, Państwo może nie znają tej krótkiej anegdoty, a więc ją przytoczę: 8 czy 11 marca, na placu Zamkowym, wieczorem, już po tym, co się tutaj stało, spotykają się dwaj omszali endecy. Jeden z nich powiada do drugiego: „No cóż, kolego, dożyliśmy swego”. Na to drugi: „No tak, kolego, wspaniale, wspaniale, ale, czy nie uważacie, że ci komuniści trochę jednak przesadzili?”

To by była jedna kwestia w związku z Marcem, najistotniejsza. Druga, również istotna, choć może nie tak ważna, to że w żadnej sytuacji – jak sądzę – nie wolno było politykom wmanewrować do swoich działań – niezależnie od tego, czym były podyktowane i do czego zmierzały – Mickiewiczowskich *Dziadów* bez względu na to, jak i gdzie były one wystawione. Twierdzą, że gdyby nawet miano w ręku dowody na to, że wystawiłem *Dziady*, właśnie *Dziady*, w 50. rocznicę Rewolucji Październikowej, na zlecenie – nie wiem – Mosze Dajana czy Moczara, czy wszystko jedno kogo, że wystawiłem je prowokacyjnie; więc powiadam, nawet gdyby dysponowano materialnymi i rzeczowymi dowodami na to, że mamy oto do czynienia z prymitywną,

ordynarną prowokacją jakichś ugrupowań, jakichś sił, dokonaną przez jakiegoś tam pana Dejmka, to nawet wówczas, nawet w takiej sytuacji, politycy powinni schować tę prowokację do kieszeni, czy do szuflady, udać, że nic się nie stało, i z panem Dejmkiem rozliczyć się w odpowiedniej chwili.

Te dwie kwestie to miara głupoty i ślepoty politycznej naszych ówczesnych przywódców, czy naszego ówczesnego przywódcy. Sądzę, że Gomułka – nie tylko w związku z Praską Wiosną – był na przełomie lat 1967–1968 potrzebny detonator, który by mu pozwolił bezkarnie i bezpiecznie rozprawić się z liberalnie nastawioną inteligencją, z opozycjonistami wewnątrz aparatu władzy, wszystko jedno, czy spod znaku rewizjonizmu, czy konserwy. Chodziło mu o wywołanie ekscytacji społecznej dla spolaryzowania sił, o wywołanie poczucia zagrożenia interesów Polski i Polaków, i w efekcie – o dokonanie przegrupowań. Te właśnie dwie kwestie, jak sądzę, bardzo się przydały.

Chcę Państwu powiedzieć, że już w czasie prób *Dziadów* w uliczce Aleksandra Fredry przy Teatrze Narodowym stały budy milicyjne i wodne armatki. Nikt z nas nie wiedział, po co. Z okien bufetu widzieliśmy to dokładnie. Wiem, że np. Cyrankiewicz sprzeciwiał się – i dość długo i kategorycznie – wmanewrowaniu *Dziadów* w całą tę aferę.

Wspomniałem już, że tę decyzję podjął Gomułka na noworocznym spotkaniu z pracownikami KC PZPR, 30 czy 31 grudnia. Oświadczył w swoim tekście dosłownie, że Teatr Narodowy wbił nóż w plecy przyjaźni polsko-radzieckiej. Kiedy zapytałem jednego z prominentów, który pośredniczył pomiędzy mną a innymi prominentami (m.in. właśnie Cyrankiewiczem), kto tym wszystkim kręci, ów oświadczył mi, że Wiesław. W parę dni potem pytałem Jerzego Zawieyskiego w jego mieszkaniu przy Brzozowej, komu na tym zależy, kto to wszystko reżyseruje, kto to prowadzi, kto to wytycza Zawieyski podniósł wskazujący palec, co znaczyło że „Pierwszy”, że Gomułka, a następnie oświadczył mi na użytek podsłuchu, że nie ma zielonego pojęcia. Oczywiście, i ten prominent, i Zawieyski mogli się mylić, ale w sposób pośredni można by z dużym prawdopodobieństwem wynioskować, że architektem całej oprawy *Dziadów* był właśnie Gomułka. Pośrednio, a i bezpośrednio z jego mowy z 19 marca. Właściwie powinienem tę mowę przeczytać w całości, i to byłoby chyba najlepsze rozwiązanie. Czytałem ją niedawno, zale-

cam lekturę, to bardzo smutny dokument. A jeżeli idzie o poziom polityczny tego dokumentu, to niech mi Państwo pozwolą powiedzieć, że jest to poziom raportów Makrota do Wielkiego Księcia Konstantego, w których to Makrot między innymi donosił, ile i jakiej treści napisy w publicznych wychodkach się pojawiły. Tak by można określić przynajmniej ten fragment, który odnosi się do Jasienicy.

To właściwie byłoby wszystko. Tylko jeszcze jedno sprostowanie. Środowiska partyjne kolportowały rozmaite wiadomości o skandalach, jakie – poza samą antyradziecką interpretacją utworu – wyczyniał zespół Teatru Narodowego. Np. Holoubek na jednym z przedstawień zszedł do pierwszego rzędu, podszedł do ambasadora radzieckiego, potrząsnął kajdanami i krzyknął w uniesieniu: „Spektakl trwa!”. Otóż, chcę powiedzieć, że na żadnym przedstawieniu *Dziadów* nie było żadnego ambasadora radzieckiego, co więcej, nie było żadnego przedstawiciela ambasady radzieckiej, przynajmniej oficjalnie, bo nieoficjalnie na pewno mieli swoich obserwatorów. Myślę, że strona radziecka była zaskoczona sprawą *Dziadów*; sprawą żydowską – zapewne nie. Natomiast sprawą *Dziadów* była zaskoczona mniej więcej tak, jak my wszyscy. Chcę Państwu przypomnieć, że moja propozycja przedstawienia *Dziadów* w Moskwie, w ramach gościnnych występów Teatru Narodowego, była, o ile mi wiadomo, przyjęta i zaakceptowana. Myślę, że Gomułka posłużył się tutaj przyjaźnią polsko-radziecką dla swoich celów. Jedną maczugą była kwestia żydowska i nią rozłupywał łyby; drugą były *Dziady*, ale najpotężniejszą maczugą była przyjaźń polsko-radziecka, i tą wymachiwał najgroźniej. Sądzę, że Rosjanie wobec tej maczugi również chyba byli bezradni. Tak mi się wydaje.

I to, proszę Państwa, byłoby wszystko. Nie mam żadnej pointy, która zapewniłaby mi burzliwe brawa. Może mi się jakaś trafi w związku z pytaniami, jeżeli będą.

[tekst nieautoryzowany]

■ **Kazimierz Dejmek** (1924 – 2003), reżyser teatralny i aktor, twórca wielu wybitnych inscenizacji ( m.in. *Łaźnia* Majakowskiego, 1954; *Historyja o chwalebnyim Zmar-*



*twychstaniu Pańskim* Mikołaja z Wilkowiecka, 1961; *Żywot Józefa Reja*, 1958; *Dziady* Mickiewicza, 1967; *Operetka* Gombrowicza, 1977); 1950 – 1962 dyrektor Teatru Nowego w Łodzi, od 1962 – Teatru Narodowego w Warszawie. Po sprawie *Dziadów* i wydarzeniach marcowych w 1968 usunięty ze stanowiska, przez kilka lat reżyserował głównie za granicą. Po powrocie w kraju kierował kilkoma placówkami teatralnymi; realizując m.in. ważne inscenizacje sztuk Mrożka, a także operę Pendereckiego *Diabły z Loudun*. W latach 1993 – 1996 minister kultury. W styczniu 2008 jego imię nadano Teatrowi Nowemu w Łodzi.



## Andrzej Braun

### Co się działo na Nadzwyczajnym Walnym Zebraniu Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich

Szanowni Państwo, będę mówił prawdę, możliwie pełną prawdę i tylko prawdę.

Postaram się także powstrzymywać od komentarzy własnych, z wyjątkiem tych, które już z perspektywy czasu przedstawiła nasza zbiorowość literacka w formie oświadczeń publicznych czy uchwał – postaram się powstrzymywać, chociaż nie wiem, czy mi się to uda.

Proszę wybaczyć zwięzłość tego, co przypomnę, oraz nieuniknione luki pamięciowe – uwzględniając dystans trzynastu lat.

Nakazane odgórnie zdjęcie z afisza w Teatrze Narodowym Mickiewicza *Dziadów* – tej sumy tożsamości narodowej Polaków – w dniu 30 stycznia 1968 roku wywołało, zwłaszcza wśród młodzieży, znane reakcje. Po manifestacji pod pomnikiem Poety, manifestacji rozpędzonej przez milicję, studenci rozpoczęli akcję zbierania podpisów pod petycją do Sejmu – tego sejmiku, który w 1946 roku zobowiązał się uroczyście udostępnić dzieła Adama Mickiewicza całemu narodowi. Mimo przeszkód zebrano tych podpisów bodaj trzy tysiące.

Akcja ta znana była pisarzom w Związku Literatów, który to Związek wobec całej szokującej sprawy nie mógł pozostać bierny.

Muszę tutaj odstąpić od zasady, zadeklarowanej na wstępie, i sięgnąć do osobistych wspomnień.

W połowie lutego 1968 roku wystosowano do władz ZLP list – żądanie pisarzy pisarzy, członków Oddziału Warszawskiego, jak najszybszego zwołania Nadzwyczajnego Walnego Zebrania Oddziału w związku z zakazem

wystawiania *Dziadów*. List ten podpisało 255 pisarzy na ogólną liczbę 626 członków Oddziału, to znaczy więcej niż wymagana statutowo jedna trzecia. Termin zebrania wyznaczono na 29 lutego 1968 roku.

Fakt zwołania owego Zebrania i perspektywa uchwalenia stosownej rezolucji zmobilizowały organizację partyjną przy Oddziale do przeciwdziałania – zwłaszcza że list zwołujący zebranie podpisało również wielu członków partii. Na wcześniejszym zebraniu POP postanowiono zredagować rezolucję partyjną. Ponieważ byłem wówczas członkiem partii, wyznaczono mnie, wraz z panią Anną Bukowską i Stanisławem Ryszardem Dobrowolskim, do zredagowania odpowiedniego tekstu. Mówię o tym z przykrością.

Trójka nasza, która miała odzwierciedlać różne opinie wśród pisarzy partyjnych, nie doszła do porozumienia. Kamieniem obrazy dla mnie był forsowany przez Dobrowolskiego ustęp, gdzie w jednym zdaniu zrównywano polską patriotyczną młodzież studencką – naszych synów i córki – z agentami imperializmu. Pomimo mego wyłączenia się, tekst ten został przez Dobrowolskiego wygotowany.

Zebranie miało miejsce w sali ZAIKS-u, 29 lutego wieczorem. Sala była zatłoczona, obecnych blisko 400 osób. Przewodniczyła z urzędu Wanda Żółkiewska, ówczesny prezes Oddziału. Na asesora wybrano Artura Międzyrzeckiego, ówczesnego wiceprezesa Zarządu Głównego, który współprzewodniczył przez część obrad, oraz Igora Newerlego.

Atmosfera panowała napięta, próba sił wisiała w powietrzu. Wszyscy wiedzieli o dwóch różnych przygotowanych rezolucjach. Zebranie było zamknięte.

Zaraz na początku Paweł Jasienica zgłosił wniosek o głosowanie tajne nad proponowanymi rezolucjami. Natychmiast Jerzy Putrament – po wygłoszeniu kilku ostrzeżeń, czym to zebranie nam, pisarzom, grozi – przedstawił wniosek o głosowanie jawne. Może się to dzisiaj wydawać zabawne, ale wówczas żądanie głosowania tajnego było ewenementem. Wniosek Jasienicy przeszedł większością 252 głosów, przeciw 108, przy 15 wstrzymujących się.

Następuje wybór 12-osobowej Komisji Wnioskowej.

Kolejnym punktem porządku dziennego była informacja Dyrektora Departamentu Teatrów w Ministerstwie Kultury i Sztuki, Stanisława Witolda Balickiego – jedyne oficjalnego przedstawiciela władz obecnego na sali – o powodach zdjęcia *Dziadów* ze sceny Teatru Narodowego. Argumentował on, że publiczność teatralna wyjmowała poszczególne zdania Poety z kontekstu dramatu i – nadając im odmienne znaczenie – manifestowała wrogie nastroje wobec państwa ludowego.

Potem nastąpiło zgłoszenie dwóch rezolucji: rezolucji Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego w imieniu POP i Koła Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego przy Oddziale Związku Literatów w Warszawie, oraz rezolucji zgłoszonej przez Andrzeja Kijowskiego.

Rozpoczęła się dyskusja nad rezolucjami. Za rezolucją zgłoszoną przez Kijowskiego przemawiali między innymi:

Antoni Słonimski – który przypomniał Październik 1956 roku i to, co się od tamtego czasu działo;

Paweł Jasienica – mówił między innymi o hańbie antysemickich ulotek, rozrzucanych na terenie Uniwersytetu, pokazując ich egzemplarze; Jerzy Putrament głośno stwierdził, że jest to rzeczywiście hańba;

Leszek Kołakowski – wygłosił piękne przemówienie, którego streścić nie potrafiłbym, ale które przeczytać można w stenogramie w Bibliotece ZLP – tak jak i pozostałe przemówienia;

Stefan Kisielewski – omawiał sprawę *Dziadów* na szerszym tle polskich tradycji literackich;

Jerzy Andrzejewski – wygłosił gorący protest moralny w tej bolesnej sprawie;

Artur Międzyrzecki – mówił o niepodzielności literatury; Artur Sandauer wołał, że nie rozumie, co to znaczy niepodzielność literatury;

Jacek Bocheński – przedstawił sprawę *Dziadów* jako jedną z restrykcji wobec literatury;

Tomasz Burek – wypowiadał się za postawą oraz ideowością młodzieży, której należy się szacunek i poparcie, jako że nie możemy jej zostawić osamotnionej, gdyż walczy ona o te same cele i swobody, o których dziś tu na tej sali tak wielu mówców się wypowiadało.

W ten sposób postawę literatów wiązano ze sprawami, które rozgrywały się na terenie uniwersyteckim.

Za rezolucją Dobrowolskiego wypowiadali się m.in.: Roman Bratny – który, jako kombatant i syn wojskowego, twierdził, o ile pamiętam, iż ojciec go przestrzegął, że „ze Stalinem nie wygra” – Henryk Gaworski, Zygmunt Stoberski i Jerzy Kossak. Przemówienia ich można znaleźć w stenogramie.

Nastąpiło ogłoszenie wyników tajnego głosowania. Za rezolucją zgłoszoną przez Andrzeja Kijowskiego było 221 głosów. Za rezolucją zgłoszoną przez Dobrowolskiego – 124 głosy. 10 osób oddało białe kartki. W głosowaniu brało udział 565 osób. W tym 1 głos był nieważny. Komisja Skrutacyjna stwierdziła, że większością głosów Nadzwyczajne Walne Zebranie Oddziału Warszawskiego ZLP przyjęło rezolucję zgłoszoną przez Andrzeja Kijowskiego.

Tekst rezolucji Kijowskiego brzmiał:

*Pisarze polscy, zgromadzeni dnia 29 lutego 1968 r. na Walnym Nadzwyczajnym Zebraniu Oddziału Warszawskiego ZLP, poruszeni zakazem dalszych przedstawień „Dziadów” Mickiewicza na scenie Teatru Narodowego, stwierdzają:*

1) *Od dłuższego czasu mnożą się i nasilają ingerencje władz sprawujących zwierzchnictwo nad działalnością kulturalną i twórczością artystyczną; ingerencje dotyczą nie tylko treści utworów literackich, lecz także ich rozpowszechniania i odbioru przez opinię.*

2) *System cenzury oraz kierowania działalnością kulturalną i artystyczną jest arbitralny i niejawny, nieokreślone są w nim kompetencje poszczególnych władz ani sposób odwołań od ich decyzji.*

3) *Ten stan rzeczy zagraża kulturze narodowej, hamuje jej rozwój, odbiera jej autentyczny charakter i skazuje na postępujące wyjałowienie. Zakaz, który dotknął „Dziady”, jest szczególnym tego przykładem.*

4) *Postulaty pisarzy, przedstawione w formie uchwał i memoriałów przez władze ZLP oraz czołowych reprezentantów środowiska pisarskiego, nie zostały dotąd uwzględnione.*

*Powodowani troską obywatelską, wzywamy władze PRL do przywrócenie, zgodnie z naszą wiekową tradycją, tolerancji i swobody twórczej.*

*Domagamy się przywrócenia „Dziadów” Mickiewiczowskich w inscenizacji Kazimierza Dejmka, których usunięcie ze sceny wywołało zrozumiałe rozgoryczenie mieszkańców stolicy.*

*Warszawa. 29.II.1968 r.*

W miarę upływu godzin wieczornych salę obiegać zaczęły niepokojące pogłoski i sygnały. Przed zamkniętym Domem Pod Królami pojawiać się jeły grupy mężczyzn przedstawiających się jako „robotnicy z warszawskich fabryk” i usiłujących przedostać się do wewnątrz. Pertraktował z nimi przez drzwi Jerzy Putrament. Mimo iż dyskusja pisarzy nie zakończyła się jeszcze, przewodnicząca zebrania Wanda Żółkiewska zaapelowała dramatycznym głosem, ażeby przerwać zebranie i rozejść się, nie zamykając formalnie obrad. Zebranie zostało przerwane – odroczone, ściśle biorąc. Dalszy ciąg nie nastąpił nigdy.

Nastąpiły natomiast innego rodzaju konsekwencje. Rozpętano odgórnie haniebną dla imienia Polski w świecie kampanię o posmaku wyraźnie antysemickim. Zaczęło się rugowanie studentów, wykładowców i ataki na wielu pisarzy.

POP przy Oddziale Warszawskim Związku uchwaliła żądanie usunięcia z ZLP trzech pisarzy: Pawła Jasienicy, Stefana Kisielewskiego i Januarego Grzędzińskiego. Nie czekając na stanowisko Zarządu Głównego ZLP w tej sprawie i jedynie prawomocnego statutowo orzeczenia Sądu Koleżeńskiego, ogłoszono owo żądanie w prasie. Ostatecznie ZLP nie uległ presji bezprawia i nie usunął ze Związku nikogo z kolegów–pisarzy.

Były to dla nas ciężkie chwile. Osobiście mogę tylko powiedzieć, że jako partyjny wówczas członek Zarządu Głównego, zobowiązany do forsowania uchwał POP – nie miałem innego wyjścia, jak złożyć legitymację partyjną i ustąpić z Zarządu Głównego ZLP. Inni zapłacili wyższą cenę.

O skutkach moralnych i kulturalnych tego czarnego okresu nie będę się tu rozwodził, obrońcy dobrego imienia Polaków wyrządzili opinii naszego kraju w cywilizowanym świecie niepowetowane szkody. Wyrządzają je bezkarnie po dziś dzień.

Najsmutniejsze – wśród wszystkich innych aspektów wspomnianych wydarzeń – było również to, że w odczuciu uczciwych ludzi, którzy wstąpili do partii z pobudek ideowych i dla których zasady ideowe były jedynie ważne – że tym ludziom napluto w twarz.

Minęło trzynaście lat. W atmosferze moralnego przełomu, jaki nastąpił w Sierpniu 1980 roku za sprawą robotników z Wybrzeża, ten ponury cień Marca 68 wydobyty został na światło dzienne. W czasie ostatniego zjazdu Związku Literatów przypomniła tę sprawę – brzemień haniebnej pamięci i dług, jaki mamy wobec ofiar: ludzi, kultury polskiej i dobrego imienia Ojczyzny – profesor Maria Janion. Mówiło o tym wielu innych pisarzy. Powzięliśmy uchwały, zobowiązujące nas do naprawy, w miarę możliwości, choćby części wyrządzonych wówczas krzywd ludziom, a szkód – kulturze polskiej. Ludziom – wygnanym, zelżonym i zaszczutym, kulturze – sponiewieranej, splugawionej.

W rocznicę Marca 68 Prezydium Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich ogłosiło następujące *Oświadczenie*:

*Trzynaście lat temu, w dniach lutego i marca 1968 r., doszło w naszym kraju do szczególnie jaskrawego pogwałcenia podstawowych zasad, na których przez wieki tworzyło się życie polskiego społeczeństwa i jego kultura. Ze sceny Teatru Narodowego zdjęto „Dziady” Mickiewicza. Brutalnie rozproszono protestujących przeciw temu studentów. Pogwałcono autonomię uniwersytetów i innych szkół wyższych. W wyniku dalszych akcji protestacyjnych relegowano studentów i wykładowców, wyrządzając niepowetowaną szkodę polskiej nauce. Wszczęto kampanię zniesławień i oszczerstw przeciw pisarzom i ludziom nauki. Próbowano obrócić ludzi pracy fizycznej przeciw inteligencji. Rozpoczęto kampanię rasowej i narodowej nienawiści.*

*Prezydium Zarządu Głównego, spełniając uchwałę XXI Zjazdu Delegatów Związku Literatów Polskich, domaga się wyjaśnienia tła tych wydarzeń, pociągnięcia do odpowiedzialności winnych i naprawienia wyrządzonych krzywd.*

**Andrzej Braun** (ur. 1923), pisarz – autor poezji, powieści (*Próba ognia i wody*, 1975; *Bunt*, 1976; *Rzeczpospolita chwilowa*, 1982; *Wallenrod*, 1990), opowiadań, reportaży (*Śladami Conrada*, 1972; *Kreacja Costaguany. Świat południowoamerykański Conrada*, 1989).



## Jan Lityński

### Jak doszło do wydarzeń marcowych

**M**am mówić o tym, jak doszło do Marca '68. Chciałbym nieco odejść od tematu ściśle studenckiego – który omówi następny referent – i zastanowić się raczej nad szerszym tłem wydarzeń marcowych, nad sytuacją ogólnopolityczną i ogólnospołeczną, poczynając od października 1956 r.

Rok 1968 w całej Europie, a także i w Stanach Zjednoczonych, został nazwany „rokiem studenckich niepokojów”. Począwszy już od wydarzeń czeskich na Strahowie w 1967 r., poprzez polski Marzec, wydarzenia we Włoszech, we Francji, w Stanach Zjednoczonych, studenci buntowali się, czegoś żądali, przy czym wydaje mi się, że zachodzi zasadnicza różnica między tym, co się działo w Polsce, a tym, co się działo na Zachodzie. Tam studenci próbowali zburzyć stary świat, rozpoczęli walkę ze społeczeństwem, ze starszym pokoleniem, odrzucali zastaną kulturę. Był to ruch, w którym widoczny był optymizm płynący z przekonania, że buduje się nowe życie. Natomiast w Polsce ruch studencki od początku naznaczony był poczuciem przegranej. Kolejne komitety studenckie idą do więzienia, na ich miejsce powstają wprawdzie nowe, ale studenci mają świadomość tego, że muszą przegrać. Dlatego też odwołują się do wartości elementarnych. Odwołują się do społeczeństwa: wielokrotnie na transparentach pojawia się hasło „Robotnicy z nami”. Podobnie jednak jak hasło „Nie ma chleba bez wolności”, o którego uwikłaniach mówił już tu Jacek Kuroń, hasło to w Marcu nie zostało przez społeczeństwo podjęte. W swoich próbach dotarcia do społeczeństwa studenci spotykali się niewątpliwie z pewną sympatią; z wyjątkiem jednak nielicznych grup inteligenckich, ogół cechowała martwość. Ten stan oddają nawet zdjęcia z tamtych dni: martwe twarze robotników spędzanych na wiece.

Marzec odwoływał się do wartości poprzednich pokoleń, przede wszystkim zaś do Października, szukając w nim tej tradycji, która wydawała się zagubiona, tradycji wspólnych wystąpień. Jednocześnie w tym odwoływaniu się do Października krył się pewien wyrzut w stosunku do ekipy rządzącej, która swój rodowód wywodziła właśnie z października 1956 r., kiedy to Gomułka na VIII Plenum został pierwszym sekretarzem partii.

Cofnijmy się zatem do tamtych czasów, aby zrozumieć, jak to się stało, że ten przywódca, po którym spodziewano się, że poprowadzi kraj ku suwerenności i demokracji, bardzo szybko objawił zupełnie inne oblicze. Październik, który wyniósł do władzy Gomułkę, był kulminacją procesu narastającego od śmierci Stalina, objawem kryzysu w całym bloku wschodnim; kryzys ten najgłębszy był na Węgrzech i w Polsce. W Polsce proces ten rozpoczął się już w 1954 r., przybierając początkowo bardzo łagodne formy. Prasa zaczęła krytykować tzw. okres błędów i wypaczeń, więzienia zaczęły pustoszeć, powstawały kluby dyskusyjne, rodził się nowy ruch młodzieżowy. W ZMP nastąpiło wyraźne pęknięcie; w rezultacie dyskusji nad tym, czy ZMP spełnia pokładane w nim nadzieje, po Październiku Związek rozpada się.

Jednocześnie, poza ruchem sterowanym odgórnie, rodzi się bardzo silny ruch oddolny, ruch robotniczy, który osiąga punkt kulminacyjny w czerwcu 1956 r. w postaci wydarzeń poznańskich. Następnie pojawia się dążenie robotników do udziału we współzarządzaniu zakładem pracy, dążenie, którego konkretnym wyrazem stają się rady robotnicze.

Gomułka witany jest jako mąż opatrnościowy. Prawie całe społeczeństwo wierzy – może nie bezgranicznie, ale wierzy – w to, że będzie on realizował dążenia do suwerenności. Wiara ta wynika stąd, że w 1948 r. Gomułkę oskarżono o odchylenie prawicowo–nacionalistyczne. Wyobrażano sobie więc, że jest on komunistą, który wybierze „polską drogę do socjalizmu”. Wierzono nadto, co jeszcze bardziej zdumiewa, że będzie on przywódcą demokratycznym. Wystarczy przyrzeć się działalności Gomułki w latach 1945–1947, aby mit ten bez trudu obalić. Znajdował on jednak silne oparcie w przeszłości więziennej „Wiesława”, człowieka, który sam padł ofiarą procesów stalinowskich, który cierpiał za własną „polską drogę do socjalizmu”. Wierzono, że człowiek, który sam cierpiał, rozumie potrzebę demokracji. W rezultacie

nawet środowiska tradycyjnie nieufne w stosunku do władzy komunistycznej przyjęły Gomułkę przychylnie, tym bardziej że – jak się wydawało – ekipa Gomułki zdołała uchronić Polskę przed interwencją radziecką, przed tym, co się stało na Węgrzech. Gomułka zyskał też warunkowe poparcie Kościoła. Tuż po Październiku władza poczyniła pewne ustępstwa wobec żądań Kościoła, było to wprowadzenie nauki religii w pewnych szkołach, transmisja mszy św. w okresie Bożego Narodzenia 1956 r., symboliczna reprezentacja (pięciu posłów) w Sejmie, zwrot „Tygodnika Powszechnego” prawowitej redakcji, której pismo to zostało w 1953 r. zabrane przez PAX, powstanie nowych miesięczników katolickich.

W dwóch pierwszych przemówieniach Gomułki w chwili dojścia do władzy, w przemówieniu wygłoszonym na VIII Plenum KC oraz w przemówieniu na wielkim wiecu mieszkańców Warszawy, dostrzec można elementy zmierzające do uspokojenia nastrojów. Na VIII Plenum wyraźnie podkreślał on, że Rady Robotnicze stanowią ciekawy eksperyment, ale tylko eksperyment, a nie część jego własnego programu; na wiecu zaś oświadczył: „Dość wiecowania, wracajmy do domu”. Takie oświadczenia w ustach przywódcy wyniesionego przez wydarzenia świadczą dobitnie o tym, że chce on spacyfikować nastroje, co rzeczywiście następuje. Bardzo szybko dochodzi do wyciszenia prasy: co odważniejsi dziennikarze dostają nagany lub zostają wręcz wyrzuceni; zmieniają się całe redakcje pism zarówno partyjnych i młodzieżowych (jak „Trybuna Ludu” czy „Sztandar Młodych”), jak i literackich (jak „Nowa Kultura”). Opanowany zostaje niezwykle aktywny w okresie Października ruch młodzieżowy; z wielu różnych związków – takich jak Rewolucyjny Związek Młodzieży, Związek Młodzieży Robotniczej, działający głównie w Katowicach – tworzy się Związek Młodzieży Socjalistycznej, dość szybko opanowany przez aparat zetempowski; jednocześnie nie dopuszcza się do legalizacji Związku Młodych Demokratów, a próby reaktywowania „Wici” kończą się założeniem Związku Młodzieży Wiejskiej, którego władze zwierzchnie opanowują ludzie związani z dawnym aparatem zetempowskim. Rady Robotnicze umierają śmiercią naturalną; Gomułka nie przeprowadza reformy gospodarczej, atmosfera rewolucyjna w zakładach pracy powoli wygasa, a Rady Robotnicze praktycznie przestają istnieć w r. 1958, po stworzeniu Konferencji

Samorządu Robotniczego. Jednocześnie, chcąc mieć posłuszny i oddany sobie aparat, zamiast początkowo zapowiadanych w styczniu 1957 r. wyborów, w czasie których miano rzeczywiście wybrać posłów spośród wielu kandydatów, Gomułka i władze centralne organizują wybory z miejscami mandatowymi, co zresztą pośrednio popiera w swym przemówieniu kard. Wyszyński i przeciw czemu występuje „Po prostu”.

„Po prostu” był to tygodnik, początkowo studencki, później z podtytułem „Pismo młodej inteligencji”. Jest on niewątpliwie pewnego rodzaju symbolem przemian październikowych. „Po prostu” dokonało w owym czasie bardzo wiele, jego roli w wydarzeniach Października nie sposób przecenić. Symbolicznym zakończeniem Października jest więc rozwiązanie „Po prostu” w październiku następnego, 1957 roku, które wywołało krótkotrwałe demonstracje, głównie studenckie. Następuje teraz okres, który Tadeusz Różewicz nazwał „naszą małą stabilizacją”.

Posłużę się tu schematem, który nakreślił czeski eseista Antoni Liehm w tekście *Nowa umowa społeczna*. Liehm twierdzi, że w tym czasie we wszystkich krajach bloku radzieckiego nastąpiło zawarcie nowej umowy społecznej, której treść – bardzo ją upraszczając – można najkrócej wyrazić w zdaniu: „Władza mówi do społeczeństwa: dajcie nam rządzić, a my damy wam żyć”. W zamian za to społeczeństwo ma się nie wtrącać do rządu.

Jak się wydaje, społeczeństwo polskie przystało na ten układ. Sprzyjał temu fakt, że zrzucenie stalinowskiego pancerza odbywało się w atmosferze rodzącej nadzieję, że będzie można nareszcie zacząć normalnie żyć. Powstaje wtedy możliwość kontaktu z Zachodem i jego kulturą, zaczynają stamtąd przychodzić książki, muzyka poważna i jazzowa, objawia się malarstwo abstrakcyjne, a także powstaje możliwość tworzenia teatrów i teatrzyków. Szarynny okres stalinowski, którą najlepiej oddają powieści i opowiadania Marka Hłaski, powoli zastępuje nowe, barwne życie; wszyscy mają nadzieję, że będzie lepiej, i wobec tego nie należy wtrącać się do polityki. Umowa społeczna zostaje zawarta.

Jednocześnie Gomułka jako rzecznik centrum, rzecznik aparatu, a przede wszystkim rzecznik owej umowy społecznej, z sukcesem próbuje zniszczyć nurty ideologiczne w łonie PZPR. Wielokrotnie opisywano dwie

znane frakcje: natolińską i puławską. Mówienie o frakcjach jest bardzo trudne, ponieważ – jak wiadomo – życie polityczne, życie wewnętrzne PZPR jest ukryte, na ogół dzieje się tak, że działają różnego typu koterie, a frakcje bardzo rzadko ujawniają swój program, możemy więc badać tylko pewne nastroje, rozpatrując niektóre wypowiedzi na posiedzeniach Plenum, a nie zawsze są to wypowiedzi pełne. Ogólnie można stwierdzić, że frakcja natolińska była niechętna przemianom październikowym, jej ludzie byli zresztą nazywani przez przeciwników „stalincowcami”. Frakcja ta reprezentowała średni aparat partyjny, najbardziej przestraszony popaździernikowymi przemianami; jak się wydaje, w owym czasie należeli do niej tacy ludzie, jak Nowak, Tokarski, Matuszewski, Rumiński. Frakcja liczyła wtedy na to, że Związek Radziecki potrafi powstrzymać ruch przemian w Polsce. Niektórzy jej członkowie uchodzili – chociaż nie ma na to dowodów – za agentów Kremla, za agentów Moskwy. „Puławianie” z kolei – grupa o luźniejszym charakterze i znacznie słabiej zarysowanym programie ideologicznym – uchodzili za zwolenników przemian demokratycznych albo „demokratyzacyjnych”, bo tego słowa używało się wtedy znacznie częściej, za zwolenników kursu liberalnego. Należeli tu działacze bardzo różnorodni, poczynawszy od sekretarza ideologicznego Romana Zambrowskiego (był to zresztą człowiek najbardziej atakowany przez frakcję natolińską), a skończywszy na tzw. „wściekłych sekretarzach”, ludziach związanych poprzednio bądź z ZMP, bądź z ruchem młodzieżowym jeszcze z okresu okupacji, jak Jerzy Albrecht, Jerzy Morawski, Janusz Zarzycki czy Władysław Matwin.

Wydaje się, że po tych frakcjach zostało bardzo niewiele. W pewnym stopniu program „puławian” odrodził się znacznie później w postaci „Manifestu 14”, napisanego w roku 1978 już w innych warunkach, i wtedy nie odegrał żadnej roli. Otwarcie archiwum Zambrowskiego ukazało, że różnice między Zambrowskim a Gomułą, jakkolwiek istotne, nie były zasadniczymi różnicami ideologicznymi. O działalności frakcji puławskiej trudno coś więcej powiedzieć również dlatego, że w owym czasie nie ukazały się żadne wywodzące się z tej grupy znaczące teksty. Wiadomo natomiast, że „puławianie” powiązani byli z tzw. lewicą październikową, z „Po prostu”, które dążyły znacznie konsekwentniej do przeprowadzenia „rewolucji październi-

kowej”, jak nazywali swój ruch. Lewica październikowa również nie stworzyła własnego jasno sformułowanego programu i nie próbowała wyodrębnić się w zdecydowany sposób. Większość z tych ludzi będzie później określana mianem rewizjonistów.

Wróć tu jeszcze do wspomnianego schematu Liehma. Zastanawia się on, jak w umowie społecznej wygląda rola intelektualisty, i dochodzi do wniosku, że intelektualista nie jest potrzebny społeczeństwu. Po przyjęciu niepisanej umowy bowiem nie potrzebuje ono człowieka, który analizuje idee, który próbuje realizować jakieś idee. Intelektualisty potrzebuje władza tylko na swoje usługi, a wtedy traci on swoją rolę intelektualisty.

Chciałbym zastanowić się nad ówczesnymi głównymi grupami czy środowiskami intelektualnymi. O jednym już wspomniałem: byli to rewizjoniści. Jest to nazwa bardzo nieprecyzyjna. Z natury rzeczy rewizjonista jest to człowiek, który odstępuje od czegoś, który rewiduje pewną linię postępowania, a ponieważ bardzo trudno określić linię partii, trudno też jasno określić, kim byli rewizjoniści. Niemniej nazwa ta przyjęła się, a co więcej, ludzie nazwani – pejoratywnie z początku rozumianym – mianem rewizjonistów przyjęli to określenie i w latach 60., szczególnie w Warszawie, mamy do czynienia z grupą, która sama uważa się za rewizjonistów. Byli to ludzie w większości związani przed 1956 r. ze stalinizmem, intelektualiści, którzy w okresie stalinizmu dali się uwieść wielkiej przygodzie z komunizmem. Wówczas atakowali, niekiedy brutalnie, swych dawnych nauczycieli w dziedzinie filozofii i ekonomii. Okres 1954–1956 stał się dla nich wielkim szokiem. W tych latach próbują wyzwolić się ze stalinizmu, przy czym – co charakterystyczne – powstają wtedy teksty mówiące, że my będziemy się rozliczać z sobą między sobą, między komunistami. Odrzuca się ludzi, którzy w latach 1945–1948 stali po drugiej stronie barykady. Jest rzeczą oczywistą, że poszukiwania rewizjonistów szły w kierunku marksizmu. Odrzucając stalinizm, zwrócili się ku leninizmowi. W latach 1956–1957 wielu z nich wydaje teksty analizujące pierwszy okres po rewolucji bolszewickiej – leninowską wizję partii. Okazało się to jednak niewystarczające, odrzucono więc także leninizm i zaczęto szukać głębiej: u młodego Marksa, w pismach Gramsciego, Lukácsa. Jednocześnie rewizjoniści są popularyzatorami: publikują bardzo dużo, są też

inicjatorami takich serii, jak Biblioteka Klasyków Filozofii, Biblioteka Myśli Socjalistycznej, a także działają jako publicyści w większości wydawanych wówczas czasopism.

Po pewnym czasie można zauważyć bardzo charakterystyczny proces przebiegający u wszystkich ludzi z kręgu rewizjonistycznego (może z wyjątkiem ekonomistów, którzy byli znacznie bardziej aktywni w praktycznym działaniu, w działaniu na rzecz reformy gospodarczej); widzimy mianowicie pewną prawidłowość: odrzuca się jakąkolwiek ideologię. Jakakolwiek myśl – pisał PS w numerze pisma „Res Publica” – prowadzi do swego samozaprzeczenia. Wynika z tego przekonanie, że jakiegokolwiek działania prowadzi do zatracenia wartości, w imię których się działa. Dlatego rewizjoniści przestrzegali zarówno przed działaniem, jak i przed myśleniem w kategoriach ideologicznych. Sądzę, że ta ich rola – ludzi, którzy próbują patrzeć z dystansu na wydarzenia i ostrzegają innych, – była bardzo ważną rolą. Następny prelegent będzie chyba mówić o tym, że na Uniwersytecie Warszawskim najbardziej wpływowym środowiskiem intelektualnym byli właśnie rewizjoniści. Zastanawiając się nad tym, jak swoją rolę widzieli sami rewizjoniści, warto chyba odwołać się do artykułów i esejów Leszka Kołakowskiego. W eseju zatytułowanym *Kapłan i błazen* autor kreśli wizję działania, wizję historii, siebie zaś ustawia w roli błazna, który obserwuje i krytykuje kapłana, czyli ideologa. Ponieważ rewizjonizm boi się wszelkich zamkniętych systemów, boi się też zwartych systemów ideologii narodowej i religijnej.

Drugim ośrodkiem działającym pod koniec lat 50. i na początku lat 60. jest Klub Krzywego Koła. Był to klub dyskusyjny, stworzony przez ludzi niezwiązanych ze stalinizmem, ale z liberalną lewicą, przez tych nielicznych, których przed przyjęciem ideologii stalinizmu zabezpieczyły ideały socjalistyczne. Klub prowadził dość ożywioną działalność w latach 1955–1962, następnie został rozwiązany administracyjnie.

Trzecią grupą, którą chciałbym wymienić, było środowisko inteligencji katolickiej, grupa zróżnicowana, skupiona wokół Klubu Inteligencji Katolickiej i niektórych pism katolickich. Aktywność jej wyrażała się w organizowaniu dyskusji, w działalności wydawniczej. Działała ona także za pośrednictwem swych posłów w Sejmie, którzy próbowali tam wpływać łągodząco

na funkcjonowanie panującego systemu, przeprowadzając różne akcje parlamentarne. Podstawy działania tej grupy sformułowano w publikowanych w „Tygodniku Powszechnym” artykułach autorstwa Stanisława Stommy i Stefana Kisielewskiego oraz w publicystyce Tadeusza Mazowieckiego.

Trzy wymienione grupy, tak różniące się między sobą, opierające się na innych założeniach ideowych i metodologicznych, łączy ich miejsce w „nowej umowie społecznej”. Ludzie ci mianowicie chcą być intelektualistami, społeczeństwo ich nie zauważa. Drugą wspólną cechą tych grup, szczególnie zaś pierwszej i trzeciej, jest to, że próbują one oddziaływać na strukturę władzy, stojąc na stanowisku, że skuteczne może być tylko oddziaływanie na struktury władzy, a nie odwoływanie się do społeczeństwa.

Gomułka jako propagator „nowej umowy społecznej” szuka wtedy czegoś, co zastąpiłoby dotychczas wyznawaną ideologię stalinowską, i w ten sposób postawę władz powoli zaczyna cechować nacjonalizm. Nacjonalizm władzy w kraju, który nie jest suwerenny, musi być śmieszny. Powodowane nacjonalizmem działania czy demonstracje władzy, opierającej swe panowanie na zależności od Kremla, na fakcie istnienia Paktu Warszawskiego, nie mogły mieć oczywiście charakteru antyrosyjskiego, antyradzieckiego. Toteż nacjonalizm ten przybiera charakter antyniemiecki, co staje się szczególnie jaskrawe od końca lat 50., kiedy to w każdym niemal przemówieniu lub artykule ideologicznym atakuje się niemiecki rewanżyzm. Metodę tę cechuje kolejna śmieszność. Ponieważ nie można było atakować tradycyjnego militarizmu Prus, bo częściowo ich obszar to dzisiejsze NRD, cały atak kierowano na Niemcy Zachodnie, na Adenauera, Straussa i Brandta. Wydaje mi się, że ta antyniemiecka propaganda wywarła pewien wpływ na umysły w Polsce i niejako sparaliżowała ludzkie działania.

Na tym podłożu tworzy się w PZPR nowa grupa, początkowo słabo zorganizowana i niezbyt wyrazista, później – w latach 60. – coraz bardziej widoczna, nazywana wówczas „partyzantami”. Nazwa ta wywodzi się od kreowanego na przywódcę grupy Mieczysława Moczara, ówczesnego wiceministra, następnie ministra spraw wewnętrznych, który w czasie okupacji niemieckiej był uczestnikiem partyzantki komunistycznej – Gwardii Ludowej. Uważam, że nazwa grupy wprowadzała w błąd. Fałszywe również było póź-



niejsze szermowanie przez „partyzantów” w walce ze swymi przeciwnikami w partii argumentem, że to „partyzanci” właśnie są spadkobiercami i kontynuatorami tego, co działo się w Polsce w r. 1944, ponieważ to oni byli tu, w kraju. Fałsz polega na tym, że część ich partyjnych przeciwników również była w kraju i również z nadchodzącą Armią Czerwoną i I Armią Wojska Polskiego budowała nowy system. Gdyby zaś sprawę całego sporu o to, kto jest właściwym twórcą Polski Ludowej, postawić otwarcie, można byłoby wyciągnąć tylko jeden wniosek, że cały system opiera się na tym, że na teren Polski weszła Armia Czerwona, a wszyscy współdziałający z nią zostali – przez fakt jej obecności – wyniesieni do władzy bez względu na to, czy przyszedli z Oki, czy też z Lasów Janowskich. Jednakże nazwa „partyzanci” się przyjęła, choć w kręgach intelektualnych używano jej z zabarwieniem pejoratywnym.

„Partyzanci” prowadzili zresztą dość zręczną politykę, co wyraźnie widać w działaniach na terenie Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. W roku 1956 Armia Krajowa została wprawdzie „zrehabilitowana”, ale dawni akowcy w dalszym ciągu pozostawali na odległym planie życia politycznego kraju. Natomiast Moczar, kiedy został szefem ZBoWiD-u, zaczął podnosić ich zasługi i przyciągać do organizacji. Część tych akowców dość szybko w ZBoWiD-zie awansowała i zaczęła stawiać na Moczara. Jednocześnie „partyzanci” byli bardzo silnie powiązani z policją, choćby przez osobę swego (niemianowanego) przywódcy. Ściśle odpowiedzieć na pytanie, kim byli „partyzanci”, jest bardzo trudno, sądzę jednak, że ruch „partyzancki” został stworzony przez średni aparat partyjny, przez ludzi będących wtedy w wieku od 40 do 50 lat, którzy wywodzili się z aparatu ZMP lub z aparatu Służby Bezpieczeństwa. Po stalinowskim, rewolucyjnym dla nich okresie poczuli się oni niewątpliwie oszukani przez nowy system popaździernikowy – zabrano im ich ideologię, niejako odebrano im ich przeszłość, ich młodość. Poczucie to zwiększał fakt, że autarkiczny system gomułkowski powodował zarówno bezruch gospodarczy, jak i bezruch społeczny, a także bezruch w partii; wskutek tego „partyzanci” – osadzeni na swych pozycjach w średnim aparacie partyjnym – nie mieli szczególnych szans awansu.

Przypomina się tu schemat, który zastosował Rausching, analizując ruch hitlerowski. Nazywa on hitlerowców „rewolucyjnymi nihilistami”, czyli

ludźmi, których głównym celem jest pójście w górę, rewolucja bez ideologii. Rausching twierdzi, że dla tego ruchu nacjonalizm jest tylko maską. Wydaje się, że schemat ten nadaje się do opisywanej sytuacji: nacjonalizm jest pewnego rodzaju maską dla „partyzantów”, maską, za którą kryją swoje frustracje, swój strach. Stosunek tej grupy do całego narodu najlepiej chyba oddaje Janusz Szpotański w poemacie *Towarzysz Szmaciak*, gdzie mówi: „Ich hasło: naród i koryto. / Narodem oni są – niby to”. Jest to bardzo charakterystyczne dla tego typu myślenia: Polakiem jest się nie dlatego, że się jest Polakiem, tylko dlatego, że się nie jest czymś gorszym, nie jest się Żydem, nie jest się Niemcem. I stąd już prosta droga prowadzi do antysemityzmu, tej najwygodniejszej formy rozładowania frustracji i poczucia niższości.

W latach 60. „partyzanci” opanowują coraz więcej pozycji, mają swoich ludzi zarówno w środkach masowego przekazu, jak i w hierarchii partyjnej; brakuje już im tylko ostatniego kroku: objęcia władzy w partii. I znów nazwa „frakcja partyzancka” jest nieco myląca, ponieważ im bardziej ruch ten rośnie w siłę, tym więcej ludzi się do niego przyłącza, tym mniej ludzi w aparacie partyjnym mu się przeciwstawia; widać, że jest to ruch zwycięski. Dlatego w Marcu bardzo wielu ludzi wypowiadało się w określony sposób, chociaż niewątpliwie nie byli oni „partyzantami”; musieli jednak wziąć udział w tym ruchu, aby utrzymać się na powierzchni. Degenerację ideologii narodowego komunizmu, która – jak sądzę – niewiele ma wspólnego z tradycyjnym nacjonalizmem, wyraźnie widać, gdy się przeprowadzi linię opadającą od esejów Załuskiego – niewątpliwego, choć bardzo specyficznego, patrioty, który starał się w esejach o historii Polski przeciwstawiać się „szyderstwu” rewizjonistów i który uchodził za barda, za czołowego ideologa narodowych komunistów – do marcowych tekstów Kąkola, Gontarza i innych. Jest to żałosny upadek.

Chciałbym jeszcze zatrzymać się krótko nad sposobami łamania nowej umowy społecznej w tych latach. Otóż w roku 1960 w Nowej Hucie, która miała być miastem bez krzyży, bez kościołów, wokół wzniesionego tam krzyża robotnicy organizują demonstrację, którą policja rozpędza pałkami. W roku 1964 grupa 34 najwybitniejszych polskich intelektualistów podpisuje „List 34” mówiący o dwóch czynnikach niszczących kulturę narodową: o działalności cenzury i o braku papieru. Był to list krótki, bardzo

spokojny, po prostu rodzaj supliki do władzy, zwrócenie uwagi na pewne bardzo niekorzystne zjawiska; nie był zaś na pewno żadnym programem. „List 34” wywołuje zdumiewająco nieproporcjonalną reakcję: władze organizują podpisanie przez 500 czy 600 członków Związku Literatów innego listu, w którym atakuje się i potępia 34 intelektualistów za to, że pozwolili sobie wykorzystać przez – tu pada znane hasło – zachodnioniemiecki imperializm. „List 34” opublikowany został bowiem na Zachodzie. Reakcja ta jest niezmiernie charakterystyczna: ktokolwiek się „wychyli” – dostaje za to, natomiast ci, którzy są spokojni, mogą spokojnie żyć. Niestety, tylko w miarę spokojnie, o czym świadczą procesy polityczne.

W latach 50. przeprowadza się kilka takich procesów, m.in. przeciw sekretarce Klubu Krzywego Koła Hannie Rudzińskiej, zarzucając jej rozpowszechnianie fałszywych informacji, mogących wyrządzić istotną szkodę interesom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W rzeczywistości Hanna Rudzińska tłumaczyła książkę i to posłużyło jako podstawa zarzutu procesowego; wyrok opiewał na jeden rok więzienia.

W roku 1961 odbywa się proces przeciwko małej grupce ze Związku Młodych Demokratów, którego część zesłała w podziemie, inspirując się głównie ideami nacjonalistycznymi; pięciu lub sześciu z nich otrzymało kary do dwóch lat więzienia. Warto zwrócić uwagę na charakterystyczny wówczas nastrój w Uniwersytecie Warszawskim. Kilku ze skazanych było studentami UW, komisja dyscyplinarna pod przewodnictwem czołowego rewizjonisty Bronisława Baczkę nie skreśliła nikogo z listy studentów i zezwoliła wszystkim na powrót na studia po odsiedzeniu wyroku sądowego. W późniejszych latach byłoby to niemożliwe.

W 1964 r. Jacek Kuroń i Karol Modzelewski opracowują memoriał, który zawiera ich manifest ideologiczny. W roku 1965 memoriał zostaje wysłany jako list otwarty do członków partii i ZMS-u na Uniwersytecie Warszawskim, w następstwie czego autorzy zostają aresztowani i skazani – jeden na 3,5 roku, drugi na 3 lata więzienia. Memoriał ten, a raczej fakt jego opublikowania, miał duży wpływ na rozwój późniejszych wydarzeń. Autorzy wychodzą z bardzo ortodoksyjnego stanowiska marksistowskiego, jednocześnie dochodząc do wniosku – co wyrażają właśnie językiem marksistowskim – że system pa-

nujący w Polsce jest systemem klasowym, w którym rządzi polityczna biurokracja, pozostająca w antagonistycznej sprzeczności ze społeczeństwem, a szczególnie z klasą robotniczą. Kolejny wniosek, oczywisty dla autorów jako ówczesnych marksistów: w naszym kraju musi nastąpić rewolucja, proponują zatem utworzenie porewolucyjnego scentralizowanego systemu rad robotniczych. Wydaje mi się, że dziś nie jest ważna zawarta w memoriale analiza ówczesnej sytuacji ani też propozycja autorów, ważne natomiast było wówczas to, że autorzy, którzy wychodzą z tradycyjnego kręgu rewizjonistów, dochodzą do propozycji działania, i to takiego działania, które ma prowadzić do obalenia tego systemu przez społeczeństwo – przez robotniczą rewolucję.

Na Uniwersytecie Warszawskim sytuacja rozwijała się inaczej niż w całym kraju. Uniwersytet był niejako enklawą, rodzajem laboratorium, w którym Marzec był przygotowywany – jak mi się wydaje – przez obie strony, które w Marcu starły się ze sobą. Chciałbym tu uprzedzić ewentualne pytania: ja nie uważam, że w Marcu starli się rewizjoniści z „partyzantami”; proces ten był w Marcu znacznie głębszy, a stronami konfliktu nie były frakcje, lecz władza i społeczeństwo.

Trzeba jeszcze wspomnieć o niezwykle ważnym wydarzeniu, jakim było w końcu 1965 roku skierowanie przez biskupów polskich do biskupów niemieckich listu, w którym Kościół pierwszy i wówczas jedyny powiedział „nie” rozlewającej się fali nacjonalizmu antyniemieckiego. Biskupi, mówiąc: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”, wywołali falę wściekłych ataków, całą kampanię przeciwko Kościołowi. W roku 1966 przekształciło to się w walkę o to, kto jest spadkobiercą Tysiąclecia. Charakterystyczne przy tym było, że władza mówiła o Tysiącleciu Państwa Polskiego, Kościół zaś o Tysiącleciu Chrztu. Z tej walki niewątpliwie zwycięsko, faktycznie i moralnie, wyszedł Kościół, mimo że – jak się wydaje – list biskupów nie został przez społeczeństwo właściwie zrozumiany. Co więcej, także na Uniwersytecie, poza nielicznymi osobami, nie odbierano go we właściwy sposób, nie nastąpiło bowiem jeszcze spotkanie ludzi z różnych grup, z różnych tradycji – było na to za wcześnie.

Powinno natomiast być tu powiedziane, że jednym z tych, którzy występowali wówczas bardzo zdecydowanie w obronie listu biskupów, był An-

toni Zambrowski, który później został skazany za rzekomą obrazę narodu polskiego w procesie uwłaczającym nie oskarżonemu, a oskarżycielom i sędziom.

W roku 1967 Gomułka jest już, jak się wydaje, zupełnie ubezwłasnowolniony, ulega „partyzantom”; chyba najdobitniejszym tego dowodem jest jego wypowiedź na Kongresie Związków Zawodowych w czerwcu 1967 r., po wojnie izraelsko–arabskiej, w której rząd polski, tak jak cały blok sowiecki, stanął po stronie Egiptu. Gomułka wypowiedział wówczas słynne zdanie o piątej kolumnie syjonistycznej w Polsce; powiedzenie to otworzyło drogę kampanii antysemitycznej w prasie, a także czystce przeprowadzonej pod hasłami walki z syjonizmem na różnych szczeblach aparatu. Z jednej więc strony wzbierająca fala narodowego komunizmu, z drugiej zaś narastająca na Uniwersytecie fala buntu przeciw wszystkim tym zjawiskom, wydały owoce w postaci wydarzeń marcowych. Do wydarzeń tych dochodzi pośrednio z powodu *Dziadów*; chciałbym tutaj podkreślić rolę protestów przejawianych w obronie *Dziadów*, kiedy zakazano ich przedstawień na scenie Teatru Narodowego.

Wydaje mi się, że to właśnie świadczy o ewolucji postaw: grupa uniwersytecka potrafiła przełamać swoje tradycyjne postawy i dojrzeć – wbrew poglądom i naukom swych nauczycieli – wartość idei narodu, a także później – wartość idei religii. Sądzę, że mimo pewnych ograniczeń właśnie w Marcu 1968 rodzą się nowe idee. Są to idee porozumienia różnych grup społecznych.

■ **Jan Lityński** (ur. 1946), działacz polityczny, z wykształcenia matematyk. Jeden z organizatorów wystąpień studenckich w marcu 1968; aresztowany i skazany na 2,5 roku więzienia. Działacz opozycji deokratycznej, członek Komitetu Obrony Robotników, współzałożyciel wydawanego poza cenzurą „Biuletynu Informacyjnego”, a także redaktor i wydawca niezależnego „Robotnika”. Doradca „Solidarności”; w stanie wojennym internowany i aresztowany, od 1984 działacz podziemnych struktur Związku. Uczestnik obrad Okrągłego Stołu, poseł na Sejm 1989 – 2001; obecnie we władzach Lewicy i Demokratów.



## Jan Walc

### Ruszamy z posad bryłę świata

Tak się jakoś stało, że na warszawskich uroczystościach związanych z 13. rocznicą wydarzeń marcowych zabrakło jednego elementu właściwego dla tego rodzaju uroczystości: śpiewu. Po prostu nie było czego zaśpiewać, bo stało się tak, że nie sposób pomyśleć o zaśpiewaniu tej pieśni, która była dla nas w Marcu oczywista – *Międzynarodówki*. To trzynastolecie było tak ważne dla polskiej świadomości, że w to miejsce, które w roku 1968 zajmowała *Międzynarodówka*, wszedł hymn *Boże coś Polskę...* I jak dziś, żeby zaśpiewać ten hymn, nie trzeba być człowiekiem wierzącym, wtedy śpiewanie *Międzynarodówki* nie oznaczało bycia komunistą.

Jak to było, że *Międzynarodówka* była wtedy tak oczywista? Należałem do tej przytłaczającej większości studentów Uniwersytetu Warszawskiego, która nie była nigdy u walterowców i nie widziała na oczy żadnego z komandosów. Ale przecież zawsze jest tak, że coś unosi się w powietrzu. Ci, którzy podczas wydarzeń marcowych studiowali, to ludzie urodzeni pomiędzy 1945 (V rok studiów) a 1949 (I rok), ludzie, których dzieciństwo i okres dojrzewania upływały pod znakiem Października.

Na granicy naszej pamięci znajdował się stalinizm jako przerażający i ekscytujący dla dziecięcej wyobraźni okres minionych i potępionych zbrodni. Warto tu podkreślić, że jak przed Październikiem dorośli starannie unikali poruszania w naszej obecności tematów z lekka choćby zatrącających o politykę, bo paplające na ogół dzieci stanowiły istotne zagrożenie, zachłyśnięcie się odwilżą i wolnością rozbijało to tabu i mieliśmy okazję przysłuchiwać się z nagła wybuchłym głośnym rozmowom. Dla okresu „błędów i wypaczeń” nie było w nich pardonu i w bardzo ważnym

dla kształtowania zrębów przyszłych przekonań okresie dzieciństwa byliśmy wciągnięci w wir polityki i bardzo jednoznacznie informowani, co jest dobrem, a co złem. Pewnie podobna jest sytuacja dzieci urodzonych około roku 1970 i chłonących dzisiejszą odnowę.

Nastrojem, który wtedy, w okresie Października, zdecydowanie dominował, był nastrój nadziei i odprężania. I właśnie nadzieja na poprawę, wiara w możliwości sprawiedliwego ułożenia życia, stała się potocznym przekonaniem mojego pokolenia. Wiedzieliśmy, że może się zdarzyć straszne zło – przed stalinizmem i przed naszym urodzeniem zdarzyła się przecież jeszcze wojna – ale wiedzieliśmy też, że trzeba z nim walczyć i że ta walka musi zakończyć się zwycięstwem.

Październik uruchomił też, zablokowane w okresie stalinizmu, romantyczne wątki naszej historii i tradycji. W głównej mierze chodzi tu oczywiście o wzorce patriotyczne z ostatniej wojny. Warto pamiętać, że *Kamienie na szaniec*, wydane w 1956 roku, nie były jak dzisiaj obowiązkową lekturą szkolną, ale miały posmak owocu jeszcze niedawno zakazanego, coś tak, jak dzisiaj wiersze Miłosza. Więcej, nawet książki wydawane w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, a należące do kanonu polskiej historii literatury, były politycznie podejrzane, szczególnie jeśli traktowały o sprawach polsko-rosyjskich.

W roku 1955 wypadła akurat setna rocznica śmierci Mickiewicza i rok ten nazwano mickiewiczowskim, organizując liczne i bogate obchody. Jednocześnie dojrzała odwilż. Wtedy właśnie przydarzyła mi się pierwsza przyгода z Mickiewiczem i polityką. Na szkolnej akademii w listopadzie 1955 roku mówiłem, jako zupełny jeszcze dzieciak, *Redutę Ordona*. Dziecięca żarliwość moich ataków na cara Mikołaja stała się na skalę Podkowy Leśnej demonstracją polityczną, i myślę, że pozwolono recytować ten wiersz siedmiolatkowi dlatego właśnie, że nie było wcale jeszcze pewne, czy serio wolno nastawać na *Jego Wielicestwo*.

Piszę o tym wszystkim dlatego, żeby podkreślić, iż te wszystkie książki, postaci, fakty historyczne, które dla naszych młodszych braci, nie mówiąc już o naszych dzieciach, są po prostu elementami szkolnych obowiązków, dla nas były odkryciami, miały sztucznie wytworzony przez okres stalinowski smak nowości.



I jeśli można tak powiedzieć, wszystko dookoła było bardzo ważne; nie wymyślono jeszcze hippizmu, a do odrodzonego po Październiku harcerstwa nikt nas nie naganiał – było naszym przywilejem, że mogliśmy do prawdziwego harcerstwa należeć. Ten stan dziecięcej świadomości końca lat pięćdziesiątych wygląda z dzisiejszego punktu widzenia na kompletny zamęt i osobliwe materii pomieszanie. Nie wydaje mi się jednak, że było ono wtedy dzieciom tylko właściwe.

Pomieszanie to trwało właśnie do roku 1968, kiedy w tę „narodową kadź”, mówiąc językiem Wyspiańskiego, włączono prąd, aby leczyć nas elektrowstrząsami. I wtedy, zgodnie z zasadami fizyki, ładunki zaczęły się porządkować.

Był to proces bardzo bolesny; obie strony konfliktu społecznego przynawalały się do tych samych wartości i wrywały je sobie wzajemnie. Gomułka w słynnym przemówieniu z 19 marca wołał, że „Mickiewicz nie był i nie będzie sztandarem reakcji”, i najpewniej rzeczywiście uważał, że to on właśnie jest przywódcą spadkobierców Wieszcza. Historia jest ironistką; *Dziady* zostały zdjęte, zanim rozpoczęły się prześladowania młodzieży akademickiej; w momencie, kiedy Gomułka zaczął się na Mickiewicza powoływać, spełniał już bezwiednie rolę Nowosilcowa. Właśnie bezwiednie. Przez cały Marzec byliśmy przekonani, i przekonanie to przebija z wszelkich uchwalanych wówczas rezolucji, że władze nie zdają sobie sprawy z tego, co czynią. I chyba tak było.

Z *Międzynarodówką* było trochę podobnie jak z Mickiewiczem, z którym zresztą jej polskie słowa są przez cytat z *Ody do młodości* jednoznacznie związane. *Międzynarodówka* ze swej istoty zawsze była pieśnią bitych, a nie bijących, pieśnią buntowniczych studentów, a nie policji politycznej, i nie widać było wówczas żadnego dobrego powodu, abyśmy się jej mieli wyrzekać, byłby to bowiem zwyczajny walkower. Zresztą w tempie, w jakim toczyły się wydarzenia marcowe od swojego wybuchu, przez burzliwy rozwój, aż do ostatecznej likwidacji, od pierwszego wiecu 8 marca do ostatniego, jaki się w Uniwersytecie odbył, minęło raptem trzy tygodnie. Nie pozostawiono nam czasu na głębsze przemyślenia ani zasadnicze dyskusje. Marzec był – szczególnie dla tych, którzy wzięli w nim aktywny udział, dla tych, którzy zabierali głos na

wieczach, byli członkami studenckich komitetów – Marzec był zespołem pewnych oczywistości.

To, co wypisywała prasa, to, co wygadywali polityczni przywódcy, sprawiało, że po prostu nie było sposobu, aby nie stanąć po drugiej stronie barykady. Wydaje mi się, że całe wychowanie mojego pokolenia było jak gdyby wychowaniem do Marca. Chciałbym pokazać to Państwu na literackim przykładzie: oto w *Konradzie Wallenrodzie* porwanego litewskiego chłopca mistrz krzyżacki wychowuje u siebie, wszczepia mu idee chrześcijańskie. Krzyżacy uczą Konrada Ewangelii, a postępują tak, jak postępują..

Nie będę Państwu tego referować. Ważne, że kiedy Konrad przybywa na Litwę, nie odrzuca chrześcijaństwa – przeciwnie – zawiesza krzyż na piersiach Aldony. Wydaje mi się, że ideologia, w której byliśmy wychowani, zadziałała podobnie: serwowany nam na dziesiątkach akademii Broniewski nie wpoił nam posłuszeństwa wobec władzy, ale wpoił nam pewien zespół wartości.

I tu chciałbym nawiązać do tego, o czym kilka dni temu na tej sali mówił Krzysztof Wolicki: najważniejszą faszystowską cechą Marca był nie antysemityzm, ale pogarda dla wartości. Charakterystyczne dla lewicy polskiej w okresie, gdy stanowiła ona opozycję, wartości stały się niewygodne po zdobyciu władzy i 1968 rok to właśnie moment ostatecznego odrzucenia tego kłopotliwego balastu. Lata późniejsze, rządy ekipy Gierka, to okres komercyjnego socjalizmu, kiedy władzy z dawniej deklarowanych wartości nie pozostało już nic poza czysto zewnętrznymi demonstracjami.

Proszę zauważyć, co się tutaj stało: wartości było za mało na dwie skonfliktowane strony. Myśmy oświadczyli, że stajemy w obronie Mickiewicza i Gomułka w swym słynnym przemówieniu mówił, że „Mickiewicz nigdy nie był i nie będzie sztandarem reakcji”. Myśmy śpiewali *Międzynarodówkę* i oni śpiewali *Międzynarodówkę*. I oto jak historia jest ironiczna: myśmy przestali śpiewać, oni zaś przestali wierzyć w to, co śpiewają. Zresztą ostatni raz śpiewałem *Międzynarodówkę* właśnie na tej sali, w czasie wiecu strajkowego. Atmosfera była bardzo napięta, był ranek i oto przez któreś z tych otwartych okien pod sufitem wlaź na parapet człowiek w fufajce i powiedział: „Studenci, mnie do tego nikt nie upoważnił, ale chciałem wam po-

wiedzieć, że klasa robotnicza jest z wami”. I nagle, automatycznie jakby, cała sala wstała i buchnęła *Międzynarodówka*. To było jedno z moich większych przeżyć natury społecznej, proszę pomyśleć: tysiąc czy półtora tysiąca ludzi śpiewa *Międzynarodówkę* z własnej woli, śpiewa ją jako swoją pieśń. Jej słowa odczuwaliśmy jako w pełni aktualne: jakże konkretnie wtedy znaczyło i Mickiewiczowskie „ruszanie z posad bryły świata”, jak oczywiste było, o jaki to „wyklęty lud” chodzi, jak wreszcie śpiewając: „przed ciosem niechaj tyran drży”, czuliśmy drzenie tyra!a!

I tak, jak dla ówczesnych władz Marzec był demonstracją pogardy dla wartości, dla mojego pokolenia był to moment niezwykle silnego związania się z wartościami, moment, w którym poczuliśmy, że wpisujemy się w historię naszego narodu, bo oto nadszedł nasz czas i nie musimy już zazdrościć pokoleniu naszych rodziców, że miało w czasie wojny szansę sprawdzenia się, szansę, której nam przez lata odmawiano. Było to wszystko przez nas odczuwane na wyrost, ale to właśnie powodowało, że Marzec dla nas wszystkich był tak wielkim i wspaniałym przeżyciem. I cóż – przyjemnie dziś widzieć tu Państwa zgromadzonych na tej uroczystości, ale jest w niej dla mnie też nostalgiczny osad smutku, bo wiem, że coś tak pięknego jak Marzec 68 już się w moim życiu nie powtórzy.

■ **Jan Walc** (1948 – 1993), krytyk i historyk literatury, publicysta. W czasie wydarzeń marca 1968 student II roku polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, członek komitetu studenckiego kierującego strajkiem okupacyjnym na UW, aresztowany i na pół roku zawieszony w prawach studenta. W drugiej połowie lat 70. współpracownik Komitetu Obrony Robotników i Towarzystwa Kursów Naukowych, drukarz w Niezależnej Oficynie Wydawniczej, redaktor pism wydawanych poza cenzurą. Autor prac historycznoliterackich (*Architekt Arki*, 1991), recenzji i szkiców krytycznoliterackich, publicystyki politycznej (*Ja tu tylko sprzątam. Felietony i szkice z lat 1988 – 1993*, 1995).



## Zbigniew Bujak

### Robotnicy 1968

Proszę Państwa, przepraszam za zdenerwowanie, ale jak wielu młodych robotników zawsze marzyłem, żeby być studentem, a tymczasem zamiast słuchać, przychodzi mi mówić, i to od razu w Audytorium Maximum. To każdego może zwalić z nóg.

Proszę Państwa, na początek chciałbym odpowiedzieć na jedno podstawowe pytanie: dlaczego właśnie ja mówię na ten temat: „Robotnicy 1968”? Otóż, zainteresowany od początku tą sprawą, w licznych rozmowach i dyskusjach zbierałem na ten temat informacje. Za każdym razem były to relacje różnych osób z wydarzeń widzianych z ich własnej perspektywy. Jako człowiek, który nie był bezpośrednio związany pamięcią z tymi wydarzeniami, starałem się niejako sprowadzić te wszystkie wspomnienia i relacje do wspólnego mianownika, wydobyć nie to, co kierowało moimi rozmówcami, ale to, co było wspólne im wszystkim. I dlatego właśnie, że jak sądzę, udało mi się dzięki temu osiągnąć pewien obiektywizm w ocenie tych wydarzeń, zdecydowałem się mówić.

Pierwsze zasadnicze pytanie, na które należy sobie odpowiedzieć, jest takie: jak środowisko inteligenckie było widziane przez robotników, jak przebiegały podziały w tym okresie? Na pytanie zadawane moim starszym kolegom robotnikom, co dla nich było światem inteligencji, odpowiadali zawsze, że byli to wszyscy pracownicy umysłowi. Niemniej w toku dalszej dyskusji zarysował się pewien zasadniczy podział. Otóż, ten świat inteligencji dzielił się dla nas na trzy grupy. Pierwszą stanowili ci, z którymi stykaliśmy się na co dzień, czyli kadra inżyniersko–techniczna i administracyjna. Druga grupa, najwyższy niejako szczebel społecznej drabiny, to był świat pisarzy, poetów, pracowników naukowych, wykładowców uniwersytetów. I wreszcie trzecią

grupę stanowiło środowisko studenckie, które zawsze widziane było jako środowisko bardzo aktywne i burzliwe, w którym zawsze rodziły się jakieś nowe inicjatywy.

A teraz, czy o sposobie widzenia inteligencji decydowało środowisko kadry inżynieryjno–technicznej? Byli to ludzie, z którymi stykaliśmy się bezpośrednio, i dla wszystkich robotników byli oni tymi, z którymi przychodziło nam walczyć na co dzień. Stykaliśmy się z nimi przy warsztacie pracy, z nimi dochodziło do starć o warunki pracy i płace. Jeżeli chodzi o środowisko naukowców, pisarzy, poetów, to cieszyło się ono bardzo wysokim prestiżem społecznym; w świadomości robotników było to jednak środowisko nieosiągalne, do którego niejako nie mieliśmy wstępu. Oddzielała nas od nich m.in. ta właśnie bariera, którą stanowiło środowisko kadry inżynieryjno–technicznej. Czy istniał więc jakiś punkt styczności między tymi środowiskami? Tylko jeden i to bardzo nikły. Jak już powiedziałem, każdy młody człowiek po skończonej szkole chciałby studiować, wybić się, każdy ma tego rodzaju ambicje. Tak więc tylko na styku młodzi robotnicy – studenci mogło dochodzić do pewnego kontaktu, do pewnego zbliżenia, tylko tam mogło kształtować się jakieś poczucie wspólnego interesu. W 1968 r. nie doszło chyba jednak do bliższych kontaktów i nie wiem, czy rzeczywiście i w jakim stopniu młodym robotnikom były wówczas bliskie sprawy studenckie. Na ile pamiętam, to dla mojego starszego rodzeństwa ta więź była bardzo silna i chęć przyjsia z pomocą bardzo duża.

Następne pytanie: jak odbierano wydarzenia Marca i jak je widziano w środowisku robotniczym? Najpierw uważano je za wydarzenia związane tylko i wyłącznie ze środowiskiem studenckim. Dopiero później, w okresie rozgrywek antysemickich, uświadomiono sobie, że zasięg tych wydarzeń wykracza poza to środowisko.

Jakie było w oczach robotników tło tych wystąpień? Każdy z nas, każdy z robotników wiedział, kim był Adam Mickiewicz, wiedział, jakim utworem są *Dziady*, jaka jest jego tematyka. Nie wszyscy mogli ten utwór przeczytać, a nieliczni tylko mieli okazję oglądać go w teatrze, ale wszyscy wiedzieli, co to jest. Wszyscy potwierdzają jedno: gdy dowiedzieli się, że ze sceny Teatru Narodowego zdjęto *Dziady*, zrozumieli, że stało się coś strasznego, że władze

musiały wyrzucić jakiś straszliwy nacisk, że tym razem posunęły się bardzo daleko w uciskaniu kultury narodowej, skoro nakazały zdjęcie z afisza *Dziadów*, dzieła wieszczki narodowej, o którym wszyscy wiedzą, jak wysokie miejsce zajmuje w naszej historii.

Następnie z wieców studenckich zaczęły docierać pośrednio hasła wolności słowa i zniesienia cenzury. Te hasła były dla robotników zrozumiałe i jasne. Ale czy z tymi hasłami środowiska robotnicze się identyfikowały? Trzeba zdać sobie sprawę, jakie były w tym czasie warunki życia tych środowisk. Był to okres nędznych zarobków i niskiej stopy życiowej. Wszyscy praktycznie byli zajęci tylko tym, aby osiągnąć możliwie znośny poziom życia. Nie było miejsca na inne, szersze zainteresowania. Hasła studenckie można było zrozumieć, ale nie musiały one znaleźć się w zasięgu naszych własnych dążeń. Bardzo często mówiono mi, że jest rzeczą oczywistą, że właśnie środowisko studenckie i środowisko pisarzy walczy o te sprawy, bo w końcu oni mają na to czas i są tym najbardziej zainteresowani: to oni przecież piszą, więc zrozumiałe jest, że oni się tym zajmują. Tak więc bezpośredniej identyfikacji z tymi hasłami nie było, chociaż były one dla wszystkich zrozumiałe.

W pewnym momencie pojawiły się hasła antysemityczne. Jakie czynniki odgrywały rolę przy odbiorze wystąpień antysemitycznych? Otóż, na podstawie rozmów z ludźmi w różnym wieku mogłem znowu podzielić moich rozmówców na trzy grupy. Pierwsza to ludzie starsi, którym okres międzywojenny bardzo żywo rysował się w pamięci i do tej grupy hasła antysemityczne dosyć łatwo trafiały, znajdowały podatny grunt. Druga grupa to ludzie w średnim wieku, którzy pamiętali okres wojny, martyrologię żydowską, powstanie w getcie; ci hasła antysemityczne nie przyjmowali. Wreszcie trzecia grupa, młodzi robotnicy, których pewna część żyła w atmosferze rodzinnej nasyconej niekiedy antysemityzmem; niemniej, ogólnie rzecz biorąc, u większości przedstawicieli tej grupy hasła antysemityczne również nie znajdowały posłuchu. Na ten akurat temat najmniej można z ludzi wydobyć odnośnie okresu Marca, po prostu nie pamiętają antysemitycznego tła wydarzeń, co wskazuje na to, że hasła antysemityczne nie wyrwały się zbyt mocno w ich pamięci, i co oznacza również, że nie znalazły one jakiegoś mocnego oparcia w środowisku robotniczym tamtych lat.

Jakie czynniki osłabiały oddziaływanie propagandy antysemitycznej?

Lub może najpierw: co wpływało na to, że w pewnych grupach robotników hasła te znajdowały jednak jakiś posłuch? Otóż były one głoszone w szczególny sposób, który pozwalał działalnością Żydów tłumaczyć wydarzenia tego świata. Wystarczyło wiedzieć, że wszystkim są winni Żydzi, aby nagle okazywało się, że rozumiemy świat, rozumiemy to, co się na nim dzieje. Było to tłumaczenie bardzo proste i przez to bardzo chwytliwe. Jedno niejako rozbijało tę koncepcję, mianowicie fakt, że kiedy rozpoczął się okres wysiedleń, wyrzucania, ludzie nagle dowiedzieli się, że usunięto bardzo wiele osób, których nazwiska były znane. Zaskoczyło mnie np., że wielu znało nazwisko Leszka Kołakowskiego, choć nie wiedzieli dokładnie, kto to był: filozof, ekonomista, socjolog? Wiedzieli tylko, że wyrzucono człowieka o znanym nazwisku. I kiedy okazało się, że usuwano wybitnych twórców polskiej nauki i kultury, niekoniecznie pochodzenia żydowskiego, wtedy, nie rozumiejąc dokładnie, co się stało, wszyscy zaczęli podejrzewać, że za tymi wydarzeniami kryje się jakaś potworna rozgrywka ówczesnych władz.

Następne pytanie: czy ówczesne bojówki były bojówkami rzeczywiście robotniczymi? Z kogo się rekrutowały? Oto tutaj dosyć szczegółowe relacje mam tylko z dwóch zakładów, z „Ursusa” i z „Zelmotu”. W „Ursusie” udało się do tego zmobilizować bardzo nieliczną grupę osób, głównie działaczy Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej i aktyw partyjny. W „Zelmocie” udało się zaangażować, poza aktywnym partyjnym i ORMO, również i Ochotniczą Straż Wydziałową. „Zelmot” zresztą nie był bezpośrednio użyty do akcji, był skoszarowany w kinie. No, jeżeli przyjmiemy, że aktyw, ORMO itp. to prawdziwi robotnicy, to można powiedzieć, że te bojówki to byli robotnicy.

Natomiast istotne jest to, jak później ci ludzie zostali przyjęci przez załogi. W wielkich zakładach, jeżeli nie udało się tam skaperować dużej liczby uczestników i jeżeli trudno było ich zidentyfikować, to po prostu rozpląnęli się wśród załogi. Natomiast w mniejszych zakładach, gdzie dokładnie było wiadomo, kto był zmobilizowany, ludzie ci spotkali się później, jak np. w „Zelmocie”, z dwuletnim niemal okresem izolacji, aż do roku 1970; w tym czasie przeżyli bardzo wiele upokorzeń z tego powodu, że zdecydowali się pójść tam do tego kina (bodajże „Ochota”) i przez sam fakt, że mogli być użyci do bojówek.

Jak były organizowane wiece w zakładach i jak były one przyjmowane



przez robotników? Z jednego trzeba sobie zdawać sprawę: były one organizowane w czasie pracy; tak więc z chwilą, gdy ogłoszono, że odbędzie się wiec, ludzie chętnie przerywali pracę i szli na wiec. Jak to wyglądało w „Ursusie”? Najtrudniej było im znaleźć ludzi, którzy by zechcieli nieść transparenty i hasła. Udało się im wcisnąć je tylko aktywowi partyjnemu i młodzieżowemu. Ale i oni, gdy tylko doszli na miejsce, starali się odstawić wszystkie hasła pod ścianę; później hasła te były przewracane i deptane przez innych. Wokół trybuny gromadzono część aktywu: tych właśnie filmowano i tylko oni klaskali. Inni, zwłaszcza młodzi ludzie, latając po blaszanych dachach i stopniach (wiec odbywał się w starej odlewni żeliwa), starali się hałasem zagłuszyć przemówienia, jakie co poniektórzy wygłaszali. Reszta stojąca pod trybuną przyjmowała po prostu w głuchym milczeniu to, co było mówione; praktycznie nic z tego nie trafiało do ludzi, a nawet nastawiało ich wrogo do uprawianej wówczas propagandy.

Teraz można by spróbować odpowiedzieć na pytanie, dlaczego nie doszło do wspólnych wystąpień inteligencji i robotników. Jak już na początku powiedziałem, istniał społeczny podział, istniała bariera w postaci kadry inżyniersko–technicznej, rozgraniczało to interesy obu środowisk, robotniczego i inteligenckiego. Brak było wzajemnej informacji o celach, o nastrojach, o potrzebach i problemach, które w obu środowiskach się rodziły. Ja myślę, że głównie brak było wiedzy o nastrojach i problemach środowiska robotniczego. Co było potrzebne, aby ten podział przełamać? Potrzebne były przede wszystkim jakieś kanały łączności. W tym czasie miało miejsce pewne szczególne wydarzenie. Właśnie w zakładach „Zelmot” odbył się trochę inny wiec, na którym wysunięto zwykle ekonomiczne żądania zwrotu premii, wypłacenia trzynastki. Wiec był zorganizowany przez trzech ludzi. Na dwa dni przedtem, w czwartek, jeden z nich, jadąc kolejką, gdzie opowiadał komuś o tym, co się dzieje w ich zakładzie, został zaczepiony przez jakiegoś młodego człowieka, na pewno – jak oświadczył – studenta, sądząc po książkach i zeszytach. Przez całą drogę rozmawiał ze studentem, który przekonywał go, że jeżeli mają coś zrobić w swoim zakładzie, to powinni to zrobić właśnie teraz, bo jeżeli cokolwiek im się stanie, jeżeli np. ich wsadzą, to w poniedziałek już zostaną wypuszczeni. Kiedy w sobotę razem z dwoma innymi

kolegami organizował wiec, ta rozmowa stanowiła dla niego główną obronę przed strachem. Na wiec sprowadzono dyrektorów, którzy w poniedziałek, po spełnieniu jednego z żądań robotników, zostali usunięci. Był to pierwszy, bardzo jeszcze nikły kontakt z inteligencją i pierwszy praktyczny sukces wynikający z tego kontaktu.

Co od tego czasu zmieniło się w stosunkach między robotnikami a inteligencją? Nastąpiła wyraźna zmiana w stosunkach między robotnikami a kadrą inżynieryjno–techniczną. Z jednego głównie powodu. W obecnej chwili bardzo duża część tej kadry to ludzie z Marca 68 r. Kiedy się z nimi rozmawia, bardzo często wraca się do tych właśnie wydarzeń. Tutaj bariera, która nas przedtem dzieliła, została bardzo znacznie osłabiona. I nastąpiło coś jeszcze. Jeżeli chodzi o stosunek między środowiskiem robotniczym a środowiskiem inteligencji najwyższego szczebla – środowiskiem naukowców, wykładowców uniwersytetu, pisarzy, poetów – to w skali ogólnej sposób widzenia tego środowiska przez robotników nie uległ zmianie. Nadal cieszy się ono takim samym autorytetem i jest tak samo jak przedtem nieosiągalne dla przeciętnego robotnika. Zmienił się natomiast stosunek tej inteligencji do robotników. Dzięki tej zmianie otworzony został kanał i m.in. tacy jak ja zetknęli się z tym środowiskiem. Nastąpił ten właśnie przepływ informacji, który był potrzebny. Stało się to dokładnie osiem lat temu i zaowocowało już w cztery lata później. I fakt, że mamy w tej chwili wspólny związek, jest wspólnym osiągnięciem lat 1968, 1970, 1976 i 1980.

■ **Zbigniew Bujak** (ur. 1954), działacz związkowy i polityczny. Pracując jako elektryk w Zakładach Mechanicznych „Ursus” w Warszawie, podjął (ze Zbigniewem Janasem i Arkadiuszem Czerwińskim) aktywność opozycyjną, m.in. współpracował z Komitetem Obrony Robotników. W 1980 był jednym z założycieli NSZZ „Solidarność” w swoim zakładzie, od września 1980 przewodniczącym Regionu Mazowsze, następnie członkiem prezydium Komisji Krajowej „Solidarności”. W stanie wojennym, do 1986 wymykając się tropiącej go służbie bezpieczeństwa, działał w strukturach podziemnych Związku jako przewodniczący Regionu „Mazowsze” i członek ogólnopolskiej Krajowej Komisji Koordynacyjnej. Uczestnik

*Robotnicy 1968*

obrad Okrągłego Stołu, działacz Unii Pracy i Unii Wolności, 1991 – 1997 poseł na Sejm.



## Jerzy Jedlicki

### Organizowanie nienawiści

#### I

W wrześniu 1894 r. kontrwywiad francuski wykradł z ambasady niemieckiej w Paryżu odręczny wykaz przekazanych tej ambasadzie tajnych dokumentów wojskowych. Podejrzenie pada na kapitana sztabu generalnego, Alfreda Dreyfusa, pochodzącego z zasymilowanej rodziny żydowskiej z Alzacji. Dreyfus, aresztowany, nie przyznaje się do winy. Sprawa uzyskuje rozgłos: znaczna część prasy francuskiej podejmuje zacieklą kampanię antysemitką, żądając usunięcia Żydów z armii; kampania ta jest podsycana przez Ministerstwo Wojny i sztab generalny. W procesie poszlakowym, na podstawie jednego dokumentu wątpliwego autorstwa – owego „wykazu” – kapitan Dreyfus zostaje zdegradowany i skazany na hańbiącą karę dożywotniego zesłania na Czarcią Wyspę.

Dwa lata później inny zdobyty przez wywiad francuski dokument rzuca cień wątpliwości na wynik śledztwa i procesu Dreyfusa: tym razem podejrzenia o szpiegostwo kierują się przeciwko innemu oficerowi – majorowi Esterhazemu, węgierskiemu arystokracie w służbie Republiki Francuskiej. Okazuje się też, że charakter pisma na wspomnianym wykazie zdradza rękę Esterhazego. Brat Dreyfusa domaga się rewizji procesu. Rewizja taka oznaczałaby jednak kompromitację sztabu, ministerstwa i całego rządu. W tej sytuacji oficerowie wywiadu i sztabu robią wszystko, aby do rewizji nie dopuścić: wszystko, łącznie z produkowaniem nowych, jak się po latach okaże, fałszywych dokumentów. Towarzyszy temu nowa kampania prasy francuskiej, która chce mieć zdrajcę Dreyfusa, a nie Esterhazego. Nielicznych obrońców Dreyfusa (lub tylko ludzi mających wątpliwości) dzienniki przedstawiają jako bezbożników, masonów, wrogów ojczyzny, religii, jako agentów międzynarodowego „syndykatu żydowskiego”, mającego na celu osłabienie armii francuskiej, znieważenie jej honoru i wydanie bezbronnej Francji na łup Niemiec.

Ulica paryska, bał, opinia całej Francji, podburzana przez wielkonożną prasę, dochodzi do stanu niebywałego podniecenia i szowinizmu. W tych warunkach psychologicznego terroru wystąpienie w obronie Dreyfusa wymaga nie lada odwagi cywilnej i waży się na ten krok zaledwie jednostki. Jest wśród nich wielki pisarz, stojący u szczytu sławy Emil Zola, który cały schyłek swego życia poświęcił tej sprawie, upatrując w niej nie sprawę Dreyfusa, lecz sprawę prawdy, sprawiedliwości, sprawę Francji. Zola rozpoczął swą walkę o przekonanie Francji zupełnie niemal samotny, korzystając z gościny jedyne go paryskiego dziennika, „L'Aurore”, który odważył się pójść pod prąd opinii. Był obrzucany błotem, kalumniami, sam postawiony przed sądem i skazany za zniesławienie, szczuty – ale nie cofnął się i z wolna zdobywał coraz większy posłuch. Zmarł nagle w roku 1902, ale sprawa Dreyfusa toczyła się dalej.

Nie mogę tu relacjonować jej perypetii, jej dramatycznych zwrotów, kilku następnyc h procesów, nowych błędów, szantaży, fałszerstw i samobójstw fałszerzy; sprawa ta wstrząsała Francją przez 12 lat, dzieląc ją na stronnictwa, powodując próbę obalenia ustroju republikańskiego przez monarchistyczny zamach stanu – aż wreszcie w roku 1906 zakończyła się całkowitym zwycięstwem sprawiedliwości i klęską reakcji: Dreyfus został uniewinniony i zrehabilitowany.

Przywołuję tu sprawę Dreyfusa, ponieważ w jej toku po raz pierwszy chyba na taką skalę użyta została prasa nie do informowania i oświecania opinii, lecz do organizowania zbiorowej nienawiści. Ta nowa funkcja pojawia się wraz z rozwojem masowego czytelnictwa dzienników. Odtąd w rękach fanatyków albo ludzi pozbawionych skrupułów, a także we władaniu stronnictw rządowych i opozycyjnych znajduje się potężny instrument oddziaływania, werbowania i podżegania, a więc instrument władzy de facto: jest to pokusa ogromna, a nieczęsto etyka dziennikarska bywała na tyle wysoka, aby instrumentu tego używać z umiarem i tylko w uczciwych sprawach. Niechaj przemówi Emil Zola:

*Zbrodnią jest wprowadzenie w błąd i używanie do nikczemnej roboty opinii publicznej, którą się wypaczyło i doprowadziło do obłądzenia. Zbrodnią jest ścizenie trucizny w umysły maluczkich i cichych, zbrodnią jest rozpalenie na-*

*miętności, nietolerancji i wstecznictwa – z ukrycia, spoza ohydy antysemityzmu, od którego wielka, liberalna Francja, kraj praw człowieka, zginie, jeśli się zeń nie wyleczy. Zbrodnią jest wykorzystywanie patriotyzmu dla dzieła nienawiści...*

I jeszcze:

*Oto więc, co widzę przede wszystkim w szaleństwie, które targa tobą, Francjo: kłamliwą prasę karmiącą cię co rano niedorzecznościami, bajeczkami, podłymi obelgami, tworamii spaczoney moralności [...]. Dziś prześladowuje się Żydów, jutro przyjdzie kolej na protestantów; kampania już rozpoczęta. Różnego rodzaju reakcjonisci zalali Republikę, uwielbiają ją nagłą a straszliwą miłością, dławią ją w swych objęciach. Słyszysz się zewsząd o bankructwie idei wolności. Sprawa Dreyfusa stała się niezwykłą okazją, dla tej wzrastającej pogardy wolności...*

„Dreyfusjada” jest przykładem szczególnie znanym, wyjątkowo głośnym, długotrwałym, ale zdaje się, że żaden kraj w XX wieku nie jest wolny od takich historycznych epizodów, w których prasa masowa odegrała rolę narzędzia terroru. Nie łudźmy się, że chroni przed tym ustrój demokratyczny: demokracja wyborcza, oparta na systemie arytmetycznym, większościowym, może nawet sprzyjać demagogii, podsycaniu emocji tłumów; zapewne, różnorodność kierunków ideowych, jeśli znajduje odbicie w prasie, zabezpiecza w pewnej mierze publiczność przed zmonopolizowaną propagandą nienawiści, pozwala ujawniać konflikty, ale triumfów rozumu i tolerancji bynajmniej nie gwarantuje.

Mógłbym opowiedzieć o tym, jak w czasie I wojny światowej prasa amerykańska rozpętała historyczną kampanię przeciwko Amerykanom niemieckiego pochodzenia (nie wyłączając rodzin, które od stu lat przebywały na ziemi amerykańskiej), uznając ich ryczałtem za szpiegów Kaisera: tysiące *German-Americans* znalazło się wówczas w obozach dla internowanych. Zaraz potem histeria skierowała się przeciwko pacyfistom, a po roku 1917 przeciw socjalistom tudzież imigrantom z Rosji, którzy byli oczywiście „agentami sowieckimi”. „Wróg zmienił maskę” – tak brzmiał slogan jednego z amerykańskich towarzystw nacjonalistycznych lat dwudziestych. I rzeczywiście, wróg zmieniał maski ze zdumiewającą łatwością: z niemieckiego zdrajcy

przeobrażał się w bolszewika, z bolszewika w przedstawiciela światowego spisku żydowskiego, z Żyda w katolika–papistę, z katolika w Japończyka...

Mógłbym opowiedzieć o tym, jak w cztery lata po zakończeniu 123–letniej nocy niewoli w niepodległym i demokratycznym państwie polskim prasa endecka, klerykalna i brukowa zaszczyły pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej – dlatego tylko, że w Zgromadzeniu Narodowym zwyciężył kandydata prawicy głosami socjalistów, ludowców i mniejszości narodowych. To prasa, podjudzająca tłum do słownych i czynnych napaści na posłów PPS–u, Żydów, na ustępującego Naczelnika Państwa i na prezydenta–elekta, wytworzyła ten klimat, w którym Eligiusz Niewiadomski, pociągając w Zachęcie za cyngiel, mógł wierzyć, że działa w obronie Ojczyzny...

Mógłbym opowiedzieć o tym, do jakiej perfekcji w operowaniu prasą i radiem w celu podżegania nienawiści doszli hitlerowcy jeszcze przed zdobyciem władzy i jak tę umiejętność udoskonalili po jej zdobyciu, gdy uzyskali pełny monopol środków oddziaływania. Mógłbym wspomnieć o szczegółowej instrukcji gestapo z roku 1938 w sprawie „organizowania wściekłości narodu niemieckiego przeciw Żydom”. Wedle tej instrukcji najbliższy wybuch wściekłości nastąpić miał w listopadzie – i nastąpił rzeczywiście w terminie: był to wielki pogrom znany pod nazwą „nocy kryształowej” (*Kristallnacht*).

Mógłbym to wszystko opowiedzieć, ale właśnie nie mogę, bo czas tej prelekcji każe zmierzać ku bliższym nam dziejom. Chcę jednak pokazać uniwersalność zjawiska, jego cechy ponadnarodowe.

Jak wskazują przytoczone tu przykłady – i wiele innych, które przytoczyć by można – organizowanie zbiorowych paroksyzmów nienawiści było specjalnością prawicy: klerykalnej, nacjonalistycznej, faszystowskiej. Nie żeby lewica, zwłaszcza lewica radykalna, była ożywiona etyką miłości bliźniego. Ona także uczyła nienawiści: do kapitalizmu, do burżuazji, nadto zaś do ideologicznych odszczepieńców i heretyków. Komuniści z upodobaniem wszak nazywali socjaldemokratów „socjalzdrajcami” lub „socjalfaszystami”.

Wszelako nienawiść radykalnej lewicy była przez długi czas jakby doktrynerska, wyspekulowana, szeleściła papierem, wznosiła się abstrakcją, trzeba było przejść kursy szkolenia partyjnego, żeby się nią przejąć. Natomiast agitacja prawicy przybierała kształt konkretny, ucieleśniony w osobach, gru-



pach plemiennych, rasowych, wyznaniowych. To dawało lepsze efekty. Lewica potrząsała dziełami klasyków, podczas gdy prawica odwoływała się do odruchów elementarnych, do ksenofobii, do lęku przed tajemniczymi siłami rządzącymi światem, do uprzedzeń rasowych. Nienawiść lewicy była rewolucyjna, nienawiść prawicy była pogromowa.

Ale lata trzydzieste zaczęły dostarczać dowodów na to, iż między dwiema skrajnymi formacjami totalitarnymi dokonuje się osmoza, że uczą się one od siebie wzajemnie. Wraz z tym reakcja polityczna, nacjonalizm i faszyzm utraciły monopol na tę metodę ekscytowania publiczności, jaką tu starałem się scharakteryzować.

Przełomowe w tym względzie były procesy moskiewskie lat 1936–38, te wielkie pokazowe procesy, w których Stalin pozbywał się, pohańbiwszy ją wprzód, całej prawie (prócz kilku komilitonów) drużyny starych działaczy bolszewickiej partii, architektów rewolucji, weteranów wojny domowej, twórców Związku Radzieckiego. Procesom towarzyszyła zmasowana propaganda nienawiści. Ton jej nadawały słynne przemówienia oskarżycielskie prokuratora Andrieja Wyszynskiego, przedrukowywane w milionach egzemplarzy, w dziesiątkach języków.

Oto przykład tej sztuki oratorskiej, zaczerpnięty z przemówienia prokuratora w wielkim procesie w sierpniu 1936 r., który otrzymał urzędową nazwę „procesu trockistowsko–zinowjewowskiego centrum terrorystycznego”:

*Proces ten, którego „bohaterowie” związali swe losy z faszystami, z agentami policji, proces, którego „bohaterowie” nie przebiali w środkach i doszli do potwornej dwulicowości i oszustw, czyniąc z wiarołomstwa i zdrady swój system, swą główną zasadę w walce z państwem radzieckim, proces ten w całej pełni ujawnił i jeszcze raz udowodnił, jak wielka i bezgraniczna jest zaciekłość i nienawiść naszych wrogów do wielkiej sprawy socjalizmu – proces ten dowiódł całej nikczemności naszych wrogów, miotających się i popełniających wciąż nowe zbrodnie. Nikczemna, podła i bezsilna garstka zdrajców i morderców chciała swymi brudnymi zbrodniami zatrzymać bicie potężnego serca naszego wielkiego narodu! Nikczemna, podła garstka awanturników chciała zdeptać najpiękniejsze kwiaty naszej ziemi socjalistycznej. Te wściekle psy kapitalizmu chciały rozszarpać najlepszych ludzi naszego kraju radzieckiego.*

Ten styl, to spiętrzenie przymiotników, epitetów i wyzwisk, stał się wzorcem dla licznych uczniów Wielkiego Inkwizytora. Ale zacytujmy jeszcze jeden fragment z tego samego przemówienia, fragment, który był złowieszczą zapowiedzią pewnego ulubionego później wątku:

*Mojżesz Łurie i Natan Łurie. Z zeznań Natana Łurie dowiedzieliśmy się, jak i w jakim celu dostał się do nas, jaką rozwinął działalność w zakresie przygotowywania zamachów terrorystycznych pod kierunkiem Mojżesza Łurie oraz jak stał się w gruncie rzeczy kontynuatorem tej grupy, którą już przed jego przyjazdem zmontował tutaj Franz Weiz, faszystowski agent i pełnomocnik Himmlera, szefa faszystowskiej czarnej policji politycznej, niemieckich oddziałów policyjnych, a następnie szefa niemieckiego gestapo.*

Od tego czasu rośnie nieprzebrana antologia tekstów pisanych i wygłoszanych w podobnej poetyce, a związanych najczęściej z fałszywymi procesami politycznymi, w których oskarżonych obwinia się o nieprawdopodobne zbrodnie i spiski.

W krajach demokracji ludowej w latach 1947–1953 nie było roku bez takich procesów, a każdy z nich to w gazetach całe stronicie niby-faktów, przekleństw, rzekomych rewelacji – coraz nowe akty wielkiego filmu grozy, w których macki jakichś straszliwych intryg, macki, których nigdy nie można odrąbać do końca, oplątują dzieło pokojowej budowy socjalizmu, strzeżone przez garstkę zawsze czujnych i wiernych sprawie przywódców tudzież aparat bezpieczeństwa. Oto parę tylko tytułów broszurek wydanych głównie przez „Książkę i Wiedzę” w tych latach: *Międzynarodówka zdrajców, Ludzie bez ojczyzny, Szpiedzy i dywersanci bez maski* i wiele podobnych.

Naszym Wyszyńskim był płk. Zarako-Zarakowski, naczelny prokurator Wojska Polskiego, który oskarżał w pokazowych procesach. Oto fragmenty z jego przemówienia na procesie „członków organizacji dywersyjno-szpiegowskiej w Wojsku Polskim” w roku 1951. Zwany procesem „Tatara-Kirchmayera”, miał ten proces kilka celów jednocześnie: zdyskredytowanie Komendy Głównej AK z czasów okupacji, zniszczenie reszty przedwojennego korpusu oficerskiego, i to właśnie tej jego części, która z dobrą wiarą wstąpiła do ludowego wojska, zdyskredytowanie pokonanego już Polskiego Stronnictwa Ludowego i na koniec takie obciążenie gen. Mariana

Spychalskiego (który w WP prowadził był politykę otwartych drzwi dla oficerów reemigrantów), aby przygotować wielki proces tzw. grupy prawicowo-nacjonalistycznej w Polskiej Partii Robotniczej, z Gomułką na czele. Głos ma prokurator Zarakowski:

*Proces ten – to demaskowanie nikczemnej garstki dywersantów i szpiegów, którzy zdradzili swój kraj i wystugiwali się podżegaczom wojennym, pragnącym rozpalić nową światową pożogę, jaka miała według ich zbrodniczych planów objąć również Polskę. Proces ten jest ciosem w agentury imperializmu, werbowane spośród zaprzedańców i wyrodków, które usiłowały pomniejszyć siłę obronną Rzeczypospolitej, agentury, które usiłowały i – dzięki pomocy udzielonej im przez przedstawicieli grupy prawicowo-nacjonalistycznej – w pewnym stopniu zdołały przeniknąć do odrodzonego wojska polskiego.*

I dalej:

*Wszystkie spiski, jakie rozpatrywaliśmy dotąd, ukrywały się w podziemiach konspiracji. Ich kierownicy i uczestnicy oszukiwali władzę państwa ludowego, udając uczciwych obywateli. Ale nie mieliśmy dotąd ani jednego procesu, w którym podstawową metodą działania spiskowców było tak perfidne maskowanie się zdrajców w szaty zwolenników władzy ludowej – po to, aby móc tym skuteczniej prowadzić swą antyludową i antynarodową robotę. Oskarżeni niniejszego procesu oszukiwali kraj, naród, obóz demokratyczny, państwo polskie w sposób, który pod względem dwulicowości, obłudy, perfidii, wyrafinowania – stanowi obraz szczególnie obmierzły.*

Obok płk. Zarakowskiego wstąpiła się w owych latach Wanda Odolska, sprawozdawca sądowy Polskiego Radia. W czasie tego i innych procesów na całą Polskę rozlegał się jej wibrujący, pełen gniewu i wzburzenia głos, piętnujący nikczemnych dywersantów, szpiegów, agentów, zdrajców „wszelkiej maści”.

Obok procesów tzw. „reakcji”, i przeważnie z nimi powiązane, odbywały się wielkie pokazowe procesy partyjne, procesy przywódców komunistycznych, oskarżanych przez swoich najbliższych towarzyszy o to, że byli agentami gestapo, Tity i wszystkich możliwych wywiadów, mordercami i sprzedawczykami. Każdy z tych procesów odbijał się głośnym echem prasowym we wszystkich państwach obozu socjalistycznego. Tak np. sprawozdawca polskiej prasy wojskowej z procesu Rajka w Budapeszcie we wrześniu 1949 r. pisał w takim oto stylu:

*O, to był ciężki dzień! Jeszcze teraz otrząsam się z obrzydzenia na wspomnienie wysłuchanych przed paru godzinami zeznań pozostałych pięciu oskarżonych. To była parada przedwojennych jeszcze szpicli i prowokatorów rynsztokowego gatunku, wycieraczy przedpokojów defensywy, konfidentów płatnych od sztuki. Przy tym te typy, przywykłe do składania donosicielskich sprawozdań, opowiadały z taką swadą i z takimi detalami o swojej łajdackiej robocie, o tym, kogo i za ile sprzedano, jakie organizacje robotnicze rozbito, jakich i ilu działaczy komunistycznych w wyniku prowokacji wymordowano i nieodmiennie: za jakie wynagrodzenie, za ile – że trudno było spokojnie słuchać.*

Taki moralny patos w służbie zorganizowanego kłamstwa cechował wszystkie podobne sprawozdania.

Zatrzymajmy się jeszcze chwilę nad ostatnim z tej serii stalinowskich procesów, nad procesem sekretarza generalnego KC Komunistycznej Partii Czechosłowacji Rudolfa Slánskiego i jego trzynastu towarzyszy z ławy oskarżonych. Proces ten odbył się w listopadzie 1952 r. Wszyscy podsądni byli oskarżeni o to, że *jako trockistowsko–titowscy, syjonistyczni i burżuazyjno–nacjonalistyczni zdrajcy i wrogowie narodu czechosłowackiego, ustroju ludowo–demokratycznego i socjalizmu, pozostając w służbie imperialistów amerykańskich, stworzyli pod kierownictwem wrogich wywiadów zachodnich antypaństwowy ośrodek spiskowy, podważali ustrój ludowo–demokratyczny, utrudniali budowę socjalizmu, działali na szkodę gospodarki narodowej, uprawiali działalność szpiegowską, osłabiali jedność narodu czechosłowackiego i obronność Republiki, aby rozerwać jej trwały sojusz i przyjaźń ze Związkiem Radzieckim, aby zlikwidować w Czechosłowacji ustrój ludowo–demokratyczny, restaurować kapitalizm, ponownie wciągnąć Republikę Czechosłowacką do obozu imperializmu oraz pozbawić ją suwerenności i niezawisłości.*

Na tym procesie do dotychczasowego repertuaru oskarżeń (zawsze Tito, gestapo, wywiad amerykański, brytyjski i francuski) doszedł nowy element: agentura Izraela, międzynarodowy spisek syjonistyczny.

Właściwie nie był to wątek całkiem nowy. Stalin od lat trzydziestych miał, jak się zdaje, obsesję antyżydowską, która wzięła się być może stąd, że większość jego potencjalnych rywali w kierownictwie WKP(b) była pochodzenia żydowskiego. Motyw Żydów–komunistów spiskujących na zgubę ko-

munizmu w tajnym porozumieniu z faszystami pojawił się już – jak widzieliśmy – w procesie Zinowjewa i innych w 1936 roku. Masowe prześladowanie Żydów i niszczenie kultury żydowskiej w ZSRR miało miejsce w roku 1948. Ale w procesie Sląńskiego motyw zagrożenia żydowskiego po raz pierwszy został wyeksponowany na czołowe miejsce, stał się niejako obowiązkowy, a wraz z tym złowróżbny.

Użycie w tym kontekście i wylansowanie terminu „syjonizm” i jego pochodnych było pomysłem niezwykle dowcipnym, zdradzającym inwencję samego Stalina. Syjonizm był, jak wiadomo, ruchem żydowskiego odrodzenia narodowego, zmierzającym do powrotu Żydów z diaspory do ziemi przodków i do odbudowy tam państwa żydowskiego. Komuniści, zwłaszcza pochodzenia żydowskiego, przystępujący do walki klasowej w kraju swego urodzenia, mieli do syjonizmu zawsze stosunek niechętny, jeśli nie wrogie: dla młodzieży żydowskiej, zrywającej z religijną ortodoksją, były to bowiem dwa konkurencyjne wybory ideowe. Oskarżenie więc starego komunisty tej rangi co Sląnský o „syjonizm” było absurdalne, gdyby je brać dosłownie, ale właśnie wszyscy świetnie rozumieli, że należy je brać w całkiem innym niż dotychczas znaczeniu, jako słowo zastępcze, a bardzo wygodne. Bo każdy wiedział, o co i o kogo chodzi, a nic nie zostało nazwane swoim własnym imieniem.

Po zamordowaniu Sląńskiego i dziesięciu współoskarżonych (trzech pozostałych sąd skazał na karę dożywotniego więzienia) mówił przewodniczący partii Klement Gottwald:

*W toku śledztwa i podczas procesu antypaństwowego ośrodka spiskowego wykryto nowy kanał, przez który zdrada i szpiegostwo przedostają się do partii komunistycznych. Tym kanałem jest syjonizm. Dlaczego? Dlatego właśnie, że po utworzeniu państwa Izrael i podporządkowaniu go Stanom Zjednoczonym organizacje syjonistyczne wszelkiego autoramentu stały się filiami wywiadu amerykańskiego. Organizacje syjonistyczne i ich amerykańscy mocodawcy żerują nikiemnie na cierpieniach, jakich doznali Żydzi z rąk Hitlera i innych faszystów. Można śmiało powiedzieć, że chcą oni zbić kapitał na popiołach Oświęcimia i Majdanka. Obecnie syjonizm jest niebezpiecznym i zdradzieckim wrogiem. Czy znaczy to, że można utożsamiać człowieka pochodzenia żydowskiego i syjonistę? Nie! [...] Walka przeciwko syjonizmowi nie ma nic wspólnego z antysemityzmem.*

Na tym procesie został wyeksponowany jeszcze jeden znany nam motyw, mianowicie Żyd współpracujący z gestapo (co nie przeszkadza temu, że mógł on także być trockistą, słowackim nacionalistą, agentem izraelskim, jugosłowiańskim i w ogóle „międzynarodowym szpiegiem”):

*Na przykładzie oskarżonego Fischla – podkreśla prokurator – można się przekonać, czym jest syjonizm. Za okupacji współpracował on z hitlerowcami, po wyzwoleniu przechowywał gestapowców, uczestników akcji zniszczenia Lidic i Leżaków. Fischl, syjonista udający obrońcę interesów narodu żydowskiego, faktycznie był obrońcą tych, którzy mordowali Żydów, a ponadto sprzymierzeńcem neohitlerowców.*

Ledwie skończył się proces Slánskiego, w Moskwie wybuchła sprawa lekarzy kremlowskich, obwinionych o to, że zamierzali otruć Stalina. W sprawie trucicieli Stalin miał także obsesję – w prawie wszystkich inspirowanych przez niego procesach była mowa o truciznie, co zresztą nieodzowne w tej ponurej konwencji czarnych spisków. Tym razem połączono ze sobą oba fabularne wątki: wszyscy aresztowani lekarze byli bowiem Żydami, co skwapliwie zaznaczała prasa, jak zawsze przesądzająca ich zbrodnie z góry, jeszcze przed procesem – i poniekąd słusznie, skoro wiadomo było, jakiego werdyktu oczekiwać. Pisano o nich, także w Polsce, „mordercy w białych kitlach”.

Proces Slánskiego i sprawa lekarzy moskiewskich – to były dostatecznie jasne sygnały tego, co się szykuje. Ta akcja eksterminacyjna nie zdążyła się jednak dokonać, choć w ZSRR zdążyła się zacząć. Stalin umarł 5 marca 1953 r. Jednym z pierwszych aktów rządu Malenkowa było uwolnienie lekarzy.

Tak więc koncept i praktyka „walki ze syjonizmem” jest od początku pomysłem Stalina. W Polsce działały zapewne jakieś czynniki opóźniające: gdyby nie to, rok sześćdziesiąty ósmy rozegrałby się w pięćdziesiątym trzecim i miałyby wtedy bez wątpienia przebieg nieporównanie brutalniejszy. Nie można bowiem zapominać o tej różnicy: że do roku 1953 cykliczne kampanie zastraszania, terroru psychologicznego były akompaniamentem terroru fizycznego, godzącego w coraz to inne środowiska; wtedy słowa miały zapach krwi; kampanie późniejsze, nawet jeśli swym słownictwem, swym propagandowym wigorem niewiele pozostawały w tyle, były na ogół już tylko substytutami terroru. Co nie znaczy, że nie były groźne.

## II

Sądzę więc, że na historycznym tle akcja moczarowców z roku 1968 traci zaszczyt oryginalności. Również analizując jej metody, chwytów agresywne, insynuacje, frazeologię – nie umiem odnaleźć ani jednego oryginalnego, nowego, „twórczego” motywu czy tematu. Moczarowcy niczego nie wymyślili, dokonali tylko ostatecznej syntezy tych dwóch nurtów, które tu paroma zaledwie kreskami zarysowałem: reakcyjnego nurtu nacjonalistycznej i rasistowskiej prawicy z tradycją stalinowską. Stop osobliwy, wręcz, zdawałoby się, niemożliwy, jeśli zważyć, jak się obchodził stalinizm z polskim poczuciem narodowym, z historią narodową, a z drugiej strony, z jakim wstrętem odnosiła się prawica do ideologii socjalistycznej. A jednak od dłuższego już czasu rzeczy zmierzały w takim właśnie kierunku, a pierwszym, który docenił wartość takiej syntezy, był Bolesław Piasecki. I w końcu te dwa rodzaje wychowania, te dwa gatunki agresywności, te dwie frazeologie zbliżyły się do siebie tak bardzo, że w 1968 r. już prawie nie można było rozróżnić: kto jest nacjonalistą ONR-owskiego typu, który ze względów koniunkturalnych podaje się za komunistę, kto zaś jest komunistą, który ze względów koniunkturalnych udaje tylko szczerego narodowca i antysemitę.

A teraz pozostaje nam próba analizy tego stopu, a dokładniej – analizy chwytów stosowanych w prasowej kampanii nienawiści, w akcji psychologicznego terroru.

A więc jak się to robi?

We wszystkich podobnych kampaniach momentem kluczowym jest zawsze wytworzenie psychozy zagrożenia i podejrzliwości. Jest to łatwe w czasie wojny, kiedy jeden sygnał wystarczy do wywołania hysterii szpiegomanii i „piątej kolumny”; jest to łatwe w czasie poważnego kryzysu ekonomicznego, kiedy wszyscy szukają spersonalizowanych winowajców; jest to trudniejsze w okresach względnej pokojowej stabilizacji, jak w roku 1968. Ale próbować można i schemat jest zawsze ten sam: tajemne knowania i spiski ukrytych sił, dywersanci, sabotażyści, wichrzyciele, Żydzi, masoni..., przygotowania do zamachu stanu, demontażu ustroju, mordów politycznych, w ostatniej chwili pokrzyżowane. Niebezpieczeństwo niewyraźnie określone jest zawsze groźniejsze...

Rzeczą ważną jest wybór grupy, która ma być ogłoszona nosicielem owego niebezpieczeństwa. W żadnym razie nie może to być grupa albo organizacja silna, której zaatakowanie łączyłoby się z rzeczywistym ryzykiem odporu. Przeciwnie, musi to być grupa słaba, marginesowa, ale posiadająca takie cechy wyróżniające, które pozwolą rozegrać efekt odmienności, obcości i zarazem zasugerować słuchaczom–czytelnikom, że grupa ta ma niezwykle rozgałęzione stosunki, że jest tylko ujawnionym fragmentem czegoś wielkiego, ukrytego, jakiejś międzynarodówki. Wszyscy zawsze bardzo się boją międzynarodówek.

Innymi słowy, wróg ma być – jak się mówiło na procesach politycznych – „bezsilną garstką”, bo takie określenie jest hołdem dla Zwycięskiej Idei i dla Jedności Moralno–Politycznej. Ale ta bezsilna garstka, aby wzbudzić gniew ludu, musi zagrażać samym podstawom ładu społecznego i państwowego.

Zidentyfikowana tym sposobem grupa „komandosów” sama nie wystarczy, potrzebne jest jeszcze wydarzenie, które stanie się detonatorem akcji. Nie może to być znowu wydarzenie wielkie, ponieważ ma ono odgrywać jedynie rolę ujawnienia ukrytych dotąd „sił”. Ale nie może też być za małe, za błahe, skoro ma się je przedstawić jako zamach na bezpieczeństwo państwa lub na porządek społeczny, jako „spisek polityczny”. Musi to być wydarzenie w sam raz.

Jeżeli oczekiwane wydarzenie nie następuje samo, to trzeba mu pomóc. W tym celu najlepiej jest wmanewrować wytypowaną „wrogą” grupę w taką sytuację, w której musi ona coś przedsięwziąć. Można w tym celu na przykład aresztować, pobić albo wyrzucić ze studiów kilku jej członków. Jeżeli sprowokowana tym sposobem reakcja grupy i jej otoczenia społecznego jest za słaba lub zbyt zlokalizowana, to można ją rozszerzyć. Na przykład wypędzając studentów pałkami z dziedzińca uniwersyteckiego na ulice. Próba zamachu stanu jest bardziej wiarygodna, jeżeli studenci demonstrują na Nowym Świecie (zwłaszcza gdy daje im się podejść pod gmach KC), niż jeżeli urządzają skromny wiec za bramą uniwersytecką.

Równoległe przygotowuje się logistyczne zaplecze akcji. Jej centralę instruktażową i rozdzielnię. Materiały i teczki personalne, zwłaszcza wybrane z kartotek tajnej policji. Mobilizuje się swoich ludzi w kluczowych redakcjach, możliwie różnorodnych „światopoglądowo”.



Gdy to wszystko jest gotowe, spontaniczny gniew ludu może już wybuchnąć ze wszystkich szpałt.

Kampania nienawiści musi być ogłuszająca, zmasowana, działać jak szok zarówno na obwinionych, jak na masy. Teza tej kampanii wcale nie musi być przekonywająca w porządku racjonalnym, w odniesieniu do rzeczywistości empirycznej – nie to jest jej siłą. Język zwielokrotniony przez wszystkie głośniki musi stworzyć rzeczywistość własną, która z empirią będzie miała wspólne tylko niektóre punkty orientacyjne, nazwiska i daty. Ta sieć językowa musi być tak gęsta i tak szczelna, aby prawie nie można było jej się wymknąć: język musi stać się narzędziem terroru. Nagle wszyscy dookoła, przynajmniej wszyscy publicznie – wszyscy sekretarze, wszyscy dziennikarze, posłowie, wreszcie i przechodnie – zaczynają mówić tym językiem, używać tych przed chwilą zaledwie narzuconych kategorii typologicznych, nazw, zbitek, fraz, epitetów, powtarzanych w tej samej formie tysiące razy. Tym językiem nasiąkają nawet ci, którzy się bronią, którzy się opierają, walczą, są celem ataku. Tak strajkujący studenci Politechniki Warszawskiej obok „prasa kłamie” oznajmiają, że „odcinają się od antysemityzmu i od syjonizmu”. Ci biedni studenci, którzy jeszcze parę dni wcześniej nie znali w ogóle tego słowa, nie znają jego znaczenia nadal, ale już są zanurzeni w tej nowej semantyce i wiedzą, że muszą się odciąć od „syjonizmu” niczym od stryczka, na którym ktoś chciałby ich powiesić.

Kampania nienawiści nie odwołuje się do naszych władz poznawczych, lecz do tych mrocznych miejsc naszej psychiki, w których czają się lęki i resentymenty. Któż w końcu z nas nie ma jakichś swoich „obcych”, jakichś swoich Żydów, Niemców, Ormian czy Cyganów, których nie lubi, których kiedyś nauczył się bać albo którymi gardzi? Któż z nas nie podejrzewa od czasu do czasu, że za jego niepowodzenia życiowe odpowiedzialni są jacyś „oni”, którzy mu zablokowali awans, rozwój zdolności? Tylko że w normalnym jasnym dniu te fobie, uprzedzenia, racjonalizacje kontrolujemy za pomocą krytycznego rozumu i trochę się ich wstydzimy. Kampania nienawiści blokuje hamulce krytycyzmu i wstydu i pozwala nam wszystkie nasze ciemne podejrzenia i antypatie odreagować do końca. Jest to wielka sprawa: teraz już nawet najtępszy adiunkt będzie przekonany, że nie został dotąd akademikiem, po-

nieważ zagroziła mu drogę, monopolizując dla siebie wszystkie zaszczyty i stanowiska, klika Kołakowskiego i Baczki.

Modelowanie wizerunku wroga, jego portretu zbiorowego, jest głównym zadaniem reżyserów tego spektaklu: w tym przede wszystkim sprawdza się ich talent. Słuchacz i widz w tym politycznym teatrze musi zostać przekonany, że wszystko, co dotychczas widział i słyszał, było tylko pozorem. Wróg zmienia maski! Dopiero teraz nastąpi zderzenie masek, zderzenie szat, wielkie „rozobłoczenie”, obnażenie prawdy. I wtedy się okaże, że wszystko jest inaczej, niż się Państwu zdaje.

Ruch studencki jest manipulowany przez wichrzycieli, którzy skrywają prawdziwe swoje cele. Wichrzycielom nie chodzi bowiem o wolność kultury, lecz o to, żeby Zambrowski wrócił do Biura Politycznego. Wichrzyciele są manipulowani przez bankrutów politycznych, którzy chcą się odegrać i wrócić do władzy. Bankruci są manipulowani przez międzynarodowy spisek syjonistyczny. Syjonizm manipulowany jest przez imperializm i rewizjonizm niemiecki, albo odwrotnie. Każdy jest manipulowany przez kogoś. Nic się nie dzieje z własnej myśli, z własnego popędu. Za każdym inspiratorem stoi inny, groźniejszy inspirator, który pociąga za sznurki. I tak cały świat okazuje się wielkim teatrem marionetek.

Ten materializm detektywistyczny już w czasach Stalina stał się obowiązującą wersją marksizmu, teorią procesu historycznego. I to się utrzymuje do dziś. To jest deformacja światopoglądu, deformacja zawodowa. Agent widzi w polityce tylko agentów – i głupi, naiwny tłum.

Gdy chodzi o przeciwnika, a raczej o ofiary kampanii nienawiści, to w obciążaniu ich najmniejsze znaczenie ma to, co ci „wichrzyciele” w danym momencie mówią i co czynią. Wiadomo przecież, że „naprawdę” chodzi im o coś zupełnie innego, a policyjny dziennikarz zna ich dusze na wylot i zawsze wie, o co im chodzi, do czego zmierzają.

Winę jednostki udowadnia się nie przez kwalifikację jej rzeczywistych czynów i słów, lecz przez przypisanie osoby. Przypisanie jest bardzo ważną techniką perswazyjną. Polega ona na tym, że policyjno-prasowy ekspert przypisuje cię do tej lub innej narodowości, wyznania, koterii politycznej. Może to uczynić na podstawie brzmienia nazwiska albo na podstawie przynależności

twojego stryjecznego dziadka. A także na podstawie czegoś, co można by nazwać świadectwem zakażenia.

Różni publicyści w roku 1968 pisali o jakimś tajemniczym „stoliku w kawiarni”, przy którym leży się straszne plany politycznych spisków. Chodziło o stolik w małej kawiarence PIW-u przy ul. Foksal. Przy tym stoliku siadywał niekiedy były sekretarz KC PZPR Stanisław Staszewski, szczególnie znienawidzony przez moczarowców; przychodził tam także Antoni Słonimski i przysiadł się czasem student Adam Michnik. Czy to nie wystarcza za dowód, że przy tym stoliku „bankrut polityczny” instruował wicherzycieli? To przez ten stolik „komandosi” zarazili się od strąconych w otchłań polityków, dyszących jakoby żądzą powrotu do władzy. „Zarazili się” – i zostali przypisani.

Stosując tak finezyjną technikę przypisania, można dość swobodnie konstruować rodowody polityczne i ideowe. Własne i cudze. Można dojść do tego, że Słonimski jest wyzutym z narodowego poczucia kosmopolitą, Gontarz zaś uosabia czysty nurt polskiego patriotyzmu. Można dojść do tego, że młodzi ludzie, którzy zbuntowali się przeciwko kłamstwu i konformizmowi, ludzie urodzeni po 1945 roku, są spadkobiercami tradycji byłego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, natomiast nie jest jej spadkobiercą generał, który był prominentem tego resortu, ani też jego kapitanowie.

Dochodziło tu i dochodzi nadal do osobliwego rozdwojenia historycznej jaźni: albowiem ta tradycja b. Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i w ogóle stalinowskiego komunizmu okazuje się jednocześnie dobra i zła. Z dwóch ludzi władzy, którzy – o ile wiadomo – najściślej w tamtych latach ze sobą współpracowali, Berman jest zły, ale Bierut dobry. Różański jest najgorszy, ale jego szef Radkiewicz w ogóle wyparował. Od roku 1968 ukazało się wiele pamiętników funkcjonariuszy UB zasłużonych w bojach o Polskę Ludową, a jednocześnie resort ten, jego personel i cele przedstawia się – i nie bez racji – w najciemniejszych barwach, choć możliwie mało dokładnie i kompletnie. Kryterium tych rozróżnień między dobrymi i złymi lub między pamiętanymi a przemilczanymi jest przeważnie kryterium rasowym.

Te operacje na politycznych rodowodach, operacje, którym sprzyja zupełna nieznajomość dziejów najnowszych kraju, są od samego początku,

to jest od roku 1944, niesłychanie ważnym elementem każdej kampanii nienawiści. W ten sposób można swobodnie przemianowywać kolaborantów na patriotów, a żołnierzy Polski Walczącej na kolaborantów, socjalistów na reaccionistów, komunistów na syjonistów, liberałów na stalinowców, ideowców na agentów, a agentów na ideowców.

Jeszcze jedną technikę propagandową chciałbym tu wspomnieć: technikę, którą nazywam wywoływaniem echa. Wszczęcie prasowej kampanii antysemitkiej wywołało, jak można było przewidzieć, niezycliwe reakcje prasy zachodniej. Nasi korespondenci mieli polecenie skrupulatnego nadsyłania tych krytycznych komentarzy, które z kolei wykorzystywane były tutaj dla podbudowania tezy o „szkalowaniu Polski” – oczywiście przez światowy syjonizm i jego, niemieckich zwłaszcza, sprzymierzeńców. Powstawał w ten sposób zamknięty obwód: im gorzej o naszym kraju pisano za granicą, tym bardziej podniecało to sprawców złej opinii do tego, żeby zepsuć ją jeszcze bardziej. Zdawało się, że czerpią z tego proceduru jakąś szczególną uciechę. Myślę, że poza zimną kalkulacją działał tu psychologiczny mechanizm projekcji: jak wiadomo, ludzie, którzy irracjonalnie nienawidzą kogoś lub czegoś, chętnie odwracają kierunek emocji. Utwierdzają się w przekonaniu, że to oni właśnie są nienawidzeni i w ten sposób usprawiedliwiają własną furię albo cynizm.

Przedstawiłem tylko niektóre, najbardziej, jak sądzę, podstawowe chwytły tej i innych akcji podżegania. Andrzej Drawicz uzupełni ten rejestr i dołączy dokumentację.

Ja na koniec pragnę zastanowić się nad pytaniem, w jakiej mierze ta kampania '68 roku była skuteczna. Nie chodzi mi tu o jej skuteczność z punktu widzenia politycznych czy kadrowych celów sztabu akcji, lecz o to, jakie były efekty kampanii w świadomości zbiorowej narodu.

Brak badań pozwala w tej mierze tylko na pewne hipotezy.

1. A więc wydaje się, że jej efekt, mierzony aktywizacją agresywności ludzkiej, był mniejszy, niż oczekiwano. W tej rozgrzanej atmosferze nad podziw mało było spontanicznych aktów agresji przeciw studentom, krnąbrnym literatom, emigrantom czy „syjonistom”, znacznie chyba mniej niż wyrazów sympatii, solidarności, współczucia.

2. Sądzę, że poważniejszy był efekt dezintegrujący. Znaczna część społeczeństwa, także inteligencji, nie przyjmując też kampanii dosłownie, uznała jednak, że to, co się dzieje, jest po prostu dalszym ciągiem walki o władzę między różnymi frakcjami i niczym więcej – najlepiej więc trzymać się od tego z daleka. Gdy wymiana informacji jest totalnie zaburzona, nieufność względem treści przekazów nie ratuje sprawy: łączności jak nie było, tak nie ma. W roku 1968 powszechna była postawa nieufności wobec wszystkich słów i hasel, skądkolwiek płynęły. Raz jeszcze, nie ostatni, przyszło społeczeństwu płacić koszty jego segmentacji, jego rozczłonkowania. Koszty te wzrosły straszliwie w grudniu 1970 r.

3. Do dziś w codziennych rozmowach Polaków łatwo wykryć ślady tych deformacji intelektualnych, jakie pozostawiła operacja marcowa. To przecież właśnie wtedy ugruntował się pogląd, na który pracowały zresztą całe dzieje PRL-u, że świat polityki jest światem totalnej manipulacji i prowokacji, światem, w którym nikt nie jest sobą i nikt nie jest wiarygodny. To przecież z tej zgeneralizowanej podejrzliwości, która wcale nie jest lepsza niż naiwność, bierze się rola plotki w naszym obiegu informacji. Plotka, nawet najbardziej absurdalna, zdaje się wiarygodna, ponieważ z natury swojej odsłania to, co ukryte, co tajne. Autorytet obiegowej pogłoski jest świadectwem schorzenia świadomości społecznej.

4. Najbardziej niewymierne są koszty psychiczne, które płacą także, a może przede wszystkim, reżyserzy i uczestnicy akcji. By ująć rzecz drastycznie: chińscy hunwejbini, których uczono pluć w twarz swoim profesorom i znęcać się nad nimi na placach publicznych, irańscy fanatycy, którzy urządzali spektakle nienawiści przed ambasadą amerykańską, przez wiele lat nie będą ludźmi o normalnych odruchach i reakcjach.

U nas nie doszło chyba nigdy do takich wynaturzeń, choć były momenty, kiedy nie było do nich daleko. Historia szczucia w PRL-u w każdym razie nie jest uboga. Periodycznie reżyserowane kampanie zatruwają nasze środowisko moralne i intelektualne, ustanawiając najgorsze standardy antykultury politycznej i obyczajowej. Kampanie te, jakikolwiek jest ich adresat, usiłują zaktywizować w nas to, co mamy w sobie najbardziej nędznego: nasze zawiści, pogardę, strach, przesady, okrucieństwo – i legitymizują to zło, zwalniając

nas z blokującego wstydu, a nawet nagradzając akty podłości. Nie lekceważmy tego treningu, może on jeszcze wydać swoje owoce.

Szczęściem mamy i inne doświadczenia. Mamy za sobą i zapewne przed sobą przeżycia i sytuacje, które w nas, tych samych, aktywizowały i wyzwalały wzajemną ufność, otwieranie się w przyjaźni ku obcym nawet ludziom, łagodność i męstwo. Myślę o dniach wizyty papieża, myślę o dniach sierpniowych, myślę o jutrze, jakie będzie.

1 Emil Zola. *Oskarżam PIW*, Warszawa, s. 43–44 (przeł. Z. Bieńkowski).

2 Podaję za Michałem Borowiczem *Organizowanie wściekłości*, wydanie Ogólnopolskiej Ligi do Walki z Rasizmem, Warszawa 1947, s. 7–8. Tytułem tej znakomitej książeczki inspirowałem się szukając tytułu dla niniejszego referatu.

3 A. Wyszyński *Przemówienie sądowe*, KiW Warszawa 1953, s. 457, 499 (przeł. E. Kuszeko).

4 *Przeciw szpiegom i dywersantom. Przemówienie Naczelnego Prokuratora Wojska Polskiego, płk. S. Zarakowskiego na procesie członków organizacji dywersyjno-szpiegowskiej w Wojsku Polskim*, KiW, Warszawa 1951, s. 3, 25.

5 Henryk Werner *Relacje z procesu*, w: *Szpiegzy i dywersanci bez maski. Titowski spisek Rajka przed sądem w Budapeszcie*, wyd. „Prasa Wojskowa” (1949), s. 36.

6 *Proces antypaństwowego ośrodka spiskowego w Czechosłowacji*, KiW, Warszawa 1953, s. 12, 13.

7 Tamże, s. 8–9.

8 Tamże, s. 51

■ **Jerzy Jedlicki** (ur. 1930), badacz dziejów społecznych i historyk idei, profesor w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk, od 1977 był jednym z wykładowców Uniwersytetu Łatającego, w 1978 współzałożycielem Towarzystwa Kursów Naukowych i członkiem jego Komisji Programowej, redaktorem książkowej serii „Idee”; w stanie wojennym internowany, następnie współpracował z prasą podziemną. Autor m.in. książek *Klejnot i bariery społeczne* (1968), *Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują* (1988), *Źle urodzeni, czyli o doświadczeniu historycznym* (1993), *Świat zwyrodniał* (2000) oraz publicystyki społeczno-kulturalnej. Przewodniczący Rady Programowej Stowarzyszenia „Otwarta Rzeczpospolita”.

## Andrzej Drawicz

### Marzec w prasie PRL

Szanowni Państwo, podejmuję wątek, któremu Jerzy Jedlicki dał tak solidne zaplecze historyczne: będę starał się poprowadzić go dalej. Chętni znajdą na stole materiał dowodowy, który nie będzie mógł z przyczyn technicznych być cytowany w zbyt wielkich dawkach. Są to marcowe publikacje podzielone na odpowiednie działy. Rzecz jasna, to zaledwie część tego, co się ukazało: koło setki. Komu wola, ten zechce w przerwie rzucić na te zabytki okiem; proszę się jednak z nimi obchodzić ostrożnie, by mogły służyć następnym pokoleniom.

Natychmiast po uniwersyteckim wiecu, który odbył się 8 marca 1968 r., zaczęła się kampania prasowa, zorganizowana według najlepszych – przedstawionych przez mojego przedmówcę – wzorów, ale na naszym gruncie bezprecedensowa w swoim natężeniu, napastliwości i zakresie mobilizacji uczestników. Rozpoczęły ją 11 marca „Słowo Powszechne” i „Trybuna Ludu”: w tym pierwszym organie po raz pierwszy pojawili się „syjoniści”. W kampanii, prócz wymienionych pism, wyróżniły się szczególnie gorliwością „Prawo i Życie”, „Walka Młodych”, „Żołnierz Wolności”, „Kierunki”, „Kultura”, a także dziennik telewizyjny. Nota bene: zajmować się będę przede wszystkim materiałami prasowymi, ponieważ *scripta manent*, a materiały radiowo-telewizyjne są substancją ulotną; jednakże trudno nie podkreślić zupełnie szczególnej zasługi dziennika telewizyjnego, który z wyczuwalną sadystyczną rozkoszą oddawał się marcowej propagandzie. Kto go wówczas widział, ten go z pewnością pamięta. Wśród najbardziej zasłużonych ludzi marcowego pióra wymienimy panów: Gontarza, Kąkola, Kura, Andruszkiewicza, Kolczyńskiego, Mysłka, Sidora, Ozgę-Michalskiego, Gaworskiego, Machejka, Janusza Wilhelmiego, Ignacego Krasickiego, a także Annę Wysznaćką i Alinę Reutt. Część

podpisywała się pseudonimami. Apogeum ich wystąpień przypada na sam marzec i kwiecień, następnie kampania słabnie, aby w ciągu lata nabrać cech stabilnej permanencji: podstawowe marcowe założenia wchodzą wówczas na trwałe do propagandy PRL-owskiej i – jak świadczą chociażby niektóre artykuły okolicznościowe z ostatnich dni – okazują się długowieczne.

## Przeciwnicy

Celem ataków była przede wszystkim młodzież akademicka, w szczególności jej część aktywna, którą określano różnymi epitetami („pewna, dość jednorodna grupa studentów”, „grupa awanturników z UW”, „bananowe jabłka”, „dalecy od trosk przeciętnego studenta”), a która miała pociągać za sobą „omamione” i „wprowadzone w błąd” szersze masy. Sugerowano tu dywersyjno-agenturalną działalność agend syjonistycznych oraz deprawującą ideologicznie rolę części profesury. Następnym obiektem ataków była część środowiska literackiego; przede wszystkim w związku z nadzwyczajnym zebraniem Oddziału Warszawskiego ZLP w dniu 29 lutego i uchwaloną tam rezolucją w sprawie *Dziadów*. Dalej – grupa poselska „Znak”, która złożyła interpelację w związku z brutalnymi wystąpieniami milicji przeciw studentom; rozpętano wówczas prawdziwy sabat czarownic, atakując posłów „Znaku” w Sejmie. Atakowano także inne środowiska, zwłaszcza naukowe i wydawnicze (słynny skandal rozpętany wokół Wielkiej Encyklopedii Powszechnej). Szczególnym upodobaniem agresorów cieszyło się środowisko filmowe, a to z racji łatwych możliwości demaskatorskich – w filmie zawsze jest sporo grzechów – i skupienia dźwięcznie brzmiących żydowskich nazwisk.

Obiektami kampanii stali się również zagraniczni „inspiratorzy brutalnych napaści antypolskich”, w związku z czym sugerowano m.in., że wielu z nich ma na sumieniu mordowanie rodaków-Żydów w czasie wojny, i stworzono sugestywny wizerunek Żydów wyniszczających się nawzajem przy życzliwym poparciu Niemców. Pomieszano tu dokładnie przyczyny i skutki, czyniąc elementem antysemickiej hecy to, co było zagraniczną – istotnie, czasami zaciętrzewioną i pełną pochopnych uogólnień – reakcją na tę hecę.



Od samego początku wspólnym obiektem kampanii – poza kilkoma wybranymi środowiskami – stali się „syjoniści”. W praktyce byli oni natychmiast utożsamiani z szeroką rzeszą posiadaczy nazwisk o brzmieniu żydowskim, mimo że teoretycznie ci pierwsi mieli stanowić tylko niewielką grupę tych drugich. Histeria antysemicka przybierała formy niekiedy prawdziwie kuriozalne. Oto np. z okazji wyboru Mariana Spychalskiego na stanowisko Przewodniczącego Rady Państwa zamieszczono w prasie jego bezprecedensowo drobiazgowy życiorys, informujący m.in. o nazwisku panięńskim matki, pochodzeniu społecznym dziadka, miejscu urodzenia i nazwisku panięńskim żony. Wszystko po to, by pośrednio zdementować bardzo intensywnie, skądinąd półoficjalnie rozpuszczane i sterowane plotki, według których eksminister obrony narodowej i jego żona mieli być Żydami, wskutek czego sekrety naszej obronności trafiały bez przeszkód w łapy Dajana i były wykorzystywane do gromienia Arabów. Zgódźmy się, że w tym haniebnym okresie, w tej właśnie, z pozoru niewinnej i pozbawionej emocji notatce odkryć można samo dno, na które władza ściągała Polaków.

Wartości brzmieniowe nazwisk ogrywano na każdym kroku, nie dopowiadając do końca o co chodzi, a nawet raz po raz zastrzegając się obłudnie, że „syjoniści” to nie „uczciwi obywatele pochodzenia żydowskiego”. Chodziło jednak o wytworzenie właściwej aury i odwołanie się do określonych skojarzeń. W tym celu sięgano szeroko również w pozapolskie obszary. Anna Wyszacka pytała np. w „Walce Młodych” nader wymownie: *Dlaczego akurat Forman, Passer, Menzel mają u nas najlepsze recenzje, dlaczego ich filmy są w pierwszej kolejności sprowadzane?* („Walka Młodych” nr 15/1968). Filozof dr Jan Szewczyk skarżył się na łamach „Gazety Krakowskiej”, że *dzieła Marksa ustępują na seminariach miejsce tekstom takim „klasyków” mieszczańskich jak Gruenberg, Nagel, Mehlberg, Cohen czy Reichenbach* (cyt. wg „Trybuny Ludu”, 21.05.1968). Lucjusz Włodkowski w łódzkim „Głosie Robotniczym” donosił o skandalach dziejących w Szkole Filmowej, ulubionym zresztą obiekcie ataków: *„Judaika” Etlera oceniona jako dokument o martwej religii i hołd złożony pomordowanemu Żydom. Okazało się, że religia ta nie jest martwa, a w czasie kręcenia zdjęć Edward Etlar zrealizował również scenę mówiącą o bezczeszczaniu cmentarza żydowskiego przez polskich chłopców. Kadry te nie weszły do*

*filmu, tym niemniej są dokumentem zamierzeń ich autora* (cyt. wg „Trybuna Ludu”, 30.05.1968). Oskarżenie przeciwko reżyserowi oparte na materiałach roboczych i niewyświetlonych wspiera się tu, jak widzimy harmonijnie załem, że „religia nie jest martwa”...

Łatwym manipulacjom pojęciem „syjonistów” sprzyjał fakt, że różni rewelatorzy syjonistycznego zagrożenia różnie określali jego rozmiar. Określenia celowo były nieprecyzyjne, ale tym bardziej znaczące. Na słynnym wiecu w Sali Kongresowej 19 marca Władysław Gomułka dwukrotnie z wyraźną premedytacją mówił, skromnie, o „określonej liczbie” – co nota bene wywołało gromkie niezadowolenie odpowiednio dobranej przez Komitet Warszawski sali, żądającej słów ostrzejszych. Toteż logicznie pierwszy sekretarz tego komitetu, Józef Kępa, poszedł dalej, stwierdzając w miesiąc później na spotkaniu stołecznego aktywu partyjnego, iż *wśród inicjatorów i organizatorów ostatnich zająć, zarówno w środowisku literackim, jak i w środowisku wyższych uczelni, przysgniatająca większość to obywatele polscy pochodzenia żydowskiego* („Trybuna Ludu”, 19.04.1968). A oto, dla porównania, fragment innej wypowiedzi: *Znaczna część obywateli polskich pochodzenia żydowskiego, w tym wielu członków i działaczy PZPR, zajęła odmienne od partii i rządu stanowisko, solidaryzując się z państwem Izrael. Znaczna większość ich opuściła potem kraj, a wielu powiązało się z antypolskimi ośrodkami na Zachodzie. W tej grupie obywateli i członków partii b y l i t a k ż e j e d n a k l u d z i e* [podkr. moje – AD], *którzy zdecydowanie przeciwstawili się nacjonalistyczno-syjonistycznym postawom...* (Bronisław Syzdek *Nie wykorzystane możliwości*, „Trybuna Ludu”, 14–15.03.1981). Ta ostatnia wypowiedź wyjątkowo pochodzi sprzed paru dni i unaocznia zarówno eskalację marcowej agresywności (następuje, w porównaniu z Gomułką, dokładne odwrócenie kategorii), jak i jej trwałość i żywotność w chwili obecnej.

Kategoria „syjonistów” została więc, z premedytacją i na zimno, uznana za szczególnie użyteczną z punktu widzenia grupy, która – we władzach i aparacie policyjnym – Marzec przygotowała. Pozwoliło to na szerokie działania organizacyjno–praktyczne, które tylko częściowo, w znacznie złagodzonej i opatrzonej obłudnymi frazesami wersji, trafiały na łamy prasy. Hałaśliwa zajadłość tej prasy jest więc i tak raczej aluzją do tego, co mówiono

na zebraniach zamkniętych i w instrukcjach dla aktywu, co wykrzykiwano na zebraniach poświęconych demaskowaniu i usuwaniu „syjonistów” w różnych instytucjach i co działo się poza tymi zebraniem w czasie ulicznych polowań milicji na studentów, nie mówiąc już np. o pobiciu Stefana Kisielewskiego przez, oczywiście, „nieznanych sprawców”. Wykorzystywano każdy pretekst lub, jeśli to było potrzebne, stwarzano go; stosowano powszechnie systemy różnorodnego szantażu, by zmuszać ludzi do opuszczenia kraju; w rozmowach z przedstawicielami policji lub służby bezpieczeństwa żądania wyjazdu formułowane były bez osłonek. Stworzono też na użytek wewnętrzny pojemną kategorię „kryptosyjonistów”, czyli ludzi pozbawionych wprawdzie wyróżników rasowych, ale bliskich duchowo „syjonistom” właściwym.

Po to więc, by mieć o Marcu bodaj przybliżone pojęcie, nie wystarczy czytać marcową prasę – trzeba umieć wyobrazić sobie rzeczywistość, którą ta prasa kamuflowała.

## Argumentacja

Oficjalna wizja wydarzeń marcowych w prasie jest wizją spisku, uknu- tego przez międzynarodowe siły reakcyjno-syjonistyczne, które uruchomi- ły w Polsce swych agentów, ci zaś z kolei, knując i spiskując, sprowadzili na złą drogę naiwną młodzież studencką. Proweniencję samych agentów kreślono z rozmachem, szeroko, pasując na nich, kogo się dało, i pisząc np. o *krystalizacji sojuszu między polskimi syjonistami, resztówkami reakcji, rewizjonistami i bezojczyźnianymi intelektualistami* (Józef Barecki *Przeciw Polsce*, „Kamena” 1968 nr 12), a także o „mieszaniu”, w której dominowały z *isście hunweybinowskim zaciętrzewieniem podawane dogmaty okresu stalinowskiego, zaprawione specyficznie spoetyzowanym liberalizmem, z dodatkiem liberalnego utopizmu* (artykuł redakcyjny *Nasze zdanie w naszej sprawie*, „Kultura” 1968 nr 12). Otwarto więc szeroko worek i pakowano do niego wszystkich, nie dbając o logikę, a następnie potrząsano nim z lubością. W obiegu były również „argumenty” spod znaku demagogicznego populizmu, starające się nadać kampanii marcowej charakter rzekomo „plebejski”, co przypominało do złudzenia chwyt propagandy hitlerowskiej, kreślącej wizję wysysającej

pot i krew ludów plutokratycznej żydowskiej międzynarodówki. Wywijano także ochoczo demagogicznie spreparowanymi faktami stalinowskiej przeszłości niektórych zaatakowanych w Marcu osób. Zaplecze tego zabiegu było już wielokrotnie wyjaśniane; powołałam się na ogłoszony niedawno jako oficjalny dokument NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze znakomity list Wiktora Kulerskiego, który tę właśnie sprawę podnosi.

Tu dodać trzeba, że trafnie mówił kiedyś Krzysztof Wolicki, iż zakłamanie, które pozwoliło na manipulację typu pars pro toto i obciążenie zbrodniami stalinowskimi wybranej grupki ludzi o żydowsko brzmiących nazwiskach, możliwe było w szczególnych warunkach braku pełnego rozrachunku z przeszłością i ustalenia, kto jest za co odpowiedzialny.

Wszystkie te zabiegi planowane były z pewnością z punktu widzenia ich efektywności. Okazała się ona niemała, ponieważ formuły były chwytliwe i znajdowały rezonans. Władza była nielubiana w ogóle, ci więc, którzy dojrżeli w Marcu wyłącznie porachunki osobiste na władzy tej szczytach, przyglądali się widowisku z cichą satysfakcją, podszytą przekonaniem, że jedni z władców są warci innych, a więc o żadnej krzywdzie w ogóle nie ma mowy. Szczególnie nienawidzono aparatu bezpieczeństwa, gardzono też szczerze wykonawcami stalinowskich represji; wobec tego wysunięcie przez propagandę na plan pierwszy ludzi o takiej właśnie (czasem odpowiednio podkoloryzowanej) proveniencji również dawało pożądany rezultat. Skutecznie działały też argumenty o przywilejach, beneficjach i wszelkiego typu korzyściach materialnych, przenoszonych z pokolenia na pokolenie. Tak mobilizowano emocje dla właściwych i niewyeksponowanych propagandowo celów.

### Taktyczne i strategiczne założenia organizatorów Marca

W istocie cele te wydają się z perspektywy czasu dwojakiej natury.

Celem strategicznym, realizowanym przez różne wcielenia naszej powojennej władzy z mniejszym lub większym natężeniem, była zawsze totalitaryzacja polskiego społeczeństwa. Wydarzenia marcowe są przykładem intensyfikacji działań zmierzających w tym kierunku i mających ograniczyć – i tak już ograniczony – obszar duchowych swobód społeczeństwa. Nie po

raz pierwszy i nie po raz ostatni. Nowe, zdecydowane natarcie przyniesie np. akcja w sprawie zmian w Konstytucji na przełomie lat 1975/76, nie licząc działań nieustających.

Celem taktycznym było niewątpliwie przejęcie władzy przez określoną grupę, pseudonimowaną jako „partyzancka”. Zamierzenie to było prawie nieukrywane i bodaj niewiele już do tego brakowało. Wmieszały się jednak wypadki czechosłowackie z lata 1968, które wzmocniły pozycję Gomułki. Widać było od początku dobre przygotowanie i takąż organizację; atakowano w zwartych szeregach, na całym froncie jednocześnie, przy huraganowym ogniu haseł tak jednobrzmiących, iż nie mogły być zawczasu nieuzgodnione.

Cechy dobrej organizacji miała też lawina „głosów z terenu”: rezolucji, uchwał, listów do redakcji, wystąpień na bezdyskusyjnych „dyskusjach” itp. Łamy gazet i czasopism były niemal od początku, prócz wystąpień marcowych prominentów, wypełnione tymi protestami, żądaniem, poparciami etc., symulującymi „gniew ludu” – znowu według najlepszych hitlerowsko-stalinowskich wzorów. Presumpcja bodaj najbardziej ograniczonej dobrej woli organizatorów jest wykluczona przez prosty fakt, że nigdy i nigdzie nie dano zaatakowanym żadnej możliwości zabrania głosu. Nie chodziło zatem o wyjaśnienie czegokolwiek, wszystko było wiadome i „jasne” z góry.

### Motywy i stopnie zaangażowań

Trzeba oddać sprawiedliwość: nie cała prasa polska włączyła się do marcowej kampanii z jednakową siłą. Wymieniłem już organy najbardziej zaangażowane i zasłużone. Na ich i nie tylko na ich łamach śledzono czujnie reakcje pozostałych periodyków, a także pojedynczych osób, i ostro przywoływano do porządku opieszalszych oraz ideologicznie nie dość prawowiernych. Oczywiście, załatwiano przy tej okazji szereg prywatnych porachunków, dorabiając do nich motywacje typu „ideolo”. „Walka Młodych” nie darowała nawet takiemu gigantowi prasy, jak czasopismo „Rozrywka”, za niesłuszne politycznie krzyżówki czy rebusy. Witold Filler doniósł o złej linii miesięcznika „Dialog”, czemu trudno się dziwić, skoro redaktor naczelny pisma, Adam Tarn, nazywał się i wyglądał jak należy. Podobnie było z redaktorem naczelnym

nym „Szpilek” K.T. Toeplitzem, którego stryj obrywał jednocześnie ciągi za rektorstwo w PWSF; toteż oburzano się na brak w tym piśmie właściwych, a obecność niewłaściwych dowcipów. Poważną kampanię rozpetano przeciw „Polityce”. Pismo to – celujące w nader wyrafinowanym koniunkturalizmie, który potrafi zawsze wykorzystać górny pułap otwierających się na danym etapie możliwości i nie posunąć się ani o pół kroku poza to, co bezpieczne – w Marcu zdystansowało się od kampanii. Wykonało wprawdzie pewne rutynowe zabiegi osłaniające typu np. artykułu o faszyzmie w Izraelu, ale nie zmyliło to czujności naganiaczy. Znalazła się też „Polityka” w niezłych opalach i musiała zwiajać się jak w ukropie, by wyjść obronną ręką.

Zasmucające były fakty, które można umownie określić jako „zdradę klerków”. Pewna liczba nader oświeconych publicystów, reprezentujących dotąd postawy liberalne i racjonalistyczne, uznała za możliwe – zapewne głównie w celach samoobrony – przystosować się do kampanii, oswoić ją i wykazać, że ma ona racjonalne jądro. Tak postępowali np. wspomniany już K.T. Toeplitz czy Hamilton i muszą przyznać, że te kręactwa wyrafinowanych intelektualistów wydają mi się o wiele bardziej obrzydliwe niż jazgot najemnych janczarów od mokrej publicystycznej roboty. Ze smutkiem myślę także o tym, że pewna liczba uczonych, pisarzy i ludzi, którzy mieli zapisaną piękną kartę w latach wojny, dała się mniej lub bardziej świadomie zwabić policyjnie podrobionymi hasłami „patriotyzmu” lub uznała okres marcowy za właściwy moment dla dochodzenia swoich krzywd, pozwalając suflować sobie odpowiednio dobranych winowajców. Ludzi tych nie było zbyt wielu, ale niestety byli. Ci, którzy robili to, co robili, li tylko z cynizmu albo głupoty, rodzącej konsekwentnie *Głupie sprawy*, niewarci są nawet wzmianki.

### Język marcowy

Język marcowy, sub specie jego swoistej leksyki i frazeologii oraz techniki argumentacyjnej, zasługuje na bardzo gruntowne zbadanie. Częściowo dokonały tego prace Anny Chmielewskiej i Jana Nowickiego. Dla lepszego zrozumienia, o co chodzi, dobrze jest mieć też bodaj elementarne zaplecze wiedzy o języku systemów totalitarnych. Widzi się wówczas wyraźniej

charakterystyczne cechy, opisane m.in. w TKN-owskim zeszycie *Język propagandy* (NOWA, Warszawa 1979). Występuje w nim jednoznaczność ocen ferowanych przy podwyższonej temperaturze emocjonalnej, w zmasowanych atakach inwektyw i retoryki pamfletowej – a jednocześnie tzw. luźna semantyka, t.j. niejasność i nieokreśloność znaczeń, którymi można manipulować wedle woli propagandzistów. Precyzyjnie demonstruje to szkic Nowickiego:

*Co właściwie robią inspiratorzy? Inspirują i nakłaniają. Ale tego nawet nie musi być widać. Masy studenckie były nieświadome tego, kto właściwie je inspirował, a cóż dopiero tego, jak się to odbywało. Często używa się rzeczowników odsłownych. Rzeczowniki te obrazują jakieś działanie się, trudno jednak powiedzieć, na czym ono właściwie polega. Co się zmienia w świecie, gdy zachodzi inspirowanie, popieranie, stanie za, występowanie przeciw, wicherzenie, mączenie, jątrzenie, rozrabianie, deptanie trudu, sprzeniewierzenie się lub odcinanie się? Na czym polegają knowania? Przeciwnicy knują, ale wcale nie jest łatwo powiedzieć, jakie działania fizyczne odpowiadają temu czasownikowi [...] Na ogół jest tak, że nie wiadomo, jakie podmioty wykonują, nie wiadomo, jakie czynności (J. Nowicki *Mówi Warszawa...*, „Kultura”, Paryż 1972, nr 9–10, s. 17.).*

Charakterystyczne: przy daleko idącej unifikacji słownictwa (cytowany Nowicki podaje cały katalog sformułowań, z których większość ustawnie się powtarza) ceniono jednak tych, którzy mieli do powiedzenia to samo słowami odbiegającymi od szablonu i nadawali w ten sposób stereotypom propagandowym znamię czegoś indywidualnie, głęboko przeżytego, „własnego”. Wybitnym specjalistą takiego języka, rodzajem socjalistycznego księdza Baki, jest, jak wiadomo Władysław Machejek, autor szczególnie śmiałych określeń typu: *Łamać bariery rzucone przez reakcyjno-syjonistyczne tuby propagandowe!* lub też: *Zachodnie szczypawki propagandowe martwiły się z powodu braku odpowiedzi premiera na interpelację posłów „Znaku”*. Walory wybitnego stylisty zademonstrował również poseł Józef Ozga-Michalski w czasie debaty nad interpelacją „Znaku”. Zacytowałszy wyjęte z jednego z utworów Jerzego Andrzejewskiego zdanie o polskim „wyleniałym orle”, mówca ripostował: *Nie ma w tym nic dziwnego dla pa-*

*nów, którzy w wyleniałych krzesłach mierzą w salonie wyleniały czas kukułką zegara z rozparcelowanego dworu [...]. Jednakże nasz orzeł piastowski, orzeł na czapce żołnierza Dywizji Kościuszkowskiej, startujący spod Lenino do Berlina, pokryty stalowymi piórami Nowej Huty, urodzajem Puław i Kędzierzyna, nie tylko nie będzie tracił piór, a będzie porastał w nowe („Trybuna Ludu”, 11.04.1968).*

### **Konsekwencje Marca**

Po tych weselszych akcentach chciałbym podnieść sprawy bardzo poważne: kwestię kosztów Marca.

Były to koszty niemałe już według pierwszych, oficjalnych danych, dotyczących jedynie doraźnych działań represyjnych. W odpowiedzi na interpelację „Znaku” premier Cyrankiewicz oświadczył w Sejmie, że organy MO zatrzymały łącznie 2730 osób, z czego sankcje prokuratorskie po upływie 48 godzin otrzymało prawie 900 osób. Na karę aresztu skazano 182 osoby, w tym 52 studentów; ponadto wymierzono szereg kar grzywny, a w momencie składania oświadczenia (10 kwietnia 1968 r.) szereg spraw było w trakcie rozpatrywania. Już te liczby urzędowe są znaczne, a zachodzi uzasadnione podejrzenie, że zostały zminimalizowane. Z wielu źródeł wiadomo, że represje milicyjne objęły sporą część najaktywniejszych przedstawicieli środowiska studenckiego.

Należy teraz dodać do tego nigdy nieopublikowaną statystykę osób, które zostały w trakcie kampanii antysyjonistycznej powyrzucane z pracy, a częściowo zmuszone do wyjazdu. Można przypuścić, że było ich w każdym razie kilkanaście tysięcy. Wiele z tych osób dowiedziało się po raz pierwszy, że z tytułu niewłaściwego pochodzenia są niepełnowartościowymi Polakami. Był to prawdziwy pogrom o nieobliczalnym wymiarze ludzkich tragedii i społecznych zniszczeń.

Konsekwencje Marca sięgnęły głęboko w różne dziedziny życia. Oto znowu nasz nieoceniony Władysław Machejek, tym razem piszący wprost: *Czy nie płacimy zbyt wiele za uleganie niepraktycznym formalizmom przy sytuowaniu kadr zarządzających i naukowych? Czy zawsze i wszędzie jest ko-*



*nieczny system wyboru rektorów i dziekanów, uzależniający ich od wyborców w senacie?* („Życie Literackie”, 14.04.1968). To zapowiedź ustawy o reformie szkół wyższych, która zostanie już niedługo uchwalona i będzie oznaczać znaczne zwiększenie stopnia ich zniewolenia. W innych artykułach, które można obficie cytować, Tadeusz Kur żąda kategorycznie zniewolenia polskiej palestry (*Na własnym podwórku*, „Prawo i Życie”, 1968 nr 8). Janusz Wilhelmi domaga się czystki generalnej w humanistyce („Kultura”, 1968 nr 16, artykuł bez tytułu). Docent Wiesław Iskra informuje, iż *fakt burżuazyjnej degeneracji części polskiej nauki ekonomicznej tkwi korzeniami w rewizjonistycznej degeneracji pewnych środowisk ekonomistów warszawskich* (*Ideologiczne zaplecze ekonomii*, „Trybuna Ludu”, 23.04.1968), a cytowany poprzednio Jan Szewczyk oznajmia, że *większość katedr filozoficznych w naszym kraju jest celowo obsadzana starannie dobieieranymi dependentami ideologicznej czołówki warszawskiej* (op. cit.). Zapowiedziana jest – i przeprowadzona – generalna czystka w Państwowym Wydawnictwie Naukowym; zgłasza się konieczność rewizji programów nauczania i podręczników, demaskuje niewłaściwy repertuar teatralny, rzuca gromy – jakże inaczej! – na działalność Żydowskiego Instytutu Historycznego (ciosy zadane bezpośrednio nauce i kulturze żydowskiej w Polsce w okresie Marca wymagałyby osobnego, kompetentnego omówienia). Nie ma dziedziny – zwłaszcza w humanistyce – do której nie dochodzi silniejsza czy słabsza fala marcowych pogromów. W efekcie niektóre dziedziny niemal przestają istnieć, inne zostają poważnie zdewastowane i ponoszą szkody wyczuwalne po dziś dzień. Rozmiar spustoszeń różnych obszarów polskiego życia jest niewymierny.

A więc w koszty Marca wliczyć trzeba krzywdy indywidualne i krzywdy zbiorowe, poniesione przez naukę, kulturę, oświatę, wychowanie i wiele innych dziedzin. Niektóre z tych krzywd nie są widoczne na zewnątrz, bo zstąpiły w głąb ludzkich charakterów, odłożyły się nadłamaniami psychicznym, zakłóceniem normalnego rozwoju, stłamszonymi aspiracjami, niezrealizowanymi pracami. Wystarczy przypomnieć szczególną perwersję prześladowczą, z jaką były rektor naszego Uniwersytetu profesor Zygmunt Rybicki umiał przez wiele lat ścigać ludzi naznaczonych w jego oczach marcowym piętnem, nawet po opuszczeniu przez nich uczelni.

Wliczmy w te koszty totalitaryzację całych fragmentów polskiego życia i skuteczne splamienie dobrego imienia Polski za granicą – ponieważ za działalność pogromców odpowiedzialność przed światem musi nieść cały naród.

Wliczmy również – niestety – nader skuteczną deprawację różnych kręgów społecznych, w których marcowa trucizna pobudziła dawne schorzenia czy też odłożyła się obojętnością, a nawet doszukiwaniem się w tym, co nastąpiło, jakichś częściowych korzyści. Mimo szerokiego rozgłosu, którego nabrało w Marcu kontrhasło „Prasa kłamie!”, prasowe kłamstwa okazały się w swym stężeniu sugestywne.

### Szczególne cechy Marca

Jest tak, że kiedy mowa o marcowych szkodach, odzywają się czasem głosy protestu. Argumentują one, że Marzec nie był niczym wyjątkowym; inne przestępstwa, dokonywane przez władze, miały charakter bardziej drastyczny i o nich należy mówić przede wszystkim.

Pewne jest, że należy mówić o w s z y s t k i m. Istnieją jednak cechy czyniące z Marca zjawisko wyjątkowe.

Po pierwsze: w działaniu jego egzekutorów brak jakichkolwiek okoliczności łagodzących w postaci niewiedzy o tym, co czynią, zaślepienia, wiary w wyższe racje zadawanych krzywd – słowem, wszystkich konsekwencji ideowego otumanienia. Była to wyprana z emocji, jasna w założeniach i niska w aspiracjach, polityczno–policyjna prowokacja, zdeterminowana przede wszystkim przez interesy grupowe i wolna od złudzeń.

Po drugie: o każdym innym okresie antyspołecznych działań władza wyksztusiła bodaj kilka samokrytycznych słów, a za stalinizm biła się nawet dosyć głośno w – co prawda wybrane, syjonistyczne – piersi. Tylko Marzec do tej pory stanowi całkowite tabu. Nic dziwnego: zbyt wiele karier z niego wyrosło, zbyt wyraźnie odcisnięty jest w licznych życiorysach. Co więcej, w ostatnich dniach odezwały się nawet głosy potwierdzające zasadniczą słuszość marcowych poczynań. O stopniu wstydlivosti sprawy świadczy jedyne w swoim rodzaju zdanie, zamykające specjalną marcowo–rocznicową edycję publikacji Wydzia-

łu Pracy Ideowo–Wychowawczej KC PZPR „Fakty i komentarze” (13.03.81): *Marcowy rozdział naszej historii uznajemy za zamknięty*. Gangster proponuje tu swej ofierze dzentelmeński układ: uzna swój napad na nią za niebyły pod warunkiem, że nie zaskarży się go do sądu. Wielkodusznie i elegancko.

Po trzecie: Marzec uwolnił z zamknięcia i wypuścił w świat siłę szczególnie złowrogą – upiora antysemityzmu – i to w kraju, w którym leży Oświęcim, Majdanek i Treblinka. Jeśli zważyć, że organizatorom aspekt ten był zapewne całkowicie obojętny – szło im bowiem najbardziej o to, by opróżnić kilkadziesiąt posiad i sięgnęli po antysemityzm jako po najbardziej nośną w tym celu dźwignię – i jeśli z kolei uświadomić sobie niszczycielski potencjał, jaki został w związku z tym wyzwolony, i rozległość porażonego pola, to owo świadectwo moralności i mentalności uczniów Streichera i Rosenberga nie wymaga komentarza.

Paradoksalnie jednak dał Marzec pewien nieprzewidziany efekt uboczny: oto wychował nam wspaniałe pokolenie, jedno z najlepszych bodaj, jakie mieliśmy w historii. Ono oberwało w Marcu ciężki, przeszło cykl ostrych doświadczeń i radykalnie przyspieszyło bieg swego dojrzewania. Ono wzięło potem na siebie, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, główny ciężar praktycznych działań opozycji demokratycznej i przygotowało Sierpień.

## Zakończenie

Zakończę akcentem ściśle osobistym. Na początku wydarzeń marcowych byłem poza krajem, w Rosji. O tym, co się dzieje w Warszawie, dowiadywałem się z krajowych gazet. Pamiętam dobrze moment, w którym przeczytałem o „syjonistach”. Po raz pierwszy i jak dotąd jedyny przeżyłem wtedy uczucie, którego grozy nie mogę porównać do żadnej innej: przestałem rozumieć, w jakim kraju żyję. Być może była to kwestia mojej wielkiej naiwności, ale wielu z nas nie umiało sobie wówczas wyobrazić, że coś podobnego właśnie w Polsce może się wydarzyć. Po paru dniach, wracając do Warszawy, łączywie wpatrywałem się przez okno wagonu w niedzielny, podlaski krajobraz. Wszystko było normalne: było słoneczne popołudnie, rodziny wycho-

dziły na spacer. Nic z tego nie rozumiałem i nie wiedziałem, dokąd wracam. Moja ziemia usuwała mi się spod nóg.

Nigdy więcej nie chciałbym już tego uczucia doznać i życzę wszystkim, by go nigdy nie przeżyli.

Powiem jeszcze, że bardzo mnie cieszy zbiorowy śmiech, który towarzyszył tu odczytywaniu marcowych dokumentów. Trzydzieści lat temu brzmiały one groźnie. To, że dzisiaj można się już z nich śmiać, dowodzi, jak daleko od tamtych czasów zaszliśmy i jak bardzo gdzie indziej jesteśmy. Śmiech niszczy upiory. Chyba też marcowi pogrobowcy w tych właśnie dniach zrozumieli, że tamten manewr w tym społeczeństwie jest po raz drugi nie do powtórzenia.

I czuję się głęboko szczęśliwy, bo przez trzydzieści lat patrzyłem na swoje marcowe wycinki, licząc, że jeszcze mi się na coś przydadzą. A teraz leżą tutaj.

Bo też wszyscy my, którzy dożyliśmy tych czasów, jesteśmy szczęściarzami.

Ale właśnie dlatego niech wolno mi będzie przytoczyć ostatnie słowa jednej z najważniejszych ksiązek naszego stulecia:

*Śłuchając okrzyków radości dochodzących z miasta, Rieux pamiętał, że ta radość jest zawsze zagrożona. Wiedział bowiem to, czego nie wiedział ten radosny tłum i co można przeczytać w książkach, że bakcyl dżumy nigdy nie umiera i nie znika, że może przez dziesiątki lat pozostać uśpiony w meblach i bieliźnie, że czeka cierpliwie w pokojach, w piwnicach, w kufrach, w chustkach i w papierach i że nadejdzie, być może, dzień, kiedy na nieszczęście ludzi i dla ich nauki dżuma obudzi swoje szczury i pośle je, by umierały w szczęśliwym mieście.* (Albert Camus, *Dżuma*, przeł. Joanna Guze).

■ **Andrzej Drawicz** (1932 – 1997), badacz literatury rosyjskiej i krytyk literacki, tłumacz, współzałożyciel i wykładowca Towarzystwa Kursów Naukowych, jeden z redaktorów wydawanego poza cenzurą miesięcznika „Zapis”; w stanie wojennym internowany, następnie współpracował z prasą podziemną, był tłumaczem niezależnej literatury rosyjskiej; 1989 – 1991 prezes Komitetu do Spraw Radia i Telewizji. Autor monografii literackich (*Mistrz i diabeł. O Michale Bułhakowie*, 1990), szkiców (*Spór o Rosję*, 1987; *Pocałunek na mrozie*, 1989), przekładów dzieł pisarzy rosyjskich.

## Kazimierz Wóycicki

### **Młodzież, Kościół, Marzec**

Październik '56, Grudzień '70, Czerwiec '76 czy ostatni Sierpień '80 wydają się datami bez porównania ważniejszymi od Marca '68. Wszystkie te daty znaczą bowiem wydarzenia ogarniające całe społeczeństwo. Marzec dotyka natomiast w gruncie rzeczy jednej grupy studentów i intelektualistów. Konstatacja ta podkreśla tym silniej znaczenie Marca jako jednego z najważniejszych zwrotów ideowych w powojennej historii Polski. Przemiana nie dokonała się w samym Marcu, w trakcie trwania wydarzeń, była natomiast przez wydarzenia na uczelniach przyspieszona i bez nich nie stałaby się, być może, tak wyrazista.

Marzec był ostatecznym końcem nadziei i iluzji październikowej 1956, a zarazem początkiem tego, co przeżywamy dzisiaj, w okresie sierpnia '80. W 1956 roku nadzieję na przemianę w kraju wiązano z reformą w PZPR. Gomułka, więziony w okresie stalinowskim na równi z prymasem Wyszyńskim, był upersonifikowaniem tej nadziei. Przełom październikowy mimo stworzenia wielu możliwości nie przyniósł rozwoju myśli politycznej i społecznej. Po stalinowskim doktrynerstwie powrócono do znacznie bardziej otwartych, ale przecież nienowych idei społecznych, typowych dla pierwszej połowy wieku XX, a sięgających bezpośrednio w wiek XIX. Była to myśl lewicy, pełna cywilizacyjnego optymizmu, wyznająca społeczny prometeizm, niezdolna do przewidzenia wielkich schorzeń społeczeństwa przemysłowego i masowego. Lewicy, której przemysłowcy nad dwudziestowiecznym doświadczeniem historycznym były nader ograniczone. Typowym składnikiem tej myśli był przecież marksizm pod różnymi postaciami. Równie typową dla tej formacji była negacja religii, traktowanie jej jako zanikającego anachronizmu. Lata sześćdziesiąte to m.in. historia konfliktu części polskich intelek-

tualistów, którzy do tej formacji przynależeli, z Kościołem. To antyreligijne nastawienie pozostawało często ostatnim elementem łączącym intelektualistów partyjnych różnych frakcji, których Marzec poróżnił drastycznie i ostatecznie. U wszystkich silne było przekonanie, że Kościół to obskurantyzm, antysemityzm, reakcja. I dodajmy, że w latach sześćdziesiątych inteligencja o takim właśnie nastawieniu miała dominujący wpływ na życie intelektualne, zwłaszcza życie uniwersytetu. Chrześcijaństwo nie stanowiło, z perspektywy tej formacji intelektualnej, niemal żadnej alternatywy ideowej. Po stronie lewicy mogły być błędy i wypaczenia, zachowana została jednak zasadnicza prawda o rzeczywistości społecznej. Takie przekonania poddawane były rozlicznym i niełatwym próbom, jednak dopiero Marzec okazał jawnie, jak bardzo były one nieprawdziwe. Obskurancką kampanię złączoną z antysemityzmem organizowali działacze PZPR. Kościół zaś ustami prymasa Wyszyńskiego ostrzegał przed tą kampanią nienawiści: „żeby na was nie padał cień potworny jakiegoś odnowionego rasizmu, w imię którego rzekomo bronimy naszej kultury” (kazanie w Wielki Czwartek). Również grupy katolików świeckich niepodporządkowane PZPR wystąpiły przeciw marcowej kampanii. „Znak” wystosował głośną interpelację poselską, w której stanął w obronie demonstrujących studentów. Inaczej postąpił PAX, uczestnicząc aktywnie w atakach na „syjonistów”, jego jednak dobre stosunki z komunistami były aż nazbyt znane. Okazało się też, że Kościół broni prawa do wolności własnych poglądów również tych osób i grup, które niedawno otwarcie go atakowały.

Siła wystąpień Kościoła kazała się zastanowić nie tylko nad ich polityczną siłą i znaczeniem, ale przede wszystkim nad ich duchowym i intelektualnym zapleczem, szerokością spojrzenia na sprawy społeczne z perspektywy współczesnego chrześcijaństwa, wreszcie nad postawami, jakie te perspektywy kształtują wśród młodzieży.

Marcowa kampania nienawiści dość gęsto szermowała słowem „patriotyzm”. Atakowano też ludzi, którzy w pamięci części młodzieży, dla której inicjacją w życie publiczne były obchody Millenium i oburzenie wobec nagonki na biskupów, byli niejako czołowymi ideowymi eksponentami obcych i narzucanych im niemal siłą treści związanych z oficjalnym marksizmem. Wreszcie, korzystając z ogromu historycznej niewiedzy, włączono w tę kam-

panię jakieś cząstkowe i zafałszowane rozrachunki ze stalinizmem, niedwuznacznie wskazując na Żydów. To ostatecznie miało sprawiać wrażenie przywracania prawd rzekomo niedopuszczalnych do publicznej prezentacji, a przez to nadawać dość wulgarnym interpretacjom powojennej historii Polski pozory autentyczności. Kampania wydawała się więc dość dobrze obliczona i zaprojektowana i ci, których wychowywała już państwowa szkoła, winni być podatni na taką manipulację.

Jeśli ta manipulacja, jak wykazał przebieg wydarzeń marcowych, okazała się w środowiskach studenckich całkowicie niemal nieskuteczna, to dlatego, że reakcje młodzieży miały za punkt wyjścia najbardziej elementarne zasady etyczne, takie jak m.in. prawo do obrony przez każdego swego dobrego imienia. Była to w wielkim procencie młodzież, która odebrała wychowanie religijne. Mimo wszystkiego, co różniło mnie z Kołakowskim, Baczką czy Baumanem, wówczas najbardziej głośniejszymi spośród atakowanych profesorów, zmuszony się czułem do pełnej solidarności z nimi jako z ludźmi atakowanymi w sposób niedopuszczalny. Zwykła lojalność kazała spór, jaki między nami istniał, zostawić na czasy późniejsze. Jako paradoks odbierałem, że system w tak nieprzemysłany sposób rozprawia się z tymi, których przez długi czas miałem za najinteligentniejszych jego propagatorów.

Widoczne stało się, w którym obozie znajduje się teraz obskurantyzm. Była to dla znacznej części mojego pokolenia kompromitacja tradycji lewicowej, a zarazem spotkanie z myślą tych ludzi, którzy byli wyrzucani poza oficjalne ramy tej tradycji. Bohdan Cywiński napisał książkę pod wymownym tytułem *Rodowody niepokornych*, w której zaproponował formułę takiego spotkania. Zaproponował on mianowicie, by nie zważając na różnice ideowe i intelektualne, dokonać wspólnego namysłu na bazie wartości najbardziej podstawowych. Po niemal dziesięciu latach Adam Michnik napisze książkę, która stanie się jakby odpowiedzią na *Rodowody niepokornych*. Stara się dokonać w niej rewaloryzacji tradycji lewicowej, mówi o lewicy laickiej, łącząc postawę polityczną (lewicową) z postawą filozoficzną (areligijności laickiej). Próba ta jednak wydaje się o tyle nieudana, że zbitka ideowa „lewica laicka” sugeruje taki sam integryzm postawy światopoglądowej i politycznej, jaki występuje w idei np. partii chrześcijańsko–demokratycznej. A taką po-

stawę autor sam odrzuca i chwali katolickie środowiska, które przeciw niej występują. Żadna też inna próba rewaloryzacji nie okazała się wystarczająca. Dodajmy dla uzupełnienia, że tradycje prawicowe nie dawały również zadowalających rozwiązań i nie okazywały się dostatecznie pożywne intelektualnie.

Sytuacja ta prowadziła do poszukiwań bardziej pogłębionych. I, dodam, dość trudnych, bowiem europejska myśl zdaje się nie zostawiać innego wyboru, jak właśnie między lewicą i prawicą. Przed pokoleniem inteligencji ukształtowanej marcowym doświadczeniem stanął zaś dylemat: ani prawica, ani lewica, wobec tego – co? I okazało się, że jedyny punkt odniesienia godny zaufania to rudymenty kultury i wartości, o których przypominał Kościół i z których czerpał swą inspirację Cywiński. Książka Michnika, mimo że była świetnym świadectwem poglądów autora i środowisk, z którymi się on identyfikował, za dużo mówiła o polityce, szukając rozwiązań w formułach ideologicznych, takich jak lewica laicka, i dlatego wydawała się w tych punktach intelektualnie niepogłębiona, mimo że autor napisał ją z wielkim talentem publicystycznym. Okazywało się bowiem, że należy rezygnować z polityki na rzecz bardziej podstawowych wartości samej kultury, że należy przyszele rozważania nad polityką oprzeć na wcześniejszym namyśle nad kulturą. I to kulturą w wymiarze nie tylko polskim, ale uniwersalnym. Przychodziła refleksja, w pełni potwierdzona dzisiejszym stanem myśli europejskiej, że jesteśmy w punkcie zwrotnym, kończy się bowiem to, co zapoczątkował wiek XIX. Nową opozycję w myśleniu o społeczeństwie i polityce wyznaczać zaczęły pojęcia demokracji i totalitaryzmu, a nie spory wokół słowa „socjalizm”.

Chcę jeszcze raz podkreślić zasadniczą różnicę, jaka zachodzi między dwiema interpretacjami Marca , i przypomnieć o związku tych interpretacji z wpływem postawy Kościoła na młodzież. Podług jednej interpretacji Marzec 68 to ponowne przebudzenie się nadziei Października 56. Marzec to – według odpowiadającej tej interpretacji terminologii – ruch społeczny, przebudzenie się dyskusji o uspołecznieniu, wreszcie powrót pewnej utopii, utopii o nazwie socjalizm, choć słowo „socjalizm” pozostaje w nieustalonym stosunku do słowa „komunizm”.



Druga interpretacja Marca mówi o nim jako o przełomowym wydarzeniu w życiu ideowym Polski i częście wielkiej przemiany kultury, jaka się dokonuje w całej Europie. Mówi o Marcu jako odwróceniu od wszelkiego myślenia utopijnego i o początkach myślenia o społeczeństwie w kategoriach mniej wizjonerskich, ale za to bliższych człowiekowi. Chodzi o politykę opartą nie na maksimum, którego żąda każda utopia, lecz na minimum, o którym mówią pewne elementarne zasady kultury i prawa człowieka. Jest to przebudzenie się z odurzenia wizjami politycznymi, na co tak cierpiał wiek XIX i XX, i skierowanie uwagi na los konkretnych ludzi i na środki pomocy, jakiej można im udzielić. Marzec zaczyna ten namysł, dojrzewa w nim pokolenie, które w dziedzinie doktrynalnej, w dziedzinie politycznej, ideowej zaczyna myśleć w zupełnie nowy sposób i spory zaczynają się toczyć na zupełnie nowych frontach.

Spory te będą kontynuowane w późniejszym okresie, w latach siedemdziesiątych, wśród demokratycznej opozycji. Będzie to m.in. spór między socjalistyczną „Krytyką” a demokratycznym „Głosem” czy konserwatywną „Res Publiką”. Dyskusje te są owocem Marca.

■ **Kazimierz Wóycicki** (ur. 1949), publicysta, dziennikarz, historyk. Absolwent matematyki na UW i filozofii na KUL, członek redakcji miesięcznika „Więź”, działacz warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej; publikował w pismach i wydawnictwach poza cenzurą. W stanie wojennym internowany, następnie przebywał za granicą, pracował m.in. w BBC. Po 1989 był m.in. redaktorem naczelnym „Życia Warszawy” oraz dyrektorem Instytutu Polskiego w Düsseldorfie i w Lipsku. Jest wykładowcą uniwersyteckim; od 2004 kieruje szczecińskim oddziałem Instytutu Pamięci Narodowej.



## Stefan Amsterdamski

### Marzec w filozofii i filozofia Marca

#### I

Moim celem nie jest wspomnianie wydarzeń sprzed 13 lat. Była już o tym mowa w poprzednich wystąpieniach i będzie zapewne jeszcze w następnych. Wiemy, że sądzono wówczas ludzi za poglądy, usuwano z pracy i ze studiów, skazywano na milczenie i nieobecność w życiu intelektualnym, oczerniano, skłaniano do emigracji. Bilans strat spowodowanych tymi działaniami pozostanie na zawsze niepełny, nie dlatego, że nie sposób uzyskać pełnej informacji, lecz przede wszystkim z tej racji, że nikt nie potrafi powiedzieć, co by być mogło, gdyby nie marcowe represje, jak przetoczyłyby się losy ludzi i społeczności zawodowych, jakie nowe talenty pojawiłyby się, czego by ewentualnie dokonały. Wszystko to są pytania, które muszą pozostać bez odpowiedzi. Wiemy tylko, że niestety nie są one bezpodstawne. Toteż kiedy mowa o konsekwencjach Marca dla kultury w ogóle, a dla filozofii w szczególności, pamiętać trzeba nie tylko o tym, co faktycznie zostało zniszczone, lecz również o zaprzepaszczonych szansach i zablokowanych możliwościach, których nikt nie potrafi odpowiedzialnie określić, a czasem nawet nazwać, o tym wszystkim, co w innych warunkach mogłoby się rozwinąć, a czemu nie dana była szansa powstania.

Chciałbym natomiast zastanowić się nad wydarzeniami marcowymi z punktu widzenia ich sensu dla życia filozoficznego, przemian, które miały na celu w nim dokonać i których faktycznie dokonały, co, oczywiście, niekoniecznie musi się jedno z drugim pokrywać. Odróżnić trzeba bowiem intencje i dokonania.

W związku z tym muszę w tym miejscu powiedzieć, że przez wydarzenia marcowe rozumieć będę tu nie tylko to, co działo się w filozofii w marcu 1968 r. i w miesiącach następnych, lecz również procesy poprzedzające tę datę.

W tekście tym próbuję raczej przedstawić pewne problemy, niż je szerzej wyeksplikować i rozwinąć. Ale w niespełna godzinny występnięciu więcej zrobić nie potrafię. Siłą rzeczy częściej będę dawał wyraz własnemu stanowisku, niż je uzasadniał. Świadom jestem ryzyka, że po tym wszystkim, co na tej sali zostało już powiedziane o Marcu, wywody moje mogą się wydać oczywiste czy wręcz banalne. Tyle słów wstępu i ekskuzy zarazem.

## II

Najpierw kilka zdań o akceptowanym przeze mnie rozumieniu filozofii, bez czego dalsze rozważania wydać by się mogły niejasne.

Otóż, po pierwsze, myślę, że filozofia jest możliwa jedynie jako konfliktowa wielość różnych filozofii. Podobnie jak w kulturze sprzeczne wartości żywią się nawzajem, a ich konflikty ożywiają kulturę, która bez nich byłaby martwa, tak filozofia żyje poprzez konflikty między różnymi filozofiami. I nie jest to analogia tylko powierzchniowa, albowiem poszczególne filozofie są zawsze próbami ugruntowania określonych systemów wartości na podstawie analogii problemów, które dana epoka wyłania jako filozoficzne.

Po drugie, zarówno pod wpływem własnej logiki rozwoju, jak w rezultacie przeobrażeń problemów, które dana epoka wyłania jako przedmiot refleksji filozoficznej, wewnętrzne ustrukturalowanie owej konfliktowej wielości nie pozostaje niezmiennie.

Wreszcie, po trzecie, i to w interesującym mnie kontekście jest sprawą najważniejszą, tam gdzie jedna filozofia, obojętnie jaka, uzyskuje – a uzyskuje to nie to samo, co próbuje uzyskać, bo próbuje każda – tam więc, gdzie jedna filozofia anektuje cały obszar życia filozoficznego wypełniony zazwyczaj przez ową konfliktową wielość, tam kończy się wszelka filozofia, a zaczyna dyktatura. Jest tak dlatego, że konflikty wartości, które filozofie poszczególne próbują rozwiązywać, nie są nigdy ostatecznie rozstrzygalne, lecz artykułują się wciąż na nowo w refleksji nad życiem społecznym. Toteż filozofia poszczególne zaanektować może cały ten obszar jedynie środkami pozaintelektualnymi. Rezultatem zaś takiej aneksji jest totalizacja jakiegoś systemu wartości, co w konsekwencji prowadzi do erozji wszystkich, włącznie z tymi, które przemocą odnoszą swe pirrusowe zwycięstwo. I z tego punktu widzenia jest

rzeczą zupełnie obojętną, czy ubóstwioną wartością jest równość, wolność, zbawienie duszy, jedność narodowa, czy państwo.

### III

Otóż Marzec w filozofii rozumiem jako próbę tego rodzaju właśnie aneksji. Z tym tylko, że mówiąc o Marcu, nie sposób zapominać, że nie była to w Polsce pierwsza tego rodzaju próba. Ta bowiem, i to bez porównania skuteczniejsza, miała miejsce u schyłku lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych. Wówczas również sądzono za poglądy, usuwano z katedr i uczelni profesorów i ich uczniów, skazywano na milczenie i nieobecność w życiu intelektualnym, likwidowano placówki, przedmiotem ataku była szkoła Iwowsko-warszawska, reżim, fenomenologia, filozofia katolicka, wszystko, co nie pasowało do aktualnie usankcjonowanej przez władze wykładni marksizmu. I rachunek tych strat pozostanie na zawsze również niepełny.

Z chwilą gdy marksizm ogłoszono ideologią państwową, to z racji tego właśnie swojego statusu stał się on siłą rzeczy instrumentem niszczącym autonomię życia intelektualnego i sam, jako jeden z kierunków filozofii, przestawał żyć życiem autentycznym. Stawał się w coraz mniejszym stopniu sposobem myślenia o świecie, a coraz bardziej narzędziem pragmatycznego podporządkowania całości życia społecznego aktualnym celom polityki. Zwolennikom swym miał zaś do zaoferowania społeczną rolę umysłów zniewolonych.

Kryzys polityczny połowy lat pięćdziesiątych, którego ważnym elementem był polski Październik, zrodził próbę reformacji totalitarnego ładu społecznego i umysłowego pierwszej połowy lat pięćdziesiątych. Z wielkim trudem i oporami – nie ma powodu idealizować okresu popaździernikowego – zaczęła się stopniowo odradzać, zwłaszcza w Uniwersytecie Warszawskim, ale nie tylko tutaj, filozofia rozumiana właśnie jako owa konfliktowa wielość. Większość usuniętych i odsuniętych profesorów – Kotarbińscy, Ossowscy, Ajdukiewicz, Tatarkiewicz, Ingarden – wymieniam nazwiska tylko najwybitniejszych – powróciła do czynnego życia naukowego. Pojawiły się tłumaczenia filozofów obcych, rozwinęła swą działalność Biblioteka Klasyków Filozofii. Bardziej dostępne stawały się książki i czasopisma zagraniczne.

W całym życiu umysłowym kraju dokonywał się pospieszny proces „odrabiania zaległości” w kontaktach z kulturą światową, od której było ono przez lata odcięte.

Wśród tych, którzy uczestniczyli na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych w ustanawianiu totalitarnego ładu kultury, już w okresie poprzedzającym Październik nastąpiło znaczne zróżnicowanie postaw. Drogę wyzwolenia umysłu zniewolonego przedstawił chyba najlepiej Leszek Kołakowski w niepublikowanym dotąd, o ile wiem, szkicu *Śmierć bogów* z 1996 r.

Wydaje mi się wszakże rzeczą wymagającą szczególnego podkreślenia, że ożywienie, czy nawet odrodzenie życia filozoficznego w okresie popaździernikowym było w ogromnym stopniu zasługą także tych, którzy totalitarnym pokusom nigdy nie ulegali, a teraz, po Październiku, wracając do czynnego życia naukowego, uznali za słuszne i możliwe odbudowywać polską kulturę i filozofię wraz z tymi, którzy uprzednio przyczynili jej szkody, a im samym krzywdy, ale co do których mieli przekonanie, że przestali być umysłami zniewolonymi i umysłu w zniewoleniu nie ztratili, że zmiana ich postawy nie ma charakteru koniunkturalnego, lecz jest rzeczywiście wynikiem przemyślenia doświadczeń niedalekiej przeszłości. Niektórzy zresztą byli ich własnymi, wybitnymi choć wyrodnymi uczniami. Teraz wspólnie jęli kształcić następne pokolenie w duchu przywiązania do wartości demokratycznych, w duchu krytycyzmu intelektualnego i społecznego oraz – co bardzo ważne – w poszanowaniu dla autentycznych osiągnięć myśli.

#### IV

Jeżeli Październik był próbą reformacji totalitarnego ładu życia społecznego i umysłowego pierwszej połowy lat pięćdziesiątych, to Marzec stanowił odpowiedź na nią. Był, jeśli trzymać się tego terminologicznego porównania, próbą totalitarnej kontrreformacji. Zaczęła się ona w gruncie rzeczy zaraz po Październiku, a jej apogeum przypadło właśnie na rok 1968. Nie będę charakteryzował tego nurtu kontrreformacyjnego w kategoriach politycznych – robili to już moi przedmówcy. Chciałbym natomiast powiedzieć, jak artykułował się on w filozofii.

Otóż z kontrreformacją zazwyczaj bywa tak, że obecne są w niej nur-

ty nader zrozumiałe i między sobą skłócone. Z grubsza jednak rzecz biorąc, wyróżnić w niej można dwie zasadnicze tendencje: jedną, która próbuje po prostu dokonać restauracji systemu przedreformacyjnego, druga, która na rozmaite sposoby chce dostosować stary system do nowych okoliczności, znaleźć dlań nowe zakorzenienie czy nowe artykulacje. Obydwie te tendencje były w marcowej kontrreformacji na terenie filozofii dobrze widoczne, i – choć żadna nie odniosła zwycięstwa – obie miały na celu ponowną aneksję środkami pozaintelektualnymi całego obszaru życia filozoficznego.

Mógłby zakwestionować ktoś tę diagnozę, powiadając, że przecież przedmiotem ataku w Marcu nie była filozofia w ogóle, lecz tylko to, co nazywano rewizjonizmem w filozofii marksistowskiej. Jest to w moim przekonaniu półprawda, która, jak każda półprawda, przy pewnym jej rozumieniu staje się fałszem. Jest to mianowicie półprawda tego samego rodzaju, co twierdzenie, że wydarzenia marcowe były tylko rozgrywką między zwalczającymi się frakcjami w partii. Niewątpliwie były. Tyle tylko że przedmiotem tej rozgrywki były kwestie dotyczące całego życia społecznego i elementarne wartości całej kultury, a więc sprawy dotyczące wszystkich.

Dla kogoś, kto nie jest skłonny upamiętniać rocznicami własnych porażek, fakt ten stanowi jedyną rację, dla której o Marcu warto i trzeba dziś mówić.

Sądzę więc, że nie o rewizjonizm, a w każdym razie nie tylko o rewizjonizm w Marcu chodziło, lecz o kształt życia umysłowego kraju. Spróbuję możliwie najkrócej wyjaśnić i uzasadnić to przekonanie.

Otóż myślę, że jedną z najważniejszych funkcji tego, co zwykło się określać mianem rewizjonizmu w filozofii, było podważanie koncepcji monopolu jednej filozofii w życiu umysłowym społeczeństwa, i to właśnie w łonie tej filozofii, która monopol taki próbowała realizować środkami pozaintelektualnymi. Kamieniem obrazu była bowiem teza, że nie ma dzisiaj i nie może być jednej autentycznej wykładni myśli Karola Marksa, że możliwe są różne jej kontynuacje, z których żadna nie może rościć sobie pretensji do wyłączności. Z tego punktu widzenia, ale tylko z tego, było w pewnym sensie obojętne, co ogłosił ten lub ów autor w rozmaitych szczegółowych kwestiach epistemologii, ontologii, rozumienia procesu historycznego, etyki czy estetyki, skoro generalnie takie właśnie stanowisko zajmował. Z tej perspektywy było rzeczą

drugorzędną, czy opowiadał się za młodo–marksowską, egzystencjalistyczną czy scjentystyczną interpretacją marksizmu. Wszystkie bowiem one przeciwstawiały się temu, co Leszek Kołakowski trafnie nazwał marksizmem instytucjonalnym, czyli jego wykładnią, która aktualnie uznana jest przez władzę za jedyną prawowitą.

Powyższe oczywiście nie znaczy, że interpretacje te nie różniły się od siebie w istotnych i stale żywych kwestiach filozoficznych, których znaczenie dla życia umysłowego zgoła niezależne jest od sporów o treść doktryny Karola Marksa. Leszek Kołakowski, Bronisław Baczko, Helena Eilstein czy Krzysztof Pomian zawdzięczali swój autorytet naukowy analizie tych problemów i próbom ich rozwiązywania. Zarazem wszyscy, mimo różnic stanowisk, między innymi w poszczególnych kwestiach filozoficznych, trafiali do tego samego rewizjonistycznego worka w myśl zasady, że różnice między nimi są równie nieistotne, co między zielonym a fioletowym diabłem. Należy bowiem w tym miejscu zauważyć, że rewizjonistą zostawało się z nominacji wydawanej na mocy wskazanej wyżej zasady. I jest to zupełnie zrozumiałe, albowiem na gruncie marksizmu instytucjonalnego rewizjonistą zostaje się na mocy tego samego dekretu, co marksistą. Obie kwalifikacje mówią tylko o stosunku osoby kwalifikowanej do aktualnej wersji marksizmu instytucjonalnego. Nota bene, warto może zaznaczyć, że co bardziej krewcy polemicy zaliczali często do rewizjonistów autorów, którzy interpretacją doktryny Karola Marksa nigdy się nie zajmowali i nigdy do miana marksistów nie pretendowali. I to również jest zrozumiałe: stanowi bowiem odmowę legitymizacji ich poglądów z punktu widzenia marksizmu instytucjonalnego. Toteż termin *rewizjonizm* był przede wszystkim etykietą polityczną, do analizy zaś jakichkolwiek rzeczywistych sporów filozoficznych jest zgoła nieprzydatny, oznaczać bowiem może cokolwiek, co wymaga aktualnie politycznego potępienia.

## V

Dla uzasadnienia tej bynajmniej nieoryginalnej tezy pozwolę sobie na przytoczenie kilku cytatów. Pierwszy pochodzi z artykułu Bronisława Baczki pt. *Markszizm współczesny a horyzonty filozofii*, wydrukowanego jako zakończenie wydane go przez niego w 1962 roku zbioru *Filozofia i socjologia XX wieku*. Czytamy tam:



Miejsce marksizmu we współczesnej filozofii nie jest statyczne, mamy do czynienia z procesem. [...] Jednym z aspektów tego procesu są przemiany zachodzące w samookreślaniu się marksizmu wobec współczesnej filozofii jako całości, a zwłaszcza wobec jej niemarksistowskich nurtów. Przemiany te, najogólniej mówiąc, zmierzają w kierunku zdefiniowania marksizmu jako filozofii programowo otwartej, która odrębność i specyfikę swej problematyki poznawczej określa poprzez współuczestnictwo w całokształcie problemów i trudności filozofii współczesnej (s. 404–405, cyt. wg 2. wydania z 1965).

Ta mała kontrowersyjna, zdawałoby się, teza stała się przedmiotem szczególnie zmasowanych ataków. Tak na przykład w artykule Jana Szewczyka *O istocie filozofii marksistowskiej* czytamy:

Zgodnie z realizowanym u nas hasłem krytycznej asymilacji wysuniętym parę lat temu przez jednego z czołowych przedstawicieli naszego akademickiego marksizmu, filozofia nasza miała się rozwijać nie świadomym wysiłkiem poznawczym marksistów, rozwijających własny front rzetelnego badania rzeczywistości metodami Marksa, lecz przez szczególnego rodzaju selekcję dorobku pomarksistowskich filozofów mieszczańskich oraz przez włączenie w swój system wiedzy gotowych elementów obcych doktryn filozoficznych. [...] Marksizm tak pojmowany skazywał się – *de facto* – na uzależnienie się od obcych, a nawet z gruntu mu wrogich źródeł myśli, sposobów myślenia, obcych stylów przeżywania, oceniania oraz poznawania rzeczywistości. [...] Prowadziło to do zacierania się i granic kulturowych i utraty poczucia dumy z własnej odrębności. [...] Nasza akademicka filozofia marksistowska stała się dziś zupełnie niezdolna [...] do wywierania jakiegokolwiek konstruktywnego wpływu myślowego na tworzącą się dziś poza nią i bez niej klasową i narodową wspólnotę pracy. („*Studia Filozoficzne*”, 1969, z. 1, s. 120 i 122–123).

A oto druga próba analogicznej krytyki:

Współczesna filozofia światowa stanowi – zdaniem Baczki – jedną problemową całość, w której także między innymi marksści uczestniczą. A uczestniczą i uczestniczyć mogą tylko dlatego, że marksizm współczesny znamionuje mnogość rozbieżnych tematyzacji. I, zdaniem Baczki, jest to stan normalny i pożądanym. Cieszy się on, że są to tematyzacje rozbieżne. Jako takie powinny ze sobą współistnieć. Na tym polega Baczki program marksizmu

*otwartego. Otóż, jest to program rozpuszczania marksizmu w światowej filozofii burżuazyjnej głoszony pod hasłem nowoczesności, walki ze skostnieniem i tak dalej.* (Jarosław Ładosz *O źródłach i charakterze współczesnego rewizjonizmu*, broszura Wydziału Agitacji i Propagandy KC PZPR, lipiec 1968, s. 35–36).

Pomijając niezbyt jasną dla mnie sprawę, dlaczego autor cytowanego przed chwilą tekstu sądzi, że ze stanowiska Baczki miałyby wynikać „rozpuszczenie marksizmu w filozofii burżuazyjnej”, a nie na odwrót (zbędne dodawać, że nie wynika ani jedno, ani drugie), Ładosz trafnie wskazuje, o co toczy się spór. Jeśli w marksizmie możliwe są rozmaite tematyzacje, to nie istnieje jedna jego autentyczna wykładnia i wszelkie orzeczenia w tej sprawie są bezpodstawnym uproszczeniem, a marksizm instytucjonalny może być w najlepszym razie tylko jedną z licznych możliwych tematytacji. Jeśli natomiast rozmaite tematyzacje są „rozpuszczeniem marksizmu w filozofii burżuazyjnej”, to o uprawnionej wykładni decydują w najlepszym razie broszury Wydziału Agitacji i Propagandy, a w gorszym przypadku – decyzje administracyjne. W marksizmie otwartym obowiązują te same metody rozstrzygania sporów, co w całej filozofii. W marksizmie instytucjonalnym decydują o tym, jak to powie Ładosz, względy „aktualnego stadium walki klasowej”, czyli decyzje polityczne.

Myślę, że te próbki polemiki dostatecznie wskazują, o co w istocie rzeczy chodziło.

Nie znaczy to bynajmniej, bym sądził, że w latach sześćdziesiątych rewizjonizm był jedynym i najbardziej konsekwentnym obrońcą wartości demokratycznych. Byłaby to skończona bzdura. Stanowił jednak pierwszą, bo w łonie samego marksizmu zrodzoną, przeszkodę i jej usunięcie było warunkiem koniecznym po temu, by móc podjąć na nowo walkę z tymi wartościami na szerszą skalę.

Czy to się udało? I jakie były tego konsekwencje? Sądząc po latach siedemdziesiątych, udało się tylko częściowo, przynajmniej jeżeli chodzi o zamiary i nadzieje niektórych. Głosy: „doprowadzić Marzec do końca” rozbrzmiewają i dziś.

Po Marcu wiadomo było doskonale, że żaden konflikt nie został rozwiązany, a kryzys polityczny się pogłębia, że żadne przyczyny społecz-

nego niezadowolenia narastającego w latach sześćdziesiątych wskutek zawiedzionych nadziei na usprawnienie i liberalizację systemu nie zostały usunięte. Któż jednak potrafi powiedzieć, jak daleko w tej sytuacji mógł zająć proces „naprawy Rzeczypospolitej” w duchu totalitaryzmu, gdyby nie bunt robotników Wybrzeża w 1970 roku i strajki początku roku 1971, które zmusiły władze do małej liberalizacji początków lat siedemdziesiątych.

Jeśli zaś o konsekwencje chodzi, to Wojciech Lamentowicz, w wywiadzie z 9 marca br. opublikowanym w łódzkim „Głosie Robotniczym” z okazji trzynastej rocznicy wydarzeń marcowych, wyraża na przykład pogląd, że likwidacja rewizjonizmu w latach sześćdziesiątych stała się jednym ze źródeł późniejszych kryzysów w partii, pozbawiła ją bowiem własnej myśli krytycznej. Z pewnością nie była to konsekwencja jedyna, do czego przyjdzie jeszcze wrócić w zakończeniu.

## VI

Mogłoby się wydawać, że potraktowałem tu rewizjonizm filozoficzny trochę „per noga”, odmawiając mu jakby istotnych treści intelektualnych, nie referując książek i artykułów jego reprezentantów. Byłoby to nieporozumienie. Mówiłem bowiem nie o tym, co był wart intelektualnie, lecz za co był przede wszystkim zwalczany. O jego zawartości i wartości intelektualnej nie sposób zaś mówić globalnie, bo – jak już wspominałem – termin ten nie oznacza żadnego specyficznego stanowiska filozoficznego. Z pewnością, po jego niegdysiejszych przedstawicielach pozostały teksty, do których się będzie wracać, i takie, które ulegną zasłużonemu zapomnieniu. Takie, do których sięgać się będzie z potrzeby intelektualnej, i takie, które będzie się przytaczać na użytek połączonych ideologicznych czy politycznych. Z pewnością, artykułowały się w tych pracach spory o stosunek jednostki do społeczeństwa, o kształt życia społecznego, o model kultury.

Im bliżej jednak Marca, tym bardziej jałowiały autentyczne polemiki filozoficzne, tym bardziej miały one charakter zastępczy. Charakteryzując rewizjonizm, Jan Szewczyk pisał:

*Celowo postawił się on w pozycji doktryny niepotrzebnej społecznie, uprawianej jako sztuka dla sztuki, snobistycznej gry intelektualnej kontynuowanej przez wąski krąg oderwanych od głównego nurtu życia narodu literackich pięknoduchów i publicystów (op. cit., s. 122).*

Jest to oczywiście, delikatnie mówiąc, karykatura. W tym zaś, co karykatura ta chwyta ewentualnie z rzeczywistości, odwraca wszystko do góry nogami. Po pierwsze bowiem, coraz brutalniejsze ingerencje cenzury sprawiły, że autentyczne polemiki stawały się niemożliwe, przybierały charakter w najlepszym razie zastępczy. Istnieje zasadnicza różnica pomiędzy wolnością nauki rozumianą jako swoboda obiegu informacji wewnątrz społeczności naukowej a wolnością nauki rozumianą jako swoboda dialogu między uczonymi a społeczeństwem. Gdy nie ma tej ostatniej, życie naukowe, zwłaszcza w humanistyce, z konieczności jałowuje, przybiera maskę „gry intelektualnej”. Po drugie, jak ktoś, kto nie chciał uchodzić za uczestnika nagonki, polemizować mógł w kwestiach filozoficznych z autorem, z którym każda polemika, choćby najdalsza od spraw polityki, funkcjonować musiała jako atak polityczny czy też dawać alibi do takich ataków? Przygotowując się do tego referatu, przejrzałem zapis dyskusji w redakcji „Studiów Filozoficznych” nad książką Adama Schaffa *Marksizm a jednostka ludzka*. Odbywała się już ona po dyskusji, jaką zorganizowały nad nią „Nowe Drogi” stanowić miała jakąś odpowiedź na nią. Nieautentyczność tej dyskusji nad książką, która wywoływała wówczas tak ostro zarysowane różnice stanowisk politycznych, wydała mi się dziś jeszcze bardziej uderzająca niż wówczas.

Po Marcu 1968 roku było pod tym względem z pewnością nieporównanie gorzej. Dyskusje w ogóle przycichły, trwał mecz do jednej, w dodatku pustej, bramki. Chętnych strzelców nie brakowało.

## VII

Nie było rzeczą przypadku, że prezentując próbki ataków na koncepcję marksizmu otwartego odwołałem, się do tekstów Jarosława Ładosza i Jana Szewczyka. Teksty te bowiem można, przynajmniej w przybliżeniu, traktować jako reprezentatywne dla owych dwu koncepcji kontrreformacyjnych, jakie uwidoczniły się w Marcu na terenie filozofii akademickiej. Łączyło je z pewnością wspólne

z marksizmem instytucjonalnym rozumienie filozofii i jej funkcji społecznych.

Ale oto co pisze Ładosz w cytowanej już broszurze o artykule Jana Szewczyka pt. *Komunizm a polskość*, opublikowanym w czasopiśmie „Wychowanie” (1968 nr 8), które wówczas przeżywało swoje wielkie dni:

*Szewczyk jest jednym z nielicznych filozofów, którzy od dawna prowadzili potyczki z rewizjonizmem. W powyższym artykule podejmuje on również ostrą polemikę z rewizjonistycznym kosmopolityzmem. Jednakże, gdy analizujemy teoretyczną warstwę wywodów Szewczyka, ze zdumieniem stwierdzamy jej podobieństwo z wywodami Zimanda. [Chodzi o artykuł Romana Zimanda Uwagi o teorii narodu, „Studia Filozoficzne”, 1967 nr 44 – SA]. I on rozpatruje sprawę w płaszczyźnie, która wartość jest wyższa – naród czy klasa. I on dochodzi do wniosku, że empiria świadczy, że pierwsza. Ale wnioski wyciąga z tego odwrotne niż Zimand. Zimand boleje, że naród okazał się wyższy od klasy. Szewczyk próbuje zaakceptować sam fakt i uczynić go podstawą działań we współczesnym świecie. Zimand i Szewczyk przyjmują jednakowe błędne przesłanki, aby podbudować przeciwstawne dążenia polityczne (op. cit., s. 45–46).*

Mamy tu typowy przykład dialektycznej walki na dwa fronty. Ale Ładosz nie powiada, że z jego stanowiska polityczne dążenia Szewczyka są mu równie niemiłe jak Zimanda, jedno pachną mu „rewizjonistycznym kosmopolityzmem”, co stwierdza, drugie – narodowym szowinizmem, co taktycznie, przynajmniej w tym tekście, przemilcza. Przemilcza, bo w „ostatecznej instancji” przeciwnik jest wspólny. I on – wedle oceny Ładosza – stanowi główne niebezpieczeństwo „na aktualnym etapie walki klasowej”. Ten właśnie przeciwnik jednoczy obie tendencje marcowej kontrreformacji, dwa różne typy myślenia totalitarnego. Sojusz miał się okazać bardziej trwały, niż można by było przypuszczać. W każdym razie przeżył walkę z rewizjonizmem.

Na ten właśnie sojusz stawiał już w początku lat sześćdziesiątych Bolesław Piasecki, który tak oto pisze o formacji „patriotyczno-socjalistycznej”:

*Kierunkiem autorytatywnym partii jest kierunek formacji patriotyczno-socjalistycznej. Inne kierunki należy traktować jako sprzeczne z linią partii [...].*

*W formacji tej będzie coraz bardziej wzrastać niechęć do formacji liberalno-socjalistycznej, a trudności ekonomiczne będą przez nią traktowane*

*jako okazja do ograniczania wpływów tej ostatniej. Jest przecież rzeczą oczywistą, że w stosunkach między tymi formacjami istnieje pełna świadomość, że ich jedność w perspektywie rozwojowej jest niemożliwa [...] Formacja patriotyczna będzie ujawniać coraz silniejszą tendencję przemawiania do społeczeństwa z pozycji odpowiedzialności za państwo [...] Będzie wzrastała próba odwoływania się do odpowiedzialności narodowej [...] Wreszcie w ramach tej formacji wystąpi dążenie do prowadzenia aktywnej polityki kadrowej pomyślanej jako ograniczenie wpływów formacji liberalno-socjalistycznej (Bolesław Piasecki Siły rozwoju, Instytut Wydawniczy PAX, 1971, s. 10 i 11).*

Tekst ten pochodzi z przemówienia z 27 lutego 1960 r., wygłoszonego na zebraniu Zarządu Stowarzyszenia PAX. Nie sposób mu odmówić zdolności przewidywania.

### VIII

Przynosi więc Marzec w filozofii różne propozycje artykulacji marksizmu instytucjonalnego. W tym nowym ujęciu marksizm przestaje być teorią konfliktu społecznego, a staje się teorią jedności narodowej; traci do reszty swe zabarwienie uniwersalistyczne, które odziedziczył po myśli oświeceniowej, a stać się ma, jak to pisano, „filozofią narodu budującego socjalizm”.

W artykule *Filozoficzna analiza pojęcia ojczyzny* Janusza Kuczyńskiego czytamy:

*Można powiedzieć, że ludowładztwo i patriotyzm wyznaczają królewską drogę antropologii filozoficznej, najwłaściwszy sposób odpowiedzi na jej odwieczne kwestie i trudności, które teraz mogą i powinny być ujęte w inny sposób [...]*

*Oczywiste jest, że antropologia filozoficzna nie może się rozplýwać w wyszukiwaniu jedynie wspólnych problemów dla wszelkiego ludzkiego doświadczenia, że właśnie przede wszystkim musi uchwycić to, co jest szczególnie w naszym doświadczeniu („Studia Filozoficzne” 1969, z. 1, s. 47).*

U Kartezjusza, wyjaśnia autor, człowiek jest tożsamy z myśleniem, jego myślenie jest bowiem pierwszą dlań oczywistością. Ale kartezjańskie

cogito jest oczywiście indywidualistyczne i idealistyczne. Cogito człowieka budującego socjalizm ma być inne. Autor proponuje więc zaakceptować tezę Henryka Kamińskiego „tworzę, więc jestem” i powiada:

*Pierwszą oczywistością staje się natomiast dziś, tu i teraz, zarówno społeczna aktywność (tworzymy), jak i logicznie związana z nią wspólnota (jesteśmy) – rzeczywistość ta wyprzedza indywidualne poczucie tożsamości i umożliwia je (tamże, s.53)*

Teza ta nie jest – dodaje – tylko współczesną modyfikacją antropologicznie rozumianego cogito, ale jest też polemiką z próbami uniwersalnego stosowania tezy A. Camusa, który w *Człowieku zbuntowanym* powiadał: *W naszych codziennych próbach bunt gra tę samą rolę, co cogito odgrywaw szerze myśli. Jest pierwszą oczywistością... Buntuję się, więc jestem.*

Jeżeli dobrze rozumiem ten filozoficzny wywód, mający uzasadnić koncepcję marksizmu jako filozofii pracy wspólnoty narodowej, znaczy on tyle: w socjalizmie nie utożsamiamy się ze swym indywidualnym myśleniem, lecz z tworzeniem, z pracą. A jeśli pomiędzy jednym a drugim pojawia się jakiś konflikt, jeśli w pracy tej nie pojawi się świadomość wspólnoty i współodpowiedzialności, to powinniśmy pamiętać, że przynależność do wspólnoty jest pierwszą oczywistością, i do niej raczej dostosowywać myślenie, skoro nie nadąża ono jeszcze za bytem. Teza Camusa nie ma bowiem uniwersalnego zastosowania.

Podobną tendencję rozumienia marksizmu jako filozofii pracy wspólnoty narodowej, zupełnie jednak inaczej filozoficznie uargumentowaną, wysuwał również Jan Szewczyk we wspomnianym już poprzednio artykule *O istocie filozofii marksistowskiej*.

Chciałbym w tym miejscu uniknąć nieporozumienia. Nie wypowiadam się bynajmniej na temat, w jakim stopniu koncepcje te zgodne są z marksizmem, powiedziałem już bowiem uprzednio, że pytanie to ma sens jedynie na gruncie założenia, że istnieje jedna prawomocna interpretacja myśli Karola Marksa. Chciałem natomiast, o ile było to możliwe, zilustrować, na czym polegały owe kontrreformacyjne tendencje, które dać miały nowe zakorzenie marksizmu instytucjonalnego po kryzysie ideologicznym 1956 roku i walce z rewizjonizmem w latach 60

## IX

Marcowa próba aneksji całości życia kulturalnego, w tym filozoficznego, przez jedną doktrynę filozoficzną, uchodzącą za autentyczną wykładnię marksizmu, raczej się nie powiodła. To właśnie miałem na myśli uprzednio, powiadając, że żadna z tendencji kontrreformatorskich nie odniosła zwycięstwa.

Było to między innymi rezultatem tego, że (cytuję tu Epilog do III części *Głównych nurtów marksizmu* Leszka Kołakowskiego) *unieruchomiony przez dziesięciolecia jako ideologiczna nadbudowa totalitarnego ruchu politycznego, marksizm jak gdyby utracił kontakt zarówno z rozwojem intelektualnym, jaki się w tym czasie dokonywał, jak i z realnościami społecznymi. Nadzieja, że może być przywrócony do życia i nabrać ponownie płodności, okazała się krótkotrwała i próżna.*

W Polsce proces upadania tej nadziei przypieczętował właśnie Marzec 1968 roku. Przy czym, jak sądzę, przypieczętował go nie tylko dla rewizjonizmu, lecz również dla władzy.

Jeśli o rewizjonizm chodzi, to dwie najważniejsze w tej materii książki filozoficzne: *Obecność mitu* i pierwszy tom *Głównych nurtów marksizmu* Leszka Kołakowskiego napisane zostały jeszcze w Warszawie, to znaczy w 1968 roku. Można zadać sobie pytanie, czy gdyby nie represje marcowe, doszłoby do tego samego. Wydaje mi się, że tak, choć zapewne trwałoby to dłużej. Ale roku '68 w Czechosłowacji i '70 w Polsce rewizjonizm ideowo i tak przeżyć nie byłby w stanie. Jego klęska ideowa stawała się widoczna już przed wydarzeniami marcowymi, nie dlatego, że wartości, których bronił, zdeza-wuowały się – było wręcz przeciwnie, potrzeba ich obrony stawała się coraz bardziej dojmująca – lecz z tej racji, że sposób, w jaki próbował ich bronić, nadzieje na samozreformowanie się władzy od wewnątrz, okazały się iluzoryczne. Zasadnicze pytanie lat siedemdziesiątych brzmiało: „co uczynić ma społeczeństwo, by władza nie mogła rządzić po staremu?”, a nie: „za pomocą jakiej interpretacji doktryny Marksa można ją zreformować?”

Jeżeli zaś o marksizm instytucjonalny chodzi, to żadna z kontrreformacyjnych propozycji, każda zresztą z innych powodów, nie okazywała się funkcjonalna. Żadna na dłuższą metę nie mogła liczyć na szerszy odzew społeczny,



każda zaś stanowiła krępujący gorset ideologiczny dla władzy, która przekonana była, że potrafi bez tego sprawnie organizować nacisk administracyjny i że społeczeństwu tym łatwiej będzie wytrzymać ten nacisk, im mniej będzie on doktrynalnie zaangażowany, nie będzie bowiem w tych warunkach w społeczeństwie psychologicznych motywów do narażania się władzy. Ale żadna z tych propozycji nie została też zdezurowana, przeciwnie, pozostawały stale w odwodzie i przy każdym kolejnym kryzysie przypominały i przypominają o swoim istnieniu.

Tak czy inaczej, w życiu kulturalnym lat siedemdziesiątych panowała zasada „nie rozmawiać z motorniczym podczas jazdy”, to znaczy: zajmujcie się swoim, nie wtrącajcie się do polityki, resztę zaś załatwią naciski administracyjne, przede wszystkim cenzura. (Myślę, notabene, że upublicznienie książki zapisów cenzury było jednym z większych wstrząsów dla świadomości społecznej w latach siedemdziesiątych).

Filozofia więc, jak i cała kultura, żyła w tych latach w warunkach stosunkowo niewielkiej presji doktrynalnej, w każdym razie o wiele mniejszej, niżby zapowiadał rok 1968, ale zarazem w warunkach stale rosnącego nacisku administracyjnego, dyktowanego względami pragmatycznymi, tak jak je rozumiała władza, obracając się raczej na jałowym biegu wobec rzeczywistych problemów życia społecznego. To właśnie ten system nacisków administracyjnych stanowił sito selekcyjne decydujące o tym, co stanowić może przedmiot wymiany myśli między twórcami a społeczeństwem. Tak działało się przynajmniej do czasu, kiedy zrodziły się psychologiczne warunki narażania się władzy, kiedy społeczeństwo nie było już w stanie znosić administracyjnego nacisku. Nie przypominałam sobie, by w latach siedemdziesiątych toczyły się jakieś znacznie większe dyskusje filozoficzne czy ideologiczne wychodzące poza ramy zainteresowań wąskich grup specjalistów.

Bynajmniej nie uważam, że była to sytuacja nienormalna i że nie ukazywały się w tym czasie ważne książki czy prace. Z pewnością rozwinęły się badania nad historią polskiej filozofii i kultury, większe możliwości uzyskiwała filozofia katolicka. Znaczną rolę w integracji środowiska filozoficznego i artykulacji jego rozmaitych ukierunkowań odegrały środowiska „Znaku” i „Więzi”, pism, których łamy były otwarte dla ludzi, którzy gdzie indziej

publikować nie mogli. Ale ani nie jest tu moim celem przedstawiać aktualny obraz stanu filozofii w Polsce, zwłaszcza że nie wiemy, co leży w szufladach (miejmy nadzieję, że nie są puste), ani nie czuję się do kreślenia takiego obrazu kompetentny.

To wszakże, co było w tej sytuacji nienormalne, to właśnie unie-możliwianie za pomocą środków administracyjnych, dezintegrujących środowisko humanistyczne jako całość, by autentyczne osiągnięcia pracy filozoficznej wchodziły w obieg życia duchowego, kształtowały kulturę humanistyczną, refleksję ludzi nad ich sytuacją i życiem. Musiało to mieć, oczywiście, zwrotne skutki dla życia naukowego, jego intensywności w całej humanistyce. Życie publiczne, w którym wszystkie wartości traktowane są w sposób tak oczywisty jako instrumentalne, a często nawet pozorne, wpływać musiało zakaźnie na rzeczywiste zaangażowanie zarówno w badaniach, jak i nauczaniu.

W owej konfliktowej wielości, jaką jest filozofia, dokonały się z pewnością w tych latach przesunięcia, zmieniło się znacznie ustrukturuwanie. Większe miejsce niż kiedyś zajmuje w niej zainteresowanie fenomenologią i różnymi kierunkami hermeneutyki, filozofią katolicką. Mniejszy niż kiedyś obszar zajmuje w niej filozofia analityczna czy formalna metodologia nauk, niemal nieobecny jest marksizm. Trudno by było opisywać tę zmianę, a tym bardziej orzekać, w jakim stopniu to przesunięcie się zainteresowań jest rezultatem wewnętrznej logiki rozwoju problematyki filozoficznej, a w jakim stopniu zmian na mapie ideologicznych zainteresowań. Zapewne obydwa czynniki odgrywają tu jakąś rolę. Ale i to również nie należy do mojego dzisiejszego tematu.

Kończąc, chciałbym wyrazić przekonanie, że prace Komisji Senackiej badającej represje marcowe oraz uchwała Senatu Uniwersytetu Warszawskiego w sprawie wydarzeń marcowych, w których wyniku filozofia na tym uniwersytecie ucierpiała zapewne najbardziej, sprzyjają oczyszczeniu atmosfery i stwarzają nadzieję, że filozofia pełnić w nim będzie mogła tę funkcję, do jakiej jest przede wszystkim powołana: budować krytyczną samowiedzę społeczeństwa o sobie, o swoich wytworach intelektualnych i o życiu codziennym.

Te wartości bowiem, o które się toczyła walka w Marcu, pozostają dziś nie mniej aktualne, niż były 15 lat temu, i nie mniej godne obrony i realizacji.

■ **Stefan Amsterdamski** (1929 – 2005), filozof i historyk nauki, nauczyciel akademicki; po wydarzeniach Marca 1968 usunięty ze stanowiska dziekana Wydziału Historyczno-Filozoficznego Uniwersytetu Łódzkiego. Współzałożyciel i wykładowca Towarzystwa Kursów Naukowych i członek jego Komisji Programowej, po 1981 działacz podziemnego Społecznego Komitetu Nauki „Solidarność”. Uczestnik Okrągłego Stołu, od 1991 profesor w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, gdzie współorganizował Szkołę Nauk Społecznych i kierował nią do 2004 r. Autor prac z dziedziny filozofii nauki, metodologii i socjologii wiedzy (m.in. *Tertium non datur. Szkice i polemiki*, 1994), tłumacz książek naukowych.



## Władysław Krajewski

### Skutki Marca dla filozofii polskiej

Temat referatu będzie szerszy, niż zapowiedziany, a mianowicie: *Filozofia przed Marcem i po Marcu*. Doszedłem bowiem do wniosku, że należy powiedzieć więcej o tym, o czym dotychczas mało mówiono – o prehistorii Marca. Zacznę od okresu przedwojennego.

Nie wiem, czy inni filozofowie się ze mną zgodzą, ale osobiście sędzę, że w okresie międzywojennym polska filozofia, a także socjologia, przeżywała rozkwit. Mieliśmy wielkich logików, takich jak Jan Łukasiewicz, Stanisław Leśniewski, Alfred Tarski, należących do czołówki światowej myśli logicznej. Mieliśmy w filozofii szkołę lwowsko-warszawską, która odegrała dużą rolę nie tylko w polskiej, ale i w europejskiej myśli filozoficznej w ramach nurtu filozofii analitycznej. Szkołę tę założył Kazimierz Twardowski, kontynuowali ją jego uczniowie: Tadeusz Kotarbiński, Kazimierz Ajdukiewicz, Tadeusz Czeżowski, Izydora Dąbska, a następnie ich uczniowie. Mieliśmy silną filozofię katolicką, a w szczególności szkołę tomistyczną w KUL-u. Mieliśmy szkołę fenomenologiczną, której twórcą był Roman Ingarden, najwybitniejszy po Husserlu reprezentant szkoły fenomenologicznej w skali światowej. Mieliśmy wybitnych filozofów poza tymi szkołami, jak np. Władysław Tatarkiewicz, który napisał jeden z najlepszych na świecie podręczników historii filozofii, a zajmował się, jak wiadomo, też estetyką. Mieliśmy, jeśli mowa o estetyce, tak różne i barwne indywidualności, jak Witkacy czy Chwistek. W zakresie etyki mieliśmy takiego głębokiego myśliciela, jak Maria Ossowska. Filozoficznymi zagadnieniami prawa zajmował się Leon Petrażycki, filozoficznymi zagadnieniami psychologii – Władysław Witwicki. Wreszcie mieliśmy wybitnych socjologów, którzy w dużej mierze zajmowali się również filozofią życia społecznego; byli to Bronisław Malinowski (co prawda, pracował on poza

Polską, ale był z nią zawsze ściśle związany), Ludwik Krzywicki, Florian Znaniecki, Stefan Czarnowski, Stanisław Ossowski, aby wymienić tylko najwybitniejszych. Niewiele jest krajów, które mogłyby się poszczycić taką plejadą wybitnych logików, filozofów i socjologów w tym czasie.

Po wojnie, mimo bolesnych strat, filozofia polska zaczęła się odradzać w dawnym blasku. Nadal nauczali i publikowali Kotarbiński, Ajdukiewicz, Czeżowski, Ingarden, Tatariewicz, Dąbska, Ossowscy. Wznowiono przedwojenne pisma filozoficzne i socjologiczne, wydawano prace polskich i obcych filozofów. Rozwijała się nadal filozofia katolicka. Pojawił się prawie nieobecny przedtem w polskim życiu filozoficznym marksizm. W tych latach toczyły się żywe dyskusje, polemiki w szczególności pomiędzy marksistami a tomistami, np. między Adamem Schaffem a ks. Kazimierzem Kłóską. Były to rzeczywiste polemiki, w których obie strony krytkowały się nawzajem. Ja sam, rozpoczynając wówczas swoją działalność filozoficzną, też włączyłem się jako początkujący filozof–marksista do polemiki z filozofią katolicką; pierwszy mój większy artykuł w tygodniku to była polemika z ks. Oborskim, który dowodził, że materializm jest wiarą. Dzisiaj na to patrzę z dużego dystansu. Ks. Oborski, co prawda, przedstawił marksizm w bardzo prymitywny sposób, ale ja wówczas przedstawiłem tomizm i religię również prymitywnie. Później w „Tygodniku Powszechnym” ukazała się notatka, w której cytowano moje niezbyt fortunne powiedzenie, że religia jest czymś przeciwnym logice i doświadczeniu, i zauważono, że gdybym trochę pomyślał, tobym takich śmiesznych rzeczy nie pisał. Pamiętam, że krytykowano tam wtedy Schaffa. Napisał on, że Berkeley był solipsystą, na co „Tygodnik Powszechny” zareagował, pisząc: „Czy marksiści nie mogliby się lepiej nauczyć historii filozofii?”. Był to rok 1948.

W latach 1949–1950 nastąpiło gwałtowne załamanie się życia filozoficznego w naszym kraju, związane z procesem, który można nazwać stalinizacją albo też totalizacją całego naszego życia duchowego. W zakresie filozofii marksizm uzyskał monopol instytucjonalny, jeśli chodzi o nauczanie, chociaż bardzo niewielu marksistów było do tego jako tako przygotowanych. Monopol ten, co prawda, nie był całkowity, gdyż były wyłączone z niego uczelnie chrześcijańskie. Na pozostałych zaczęto usuwać z katedr niemarksistów. Jeśli

chodzi o tych, którzy zajmowali się również logiką, jak Kotarbiński, Ajdukiewicz, Czeżowski, to ich katedry filozofii zostały przemianowane na katedry logiki; wolno im było wyklądać tylko logikę formalną. Inni, jak Tatarkiewicz, Ingarden, Dąbmska, zostali w ogóle usunięci z uczelni. Pozostawiono im, co prawda, ich pobory i zlecono tłumaczenie i redagowanie klasycznych dzieł filozoficznych w ramach utworzonej wówczas (w tym właśnie m.in. celu) Biblioteki Klasyków Filozofii. Nie było to jeszcze najgorszym rozwiązaniem – znamy gorsze. W każdym razie jednak było to odsunięcie tych ludzi od nauczania i w zasadzie, od publikowania. Publikowali głównie marksiści, z wyjątkiem wydawnictw katolickich, które zresztą podlegały różnym ograniczeniom.

Zlikwidowano takie czasopisma filozoficzne, jak „Przegląd Filozoficzny” i „Kwartalnik Filozoficzny”. Zlikwidowano, oczywiście, czasopisma socjologiczne, samo słowo „socjologia” było wyklęte. Wówczas bowiem u nas, śladem ZSRR, nie uznawano socjologii, traktowano ją jako naukę „burżuazyjną”. W 1951 r. zaczęła wychodzić „Myśl Filozoficzna”, kwartalnik występujący po szyldem marksizmu-leninizmu, chociaż czasami udostępniający swoje łamy również niemarksistom.

Czym zajmowali się wówczas filozofowie-marksiści? Głównie popularyzacją filozofii marksistowskiej w jej dogmatycznej, stalinowskiej postaci, i krytyką „filozofii burżuazyjnej”. W krytyce tej celował szczególnie utworzony w 1950 r. przy KC PZPR Instytut Nauk Społecznych. Główny ogień skierowano w nim przeciwko szkole lwowsko-warszawskiej, zwłaszcza przeciwko stosowanej i propagowanej przez nią metodzie semantycznej. Metodę tę nazywano „idealistyczną semantyką”, gdyż rzekomo zamiast tego, aby zajmować się rzeczywistością, zajmowała się tylko językiem. Napisano szereg prac mających na celu „demaskowanie” reprezentantów tej szkoły: Henryk Holland tropił idealizm u Kazimierza Twardowskiego, Adam Schaff u Kazimierza Ajdukiewicza, Bronisław Baczek u Tadeusza Kotarbińskiego, co prawda uznając, że są u niego pewne „elementy” materializmu. Inni filozofowie krytykowali też „filozofię burżuazyjną” w Polsce i na świecie. Czynili to, poza wymienionymi, Marek Fritzhand, Czesław Nowiński, Tadeusz Kroński, Jarosław Ładosz i inni, w tej liczbie mówiący te słowa. Niektórzy

specjalizowali się w walce z filozofią chrześcijańską, którą prowadzono w sposób podobnie prymitywny: Leszek Kołakowski, Andrzej Nowicki, Mieczysław Maneli, z nieco młodszej generacji – Tadeusz Jaroszewski, Tadeusz Mrówczyński, Janusz Kuczyński.

Jeśli chodzi o najbliższą mi filozofię nauk przyrodniczych, to śladem filozofii radzieckiej wyrokowaliśmy o tym, jakie teorie są dobre, czyli materialistyczne, a jakie złe, czyli idealistyczne lub mechanistyczne. W szczególności w biologii propagowaliśmy koncepcję Łysenki, krytykując tzw. „formalną genetykę”. Krytykowaliśmy też cybernetykę, teorię rezonansu w chemii, pewne koncepcje fizyki; a w szczególności relatywistyczną kosmologię. Czynień to wszyscy filozofowie marksistowskie, którzy z naukami przyrodniczymi mieli do czynienia. Jeśli chodzi o filozoficzne zagadnienia biologii, to w tym szczególnie aktywni byli wspomniany już Czesław Nowiński i Zdzisław Kochański, ale również Helena Eilstein, Stefan Amsterdamski, ja i wielu innych. Nie umniejsza naszej winy, że propagowali u nas wówczas koncepcje Łysenki liczni biologowie, w szczególności partyjni, ale i niektórzy bezpartyjni, jak np. prof. Jan Dembowski. Dzisiaj się to może wydać niepojęte, ale tak było.

Na szczęście ten ponury okres nie trwał długo. W roku 1956 nastąpił zasadniczy zwrot w filozofii, jak i w całej naszej kulturze, zwrot, który można nazwać destalinizacją albo detotalizacją. Powołano wówczas na katedry wszystkich odsuniętych przedtem profesorów. Co prawda, pozwolono im tylko kształcić filozofów, a masowe wykłady dla innych wydziałów mieli marksiści, w zasadzie członkowie partii. Ale zaczęliśmy to robić już zupełnie inaczej. Zmienił się tytuł wykładanego przedmiotu i jego charakter. W okresie stalinowskim wprowadzono na wszystkich uczelniach, wzorem radzieckim, przedmiot „Podstawy marksizmu-leninizmu”, w którego ramach uczono materializmu dialektycznego i historycznego, wedle schematu stalinowskiego, zawartego w *Krótkim kursie WKP(b)*.

W roku akademickim 1956–1957 wprowadzono na to miejsce przedmiot o nazwie „Główne kierunki i zagadnienia filozofii”. Była to zmiana nie tylko nazwy. Wszyscy, lub prawie wszyscy, głęboko przeżyliśmy przełom październikowy. Staraliśmy się poznać literaturę filozoficzną wychodzącą na Zachodzie i przedstawiać, w miarę możliwości obiektywnie, rozmaite kie-



runki filozofii, a marksizm dopiero na ich tle. Skończyła się już nagonka na inne kierunki. Adam Schaff, który przedtem ostro krytykował idealistyczną semantykę, w wydanej w 1958 r. książce *Wstęp do semantyki* mówił wiele o zasługach szkoły lwowsko-warszawskiej.

Podobna zmiana zaszła u innych. Byli, co prawda, marksiści, którzy niewiele się zmienili, jak chociażby wspomniany przez poprzedniego referenta Jarosław Ładosz, ale był to raczej wyjątek. Znaczna większość była za wolnością dla wszystkich kierunków filozoficznych. Chociaż uważaliśmy się nadal za marksistów, sądziliśmy, że marksizm powinien wykazywać swoją wyższość w swobodnej dyskusji z innymi kierunkami, nie zaś metodami administracyjnymi, jak to się działo przedtem.

Powstało czasopismo „*Studia Filozoficzne*”, które już nie miało szyldu marksistowskiego, przeciwnie, w pierwszym numerze była zachęta do współpracy dla różnych kierunków filozoficznych.

Wkrótce po Październiku sytuacja w kraju zaczęła jednak zmieniać się na gorsze. Władysław Gomułka, który na VIII Plenum w październiku 1956 r. wygłosił ładny referat krytykujący kult jednostki i dogmatyzm, pół roku później, na IX Plenum, wystąpił z atakiem na rewizjonizm filozoficzny, w szczególności na Leszka Kołakowskiego, który już wtedy był uznany za głównego rewizjonistę. Wymienił też parę innych nazwisk, jak Wiktor Woroszyński i Roman Zimand. W tym właśnie referacie Gomułka wygłosił słynne zdanie, że „dogmatycznej grypy nie leczy się rewizjonistyczną gruzlicą”. To zdanie z lubością później cytowali radzieccy propagandziści, którzy wtedy stracili ostatnie wątpliwości co do prawomyślności ideologicznej Gomułki.

Stopniowo zaczęła się zakręcać śruba cenzury, głównie w sprawach politycznych, co rzutowało jednak na filozofię i na całą humanistykę. Pamiętam, jak np. zaczęto tępić takie słowa, jak „stalinizm”, jak „beriowszczyzna”. Przypominam sobie, że gdy w jednym artykule napisałem o „beriowszczyźnie”, to mi ten ustęp wykreślono. Potem próbowałem jeszcze się spierać, gdyż Polska była takim dziwnym krajem, w którym można było dyskutować z cenzorem, w krajach sąsiednich było to zupełnie nie do pomyślenia. Pamiętam, że Helena Eilstein, która była redaktorem „*Studiów Filozoficznych*”, nieraz dzwoniła na Mysią i wyklócała się z cenzorami; czasami udawało jej się coś wytargo-

wać. Mnie się to nie udało. Ówczesny zastępca szefa cenzury Łazebnik powiedział mi, że „beriowszczyzna” teraz nam nie grozi i dlatego pisać o niej nie potrzeba.

Na uczelniach przedmiot „Główne zagadnienia i kierunki filozofii” przetrwał tylko cztery lata. W roku 1960 nastąpiła zmiana i narzucono nam znowu nazwę, w której figuruje marksizm. Uczynił to ówczesny kierownik Wydziału Nauki i Oświaty KC Andrzej Werblan. Pamiętam, że wiosną 1960 r. zebrał on nas, a mianowicie tzw. Podkomisję Filozoficzną Komisji Nauki KC, na zebranie, na którym ogłosił, że musimy wyklądać filozofię marksistowską, tak jak się to robi w krajach sąsiednich. Myśmy zaczęli z nim dyskutować. Jeden za drugim kolejno mówiliśmy, że jeśli nazwa „marksizm” będzie w tytule, to będzie źle z różnych względów. Wysuwaliśmy argumenty merytoryczne, mówiąc, że studenci powinni poznać różne kierunki filozoficzne, i argumenty taktyczne, mówiąc, że jeżeli chcemy przekonać studentów do marksizmu, to łatwiej to będzie uczynić, jeżeli pokażemy na tle innych kierunków filozoficznych wyższość marksizmu, gdy zaś od razu wystąpimy tym szyldem, to ich tylko zniechęcimy. Pod tym względem wszyscy uczestnicy zebrania byli jednomyślni, nie wyłączając Ładosza. Ale na Werblanie to żadnego wrażenia nie wywarło. Oświadczył, że jednak zmiana nazwy nastąpi. Początkowo chciał nazwać przedmiot „Podstawy filozofii marksistowskiej”. Zaczęliśmy oponować, wskazując, że słowo „podstawy” kojarzy się z „Podstawami marksizmu-leninizmu” wykładanymi w okresie stalinizmu. Wtedy zgodził się na to, by przedmiot nazywał się „Główne zagadnienia marksistowskiej filozofii”. Pamiętam, że potem, wychodząc z tego zebrania, mówiliśmy, że to jest wszystko, co nam zostało z Października: możemy uzyskać zmianę słowa „Podstawy” na „Główne zagadnienia”.

Jednak mimo tej zmiany tytułu w wykładach zmieniło się niewiele. Nadal staraliśmy się przedstawiać różne kierunki filozofii, może tylko trochę bardziej niż przedtem akcentując filozofię marksistowską. Ta sytuacja trwała i właściwie trwa nadal, w każdym razie jeżeli chodzi o czołowe uniwersytety w kraju. Wiem, że w innych uczelniach wygląda to gorzej. U nas w każdym razie nikt nie żądał od wykładowców, aby dostosowywali treść wykładu do tytułu i dogmatycznego programu, które dało nam Ministerstwo.

Do roku 1968 wszystko to nie odbijało się szczególnie na życiu naukowym w filozofii i w innych naukach. Wszyscy nadal wykładali, nikogo nie usuwano z uczelni, na ogół wszystkie książki mogły się ukazywać – naturalnie wówczas, gdy nie dotyczyły drażliwych zagadnień politycznych.

Wspomnę następnie o sprawie, o której już na tej sali mówiono – o nagonce na Episkopat w roku 1966. W końcu 1965 r. biskupi polscy wystosowali do biskupów niemieckich list z apelem o pojednanie, w którym figurowały ewangeliczne słowa: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Partia zorganizowała wtedy kampanię pod hasłem „Nie zapomnimy”. Kampania ta odwoływała się do uczuć antyniemieckich, które w Polsce zawsze były silne. Nie sprzyjała ona dialogowi pomiędzy katolikami a marksistami. Co prawda i przedtem tego dialogu prawie nie było, ale stopniowo sytuacja do dialogu dojrzewała. Akcja 1966 r. uniemożliwiła nawiązanie dialogu. Dopiero w latach 70. dialog między marksistami a katolikami zaczął się rozwijać.

W ten sposób dochodzę do roku 1968, do wydarzeń marcowych, które są głównym tematem naszej sesji. Nie będę opowiadał o przebiegu tych wydarzeń i nawet o przebiegu ich w filozofii. O tym już wiele było mowy na tej sali, również i dzisiaj. Jak wiadomo, zaczęła się wielka nagonka na rewizjonizm i syjonizm. Jeśli chodzi o pisma naukowe, jak „Studia Filozoficzne”, to tam o syjonizmie raczej nie mówiono, ograniczając się raczej do rewizjonizmu (oczywiście chodzi o nową, pomarcową redakcję).

Można się zastanawiać nad tym, co to jest rewizjonizm. Chcę tutaj o tym powiedzieć kilka słów, trochę inaczej może to widząc, niż mój przedmówca. Zgadzam się z tym, że rewizjonistami nazywano tych, którzy mieli własne poglądy, odbiegające od oficjalnej linii. Chcę tylko podkreślić jedną rzecz: decydowały tu nie poglądy filozoficzne, ale postawa polityczna. Tak było i w Związku Radzieckim, i w całym ruchu komunistycznym. Jeżeli ktoś wychylił się politycznie, jeżeli ktoś w jakimś punkcie wykroczył przeciwko linii partii lub skrytykował jakieś posunięcie partii, wtedy spieszenie wyszukiwano u niego potknięcia filozoficzne, odejście od schematów ortodoksji – kiedy się chciało, zawsze można było to znaleźć – i nazywano go rewizjonistą. Natomiast ktoś, kto zawsze był lojalnym członkiem partii, kto głosował zawsze, jak trzeba, i popierał politykę kierownictwa partyjnego, wła-

ściwie mógł w filozofii pisać, co chciał. Najwyżej go łagodnie krytykowano, a częściej w ogóle przemilczano jego odstępstwa od ortodoksji w filozofii. Nie przeczę temu, że ludzie nazywani rewizjonistami najczęściej odchodzili daleko, w różny zresztą sposób, od schematów instytucjonalnej filozofii. Chcę tylko podkreślić, że byli to przede wszystkim ludzie, którzy popadli w konflikt z partią w płaszczyźnie politycznej. Byli to, jak już zauważył mój przedmówca, reprezentanci różnych szkół filozofii marksistowskiej, zarówno tej szkoły, którą w swoim czasie nazwałem (w artykule z 1962 r.) szkołą antropologiczno-humanistyczną, jak i tej, którą nazwałem szkołą scjentyistyczną. W 1968 r. atakowano reprezentantów obu tych orientacji, a więc takich filozofów należących do orientacji antropologicznej, jak Leszek Kołakowski, Bronisław Baczko, Krzysztof Pomian jak i filozofów należących do orientacji scjentyistycznej, jak Helena Eilstein, Stefan Amsterdamski, Zdzisław Kocharński, Irena Szumilewicz. Natomiast atakujący w filozofii czasem nie mieli nic do powiedzenia, ale czasem mieli coś niecoś do powiedzenia, a wówczas zajmowali też bardzo różne stanowiska filozoficzne. Niektórzy byli nastawieni raczej antropologicznie, inni raczej scjentyistycznie, jeszcze inni inaczej, np. próbowali łączyć marksizm z fenomenologią, jak wspomniany tu Jan Szewczyk. Ale skoro byli partyjnie „na linii”, nikt nie zwracał uwagi, jak interpretują filozofię marksistowską. Rewizjonistami nie byli, przeciwnie – byli bojownikami przeciwko rewizjonizmowi. Stąd płynie morał, że nie ma związku między stanowiskiem filozoficznym a postawą polityczną. Ważna jest ta ostatnia.

Jak wiadomo, w Marcu usunięto z UW 6 profesorów i docentów, wszyscy na pewno znają ich nazwiska, więc ich nie wymieniam. Usunięto też wielu innych ludzi z różnych stanowisk. Chodziło nie tylko o filozofów. Np. znanego filologa Stefana Żółkiewskiego, który demonstracyjnie solidaryzował się ze studentami strajkującymi w Marcu, zwolniono z Uniwersytetu Warszawskiego i usunięto ze stanowiska sekretarza Wydziału I PAN; Adama Schaffa, który co prawda nie solidaryzował się ze studentami, ale który był autorem książki *Marksizm a jednostka ludzka*, uznanej za rewizjonistyczną, usunięto ze stanowiska dyrektora Instytutu Filozofii i Socjologii PAN i skłoniono do wycofania się z Uniwersytetu; Helenę Eilstein, która też była uznana za rewizjonistkę i zresztą sama wystąpiła z partii parę miesięcy wcześniej, usunięto

ze stanowiska redaktora „Studiów Filozoficznych”. Czystka przeniosła się na szereg innych uczelni. Stefana Amsterdamskiego zwolniono z Uniwersytetu Łódzkiego, Irenę Szumilewicz z jednej z uczelni gdańskich. Na ich miejsce przychodzili inni ludzie lepiej widziani przez władze, z tym że jedni robili to chętnie, a niektórzy z oporami. Pisałem o tym, przytaczając wiele nazwisk, w artykule umieszczonym w drugim numerze „Solidarności UW”, toteż nie będę się powtarzał. Chcę powiedzieć jednak o jednej rzeczy, o której też pisałem, ale która wydaje mi się szczególnie ważna.

Otóż w Marcu 1968 r. w cenzurze zarysowało się nowe zjawisko, a mianowicie cenzura podmiotowa. Sporządzono listę nazwisk ludzi, których nie wolno było wówczas publikować. Co więcej, nie wolno było ich cytować, w ogóle ich wspominać, chyba, że poddawało się ich zasadniczej, jednoznacznej krytyce. Lista ta kursowała w PWN. W tym wydawnictwie przeprowadzono wtedy gruntowną czystkę „rasowo-polityczną”, a raczej dwie czystki, jedną w marcu, a druga parę miesięcy później. Nowe kierownictwo PWN zażądało w marcu, ażeby nawet z książek, które są już zredagowane, usunąć wszystkie inkryminowane nazwiska. Nie wszyscy się chcieli na to zgodzić. Kierownik redakcji filozofii, Hanna Rosnerowa, powiedziała, że nie będzie tego robiła, a wtedy została natychmiast zwolniona z pracy. Do tego sprawa się nie ograniczyła. Niektóre gotowe już książki niszczone. A więc II tom *Słownika filozofów* – gdzie zarówno autorami, jak i bohaterami, byli w dużej mierze filozofowie wówczas atakowani – nie został wydrukowany, przetopiono gotowe już matryce. To samo stało się z książką Krzysztofa Pomiana *Historia jako przedmiot wiedzy*. Ale szczytowym wyczynem było oddanie na przemiał podręcznika filozofii pod redakcją Stefana Amsterdamskiego, który był też autorem większości rozdziałów. Czytałem go w maszynopisie i sądzę, że chociaż na pewno nie był on doskonały, to był lepszy od innych podręczników filozofii, jakie były u nas wydane, zarówno przedtem, jak i potem. Pech chciał, że druk zakończono właśnie w Marcu. Cały gotowy już nakład oddano na przemiał (o ile wiem, tylko dwa egzemplarze się uratowały). Było to zdarzenie w naszej kulturze bez precedensu. Nasuwała się analogia do wydarzeń w innym kraju, mianowicie w Niemczech po dojściu do władzy Hitlera w roku 1933, kiedy, jak wiadomo, na placach palono na stosach

książki autorów żydowskich i antyfaszystowskich, poczynając od Heinego, a kończąc na Ossietzkim. Co prawda, istniały też istotne różnice. W Niemczech robiono to jawnie, publicznie, demonstracyjnie, w Polsce zaś po cichu, po kryjomu, wstydliwie. Różnica ta nie jest przypadkowa. Wyczyny te były zgodne z ideologią faszyzmu – rasistowską, antyhumanistyczną i irracjonalistyczną, opartą na kulcie siły – natomiast sprzeczne z głoszoną u nas ideologią socjalistyczną, marksistowską, która jest ze swej istoty internacjonalistyczna, humanistyczna, racjonalistyczna, głosi kult nauki. Ale słowa rozmięły się z czynami.

Jeśli chodzi o skutki wydarzeń marcowych, to była już o nich mowa w pierwszym referacie. Wydarzenia te wyrządziły wiele szkody polskiej filozofii. Wielu ludzi musiało wyemigrować; ci ludzie u nas „nie istnieli”, nie byli drukowani i mogli dojść do głosu dopiero w nieoficjalnym obiegu. Cenzura, mimo różnych zygzaków, stopniowo się zaostrzała, szczególnie w końcu lat 70. Oczywiście, filozofia polska nie zatrzymała się, rozwijały się rozmaite kierunki, zarówno różne wersje marksizmu, jak i różne szkoły niemarksistowskie, jak tomizm i fenomenologia. Jednakże rozwój ten już odbywał się w zagęszczającej się atmosferze i był coraz bardziej krępowany. Niesłuchanie trudno jest nadrobić straty, jakie pociągnął za sobą Marzec. Ale sytuacja zmieniła się zasadniczo po Sierpniu 1980 r. I mam nadzieję, że zmiana ta będzie trwała i że uda się przezwyciężyć te ograniczenia, które jeszcze dotychczas istnieją. I może kiedyś polska filozofia będzie znowu przeżywała taki rozkwit, jaki notowaliśmy przed półwieczem.

■ **Władysław Krajewski** (1919 – 2006), historyk filozofii, nauczyciel akademicki, profesor Uniwersytetu Warszawskiego; zajmował się filozofią nauki i metodologią, jego poglądy ewoluowały od ortodoksyjnego marksizmu do krytycznego racjonalizmu. Autor rozpraw i szkiców oraz podręczników uniwersyteckich.

## Ian Józef Lipski

### Kwestia żydowska

Proszę Państwa, znajduję się w trudnej sytuacji i dosyć niewdzięcznej. Po pierwsze, mam omówić problem bardzo obszerny, a przecież nie mam na to za wiele czasu; po drugie, będę mówił o sprawach, które budzą, jak wszyscy wiemy, dużo emocji. O niektórych z tych spraw Państwu będzie ciężko słuchać, a zapewniam, że mnie o niektórych będzie ciężko mówić. Jednak chciałbym przedstawić obraz sytuacji, tak jak potrafię najlepiej i najuczciwiej. Muszą mi Państwo wybaczyć – przede wszystkim ci lepiej ode mnie znający się na problemach, o których będę mówił – iż wiele spraw będzie zaznaczonych wyłącznie jednym czy dwoma zdaniami. Gdybym obrał metodę inną, podjął próbę głębszego drążenia spraw, które na to zasługują, przeciągnęłoby się chyba to zagajenie ponad możliwości dzisiejszego zebrania. Być może, że nie zawsze zresztą starczyłoby mi kompetencji, by wejść w problematykę tak głęboko, jak ona na to zasługuje.

Naszym punktem wyjścia jest określona data, określony dzień: 8 marca 1968 r. Jak Państwo wiedzą, a wielu z nas pamięta, jest to data wiecu studenckiego, a następnie wkroczenia na teren Uniwersytetu ORMO i wielkiego pahlowania studentów, które było wstępem do wielotygodniowych zająć nie tylko w Warszawie, ale i w wielu innych miastach Polski, gdzie były wyższe uczelnie. Otóż bardzo szybko pojawiło się w prasie – która z początku omawiała te wydarzenia bardzo enigmatycznie, tak że trudno było zrozumieć komuś, kto nie wiedział skądinąd, co się naprawdę wydarzyło – bardzo szybko pojawiło się słowo „syjonizm”. Nie 9 marca, ale już w następnym numerze gazety słowo to zaczęło królować. Nie dla wszystkich było to zaskoczeniem, gdyż tego rodzaju akcenty i tego rodzaju linia propagandowa była na łamach naszej prasy łatwo zauważalna wcześniej, ale ponieważ nie w tym stężeniu, nie w tak ogromnej koncen-

tracji, więc dla ludzi, którzy prasę czytują mniej uważnie, może to nie było tak zauważalne. Dla każdego, kto dokładnie czytał prasę, nie było jednak zaskoczeniem, iż słowo „syjonizm” zaczęło na łamach prasy królować. W „Trybunie Ludu” po paru dniach, 15 marca, ukazał się nawet cały artykuł pod tytułem *Co to jest syjonizm*, który – jak na ów moment, na ów czas, na to, co można wtedy było w prasie wyczytać – robił zupełnie dobre wrażenie, choć wiele miałbym mu do zarzucenia. Wyjaśniał on, co znaczy słowo „syjonizm”. Mowa w tym artykule o tendencji ideowej, która się pojawiła jeszcze w XIX w. wśród Żydów, by mieć własne państwo, zbudować własne państwo; dodano jeszcze, iż oczywiście dążeniem syjonistów, a więc Żydów, którzy mieli tego rodzaju koncepcję budowy własnego państwa, było budzenie poczucia narodowego żydowskiego i budzenie potrzeby posiadania własnego państwa. Mnie się wydaje, że syjonizm to właśnie jest coś w tym rodzaju, jeżeli rzecz traktować oczywiście bardzo skrótowo. Niemniej wiedzą wszyscy, którzy prasę tę czytali, że słowo to swój zakres niezwykle poszerzyło, w sposób niekiedy zupełnie fantastyczny, i dosyć szybko tendencja używania tego słowa została uchwycona przez kawał, który obiegił wtedy Warszawę: „Mój drogi – pyta jeden redaktor jakiejś gazety drugiego – powiedz, jak się właściwie pisze *syjonizm*? Kolega odpowiada: – Nie wiem, jak to się pisze dziś, nie jestem pewny, ale przed wojną pisało się przez samo *ż*”. I to był, w największym skrócie, kierunek, w którym poszła publicystyka, odchodząc od słownikowego terminu, skądinąd od dawna znanego, w szczególności historykom i dziennikarzom, terminu oczywiście niezwykle potrzebnego, gdyż coś takiego jak syjonizm istniało od dawna, istnieje i niejednokrotnie warto i można o tym poważnie pisać. Ale intencja używania i nadużywania tego terminu w marcu 1968 r. była inna. Mianowicie powstał pewien pomysł strategiczny, towarzyszący walce o władzę, by połączyć frazeologię patriotyczną z kampanią antysemitką, pomysł, że jest poważna możliwość, iż grupa, która tego rodzaju zabiegi zastosuje, będzie miała zwiększone szanse zdobycia aplauzu społecznego. Ci, którzy ten pomysł strategiczny wymyślili, liczyli na to, że mieszanka ta nie jest zupełnie obca Polakom i że w związku z tym można sobie wyobrazić, iż w ten sposób – przez odwołanie się do pewnych istniejących sytuacji w świadomości ludzkiej, przez odwołanie się do kontynuacji jakichś postaw ideowych – dużo się uzyska.



Kto do tej gry przystąpił? My, starsi, pamiętamy, iż wówczas, na początku lat sześćdziesiątych, powstał nowy układ sił politycznych, który zastąpił październikowy podział w partii na grupę natolińską i grupę puławską podziałem nowym: mianowicie duża część partyjnego establishmentu wywodząca się z tzw. grupy puławskiej okresu październikowego, która odgrywała nadal w aparacie partyjnym i rządowym, w ogóle w życiu politycznym Polski, dużą rolę, zaczęła – nie od razu tak gwałtownie, ale bardzo systematycznie – być atakowana przez ugrupowanie nowe, które było wówczas nazywane „partyzantami” i które od początku próbowało, w sposób znacznie jeszcze ostrożniejszy niż w Marcu, szermować tymi dwoma elementami: frazeologią patriotyczną i antysemityzmem; z tym, że na samym początku tendencji antysemitycznych trzeba było tam szukać niejednokrotnie z dużą wytrwałością, początek nie od razu był taki przejrzysty i odczytywali to tylko ludzie, którzy mieli pewne wyczulenie czy pewien trening, jak na przykład ja, który, jako badacz, interesowałem się m.in. historią polskiego antysemityzmu okresu międzywojennego.

Przeważała zrazu frazeologia patriotyczna, która miała wszelkie szanse dobrego odbioru z bardzo prostego powodu: w tym kraju przez dziesiątki lat obrażano godność narodową Polaków przez fałszowanie historii, przez usiłowanie zhańbienia spraw, które dla nas wszystkich były bardzo drogie i w których moje pokolenie brało czynny udział. Fałszowano historię wojny, przedstawiano w fałszywym świetle obraz II Rzeczypospolitej, września 1939 r., walk polskiego żołnierza na Zachodzie, AK, Batalionów Chopskich, Powstania Warszawskiego itd. Wytworzyła się w świadomości sytuacja, która dawała poważne szanse każdemu, kto odwoła się do frazeologii patriotycznej, że to, co głosi, zostanie bezkrytycznie uchwycone wraz z tym, co do tego uda się dobudować zręcznym propagandystom.

W rzeczywistości był to rezultat konfliktu dwu grup w partii. Ich walki o władzę. Jednych nazywano „partyzantami”, a dla drugich nadal używano nazwy jeszcze z okresu październikowego: „grupa puławska”. Popularnie zaczęła wchodzić w obieg inna terminologia: „chamy” i „żydy”. Były to nazwy, którymi obie grupy się obrzucały na korytarzach domu róg Nowego Świata i Alei Jerozolimskich. Terminologia ta tam się narodziła. Później została

spopularyzowana m.in. w ciekawej próbie studium politycznego, drukowanej najpierw na łamach „Kultury” paryskiej, a potem przedrukowanej w książce pod tytułem *Klub Krzywego Koła* Witolda Jedlickiego. „Kultura” jest w kręgach inteligenckich dosyć czytana. Ludzie sobie później opowiadają, co przeczytali; ta terminologia została również taką drogą włączona w obieg świadomości społecznej.

Skąd ta terminologia? Co miała ona znaczyć i czy kryje się za nią coś więcej niż złośliwość wobec grupy przeciwnej? Jak Państwo się zapewne domyślają, w związku z tematem dzisiejszego zebrania nie będę się zastanawiał nad przezwiskiem „chamy”. Nie będę się zastanawiał nad tym, czy ten termin – niewątpliwie agresywny – był zasłużony, czy nie. Natomiast istotne dla naszego tematu jest to, skąd się wzięło wyzwisko „żydy” i co w nim ewentualnie odpowiadało faktycznej sytuacji społecznej, pomijając fakt, że samo sformułowanie brzmi w języku polskim obraźliwie, gdyż o ludziach – czy to narodowości, czy pochodzenia, czy religii żydowskiej, bo różnie to słowo jest używane – mówi się „Żydzi”, a nie „żydy”. Mówiąc „żydy”, chce się dotknąć lub obrazić.

I tutaj muszę przejść do dłuższego wywodu, bez którego nie zrozumieemy sprawy, a ja nie będę w stanie przedstawić swoich na ten temat poglądów. Skłaniają mnie do tego również niektóre pytania, jakie otrzymałem. Jak Państwo może wiedzą, już na poprzednich spotkaniach apelowałem o składanie kartek z pytaniami. Trochę ich napłynęło, niewiele wprawdzie, ale nawet tych kilka pytań wystarczy, abym wiedział, że ta sprawa musi być wyjaśniona. Wiedziałem to zresztą i bez tego.

Zacznę od pewnej sprawy tylko na pozór abstrakcyjnej. Socjologom znana jest problematyka, którą niesie ze sobą istnienie mniejszości nieterytoryalnych. Mniejszościami nieterytoryalnymi nazywa się tego rodzaju mniejszości, które w danym kraju stanowią już poważny odsetek ludności, natomiast nie zamieszkują konkretnego, zwartego obszaru, jak np. w Polsce międzywojennej ludność ukraińska czy białoruska. Ilekroć powstają konflikty między większością a mniejszością nieterytoryalną, czy też jeżeli powstają konflikty, które są racjonalizowane jako konflikty narodowe, wówczas powstają – czasami głębsze, czasami płytsze – zjawiska dyskryminowania mniejszości przez

większość. I stąd cała ogromna gama rezultatów psychospołecznych wśród tych, którzy są dotknięci dyskryminacją. Powstają różnego rodzaju stany lękowe, resentymenty, poczucie zagrożenia etc. jako zjawiska szersze, dotyczące całych grup społecznych. Ludność żydowska w Polsce niejednokrotnie znajdowała się w sytuacji, kiedy tego rodzaju uczucia, lęki itp. mogły się rodzić i rodziły się w związku z pewnymi zupełnie określonymi warunkami i wydarzeniami, które są faktami historycznymi. Ci ludzie, a w szczególności te grupy, które znajdują się już na pograniczu narodowościowym – tzn. te, które się trochę wysferzają ze swojego narodu, mają tendencję do asymilacji czy tylko wchodzą do wspólnych organizacji społecznych, politycznych itd. – wybierają sobie oczywiście takie miejsca społeczne, w których widzą możliwie największą gwarancję tego, że nie będą przez większość odrzucani, że nie będą tam pogardzani, dyskryminowani etc. Tego rodzaju problemy w mniejszym stopniu tyczyły mas żydowskich, bo dla tych było to na ogół obojętne. Nie było obojętne, kiedy się pojawiali pałkarze, kiedy im wybijałi szyby w sklepikach i bili ich kastetem czy pałką, natomiast inne aspekty były im do pewnego stopnia obojętne. Żyły te masy swoim życiem religijnym, narodowym, społecznym w czymś w rodzaju getta żydowskiego. Natomiast problem ten był istotny dla tych wszystkich grup ludności, które jakoś już wchodziły w kulturę polską i życie społeczne polskie, czy asymilowały się do polskości, czy były już zasymilowane. Byli w tych grupach ludzie, którzy czuli się Polakami, niemniej przez przynajmniej część tego społeczeństwa byli odrzucani. Ci ludzie garnęli się do organizacji lewicy polskiej, gdyż wszystkie one zwalczały antysemityzm. Znajdziemy tych ludzi zarówno w niepodległościowej PPS – wszyscy znamy przecież nazwiska w rodzaju Perła, Mendelsohna – jak i w SDKPiL. W latach międzywojennych inteligencja pochodzenia żydowskiego czy inteligenci-Żydzi, a również młodzież drobnomieszczańska żydowska, garnęli się do Komunistycznej Partii Polski, głoszącej hasła internacjonalizmu. Oczywiście, nie przesadzajmy. Nie wszyscy i nie w większości tak postępowali, niemniej jednak w dostatecznym procencie by okazało się, iż w tej partii wśród działaczy jest dużo ludzi pochodzenia żydowskiego czy ludzi, którzy uważali się jakoś za Żydów. Trzeba jednak pamiętać, że komunizm oznaczał odejście od religii żydowskiej i w po-

dobny sposób odrywał od narodu żydowskiego jak chrzest. Te procesy znane są na całym świecie i tyczą nie tylko Żydów. Nie są też jakąś specyfiką polską. Gdyby człowieka znającego tę problematykę i nią zainteresowanego zapytano np. w roku 1935 czy 1936: „Wyobraź sobie, że komuniści w Polsce kiedykolwiek dojdą do władzy, co byś umiał powiedzieć na temat socjologii przyszłej elity władzy, która w tym kraju powstanie, a może w związku z tym i na temat przyszłych konfliktów, które w ten sposób się narodzą?” – myślę, że już wtedy średnio inteligentny, ale znający problematykę tego zakresu człowiek umiałby powiedzieć, iż w przyszłym aparacie władzy państwa komunistycznego, gdyby Polska kiedykolwiek się nim stała, znajdzie się spory odsetek ludzi pochodzenia żydowskiego czy Żydów, co wynika ze składu KPP.

Muszę Państwu powiedzieć, że Polacy również występowali niekiedy w roli takiej mniejszości nieterytoryalnej. M.in., jak Państwo może wiedzą, dosyć spora, w każdym razie wcale niebłaha, polska mniejszość nieterytoryalna istniała na terenie imperium rosyjskiego, na tych ziemiach, gdzie Polacy nie byli w żadnym sensie tuziemcami, gdzie znaleźli się jako zesłańcy, więźniowie, inżynierowie, jako majstrowie, wykwalifikowani robotnicy itd., jako element, który był poszukiwany i ceniony ze względu na wysokie kwalifikacje. W czasie pierwszej wojny światowej liczba ta jeszcze wzrosła na skutek ewakuacji zakładów przemysłowych Królestwa Polskiego. Znaleźli się tam w sytuacji niezbyt lubianej mniejszości. Otóż, proszę Państwa, jednym z problemów, które będą analogiczne do problemów, które wielu z Państwa nurtują – co wiem m.in. z pytań, które dostałem – byłby udział Polaków w Czeka i GPU. Był to, proszę Państwa, problem ogromny. Nazwisko Dzierżyńskiego oczywiście wszyscy znany. Gdy weźmiemy do rąk księgę Polaków – uczestników Rewolucji Październikowej i wojny domowej i sobie ją przejrzymy, to rezultaty są po prostu przerażające. Ta księga objęła przecież z natury rzeczy tylko nieznacznym procent Polaków, którzy w wojnie domowej i rewolucji wzięli udział po stronie rewolucji. Zacząłem wypisywać z tej księgi Polaków, którzy byli w aparacie Czeka i GPU, a często odegrali dużą rolę. Eliminowałem wszystkich, którzy brzmieniem nazwiska mogliby budzić wątpliwości, czy są Polakami, czy Żydami. Eliminowałem wszystkich ludzi o litewskich nazwiskach, którzy tam występowali, chociaż badacze prawdopodobnie mieli

jakieś dane, że są to Polacy. Nie przejrzałem całej książki, ale od razu pozycja druga i następne: Ablań Kazimierz, syn Jerzego, zastępca pełnomocnika wydziału specjalnego samarskiej gubernialnej Czeka; Adamczewski Stanisław – funkcjonariusz Czeka, Kijów, Moskwa; Adamowicz Michał – członek Trybunału Rewolucyjnego i oficer śledczy Czeka; Adamska Barbara – oficer Czeka w Samarze. I tak dalej. I tak dalej. Jest w tej księdze – to już tylko szacunkowo mogę powiedzieć, ze względu na to, że całej od początku do końca nie przeczytałem – ponad tysiąc polskich czekistów i to tylko tych, których można było uchwycić w bile jak w tym czasie prowadzonych archiwach. Więc te problemy tyczą i nas, Polaków.

W związku z tymi sprawami stało się to, co było do przewidzenia. W powojennym aparacie władzy znalazło się dość dużo osób pochodzenia żydowskiego i Żydów. Czasami lubi się to określać jednym słowem: „Żyd”. Muszę powiedzieć, że raczej nie lubię tego tak jednym słowem określać. Ale w tej chwili nie o to mi chodzi, kto jest Żydem, a kto nie – lecz o to, kto za Żyda jest uważany, szczególnie przez niechętną Żydom część społeczeństwa. Towarzyszyło zaangażowaniu się Żydów w aparat nowej władzy przeświadczenie, że ustrój, który przychodzi, zapewnia im bezpieczeństwo. M.in. bezpieczeństwo przed polskim antysemityzmem. Zjawisko polskiego antysemityzmu istniało; nie ludźmy się, że czegoś takiego nie było. Ale nie chodzi o to, co było w okresie między I a II wojną światową. Chodzi o wydarzenia, które były bliższe. Państwo wiedzą pewno o tego rodzaju sprawach, jak pogrom w Kielcach. Nie jest to rzecz wymyślona. Toczy się spór historyczny o to, czy pogrom w Kielcach, w którym dużo Żydów straciło życie, był prowokacją NKWD, czy też miał charakter jakiś inny, bardziej spontaniczny. Np. Korboński przytacza wiele argumentów za tym, że była to prowokacja NKWD, wynikająca m.in. z tego, że przed wyborami do Sejmu – w związku z tym, że umowy międzynarodowe miały gwarantować tutaj przeprowadzenie wyborów w sposób demokratyczny – dobrze było światu pokazać, że tylko komuniści mogą opanować te straszne rzeczy, które w Polsce dzieć się mogą. Być może, że była to prowokacja NKWD. Dowodów na to zupełnych i niepozostawiających wątpliwości nie ma, a jedno, niestety, trzeba powiedzieć, że prowokacje udają się tylko w jednym wypadku, mianowicie wtedy,

kiedy trafiają na grunt, który może prowokację przyjąć. Taki jest mechanizm prowokacji, o to chodzi w prowokacji.

Nie był to zresztą jedyny wypadek. Mówić mi o tym jest ciężko. Państwo o tym nie lubią słuchać, a ja o tym nie lubię mówić. Ale mam taki temat. Kielce to nie jedyny wypadek. Proszę Państwa, na około 400 Żydów czy ludzi żydowskiego pochodzenia, którzy, jako ukrywający się, bezpośrednio po przejściu armii sowieckiej zostali zarejestrowani na Białostoczczyźnie, jako ci, którzy się ukrywali i ocalili, 10 % padło ofiarą mordów. Jest to przecież bardzo duży procent, niestety. Trudno to wymazać lub przemilczeć. M.in. miałem niedawno okazję zapoznać się z dokumentacją fotograficzną mordu w Sokołach na siedmioosobowej rodzinie, wśród której była czteroletnia dziewczynka. Muszę powiedzieć, że właśnie Polakowi ciężko to oglądać, i proszę mi wierzyć, ciężko o tym mówić. Ale należą do ludzi, którzy uważają, że jak jest lub było coś złego, to nie przez przemilczenie to się zwalczy i raz na zawsze spowoduje się, że zło nie wróci, że wytępi się zło. Nie jest tak, żebyśmy sobie jako Polacy nie mieli nic do zarzucenia, żebyśmy sami ozdrowienia nie potrzebowali. Warunkiem tego niezbędnym jest, żebyśmy znali prawdę, rozumieli ją i mieli chęć i szczerą zamiar, by takie rzeczy się w historii narodu nie powtórzyły, byśmy się o to aktywnie starali. Do zagadnienia takich mordów, jak w Sokołach, chcę dorzucić jeszcze jedną ważną uwagę. Uczciwi ludzie brzydzili się brać z rąk niemieckich pożydowskie mienie. Jeśli zdarzało się, że brali, to z intencją oddania go kiedyś prawym właścicielom. Wśród tych, którzy mienie pożydowskie brali, znajdował się wysoki procent ludzi zdemoralizowanych, bez zasad moralnych i społecznych. Z ich ręki przeważnie ginęli Żydzi, którzy przeżyli i mogli odebrać im swą własność. To częściowo wyjaśnia sprawę jako zjawisko marginesu czysto kryminalnego, ale nie w stu procentach.

Jaki był ewentualny plan tej centrali, która decydowała o doborze kadr w Polsce? Szczególnie na początku nie ma wątpliwości, że ta centrala była w znacznej mierze centralą obcą. Nie tylko z obcej poręki działającą, ale nawet dosłownie, w sensie osobowym i w sensie miejsca decyzji. Otóż ja sobie wyobrażam, że znaczny procent Żydów wbezpieczeństwie był przez centralę akcep-

towany, tak jak nie bez powodu tylu Polaków było w Czecha, tylu również Żydów było w Czecha, z tego samego powodu tylu Łotyszów było w Czecha (nieduży ten naród okropnie się zapisał w historii rewolucyjnej Rosji, co wynikało z tego, że pułki o przewadze łotewskiej, które poparły rewolucję, zostały skierowane do Czecha, zapewne ze względu na to, że żołnierze nie byli zakorzenieni w miejscowym społeczeństwie). Ci ludzie mogli też zostać w przyszłości – jeśli ktoś perspektywicznie myślał – kozłami ofiarnymi. Łatwo ich uczynić odpowiedzialnymi za wszystko, co się działo, bez względu na to, czy oni zrobili to wszystko, czy tylko część.

W Polsce Ludowej pogląd na te sprawy był prosty: Związkiem Sowieckim rządzą Żydzi. Otóż rzecz w rzeczywistości wyglądała w ten sposób, że spory procent ludzi pochodzenia żydowskiego w aparacie władzy w Związku Sowieckim topniał z ogromną szybkością w czasie rządów Stalina. Po wojnie doszło do dwu spraw, o których społeczeństwo polskie na ogół nic nie wiedziało. Pierwsza to była tzw. sprawa krymska w 1949 r., czyli zarzut, że Żydzi chcą oderwać Krym od Związku Radzieckiego na rzecz Turcji (sic!) i że stworzyli w tym celu komitet mający za zadanie osiedlanie Żydów na Krymie. Myślę, że to była prowokacja NKWD. Znanemu wielkiemu aktorowi żydowskiemu Michoelsowi podrzucano ten projekt osiedleniowy i to rozpoczęło sprawę krymską, jeszcze w latach czterdziestych. Nastąpiły dalsze czystki w aparacie w Związku Radzieckim, już wyłącznie z punktu widzenia pochodzeniowego, a w 1952 r. doszło do prawdziwej rzezi inteligencji żydowskiej. M.in. nie przeżył wówczas prawie żaden z pisarzy języka jidysz, a była ich w Związku Radzieckim duża grupa. Niektóre nazwiska są znane w świecie: Markisz czy Bergelsohn. Samych pisarzy zginęło około 30. Trudno sobie wyobrazić, by ich były w Związku Radzieckim setki czy tysiące. A potem nastąpiła sprawa lekarzy moskiewskich, czyli oskarżenie, iż lekarze-Żydzi, którzy leczyli wysoki aparat, zawiązali spisek mający na celu wymordowanie pod pozorem leczenia całej ekipy kierowniczej ZSRR. Prasa zaczęła się trząść na ten temat, pojawiły się artykuły, komunikaty itp. Wszyscy Państwo, którzy są mniej więcej moimi rówieśnikami, wiedzą, że tej sprawy nie zmyślam. Śmierć Stalina przerwała ten trend i przez pewien czas, zresztą niezbyt długi, te sprawy się jakoś zatrzymały.

Pierwsze rugi w polskiej bezpiece według klucza rasowego nastąpiły jeszcze za życia Stalina, na przełomie lat 1952/53. Tego oczywiście społeczeństwo polskie zupełnie nie zauważyło, gdyż wszystko, co się działo w bezpiece, było otoczone tajemnicą. To było związane ze sprawami toczącymi się w Związku Radzieckim i czystkami, które się tam dokonywały. Uległo to pewnemu zahamowaniu po śmierci Stalina. Nie na długo. Potem przyszła druga fala. Chciałbym Państwu powiedzieć – to osobiste wspomnienie – że gdy jako prezes Klubu Krzywego Koła byłem przesłuchiwany przez funkcjonariuszy SB w roku 1957 czy na początku 1958, usłyszałem, że Jerzy Giedroyc, redaktor paryskiej „Kultury”, jest Żydem. Muszę powiedzieć, że zdumiałem się w sposób autentyczny. Wszystko bym sobie wówczas wyobraził z wyjątkiem tego, że coś takiego od tych ludzi usłyszę jako zarzut, który miałby dyskredytować Giedroycia – i właśnie o nim. Niemniej to było ilustracją, że bezpieka jest już inna niż w okresie stalinowskim. Ludzi żydowskiego pochodzenia bardzo często można było spotkać w dawnej bezpiece, ale nie wykluczam, że takie rzeczy mógłbym również od nich usłyszeć, gdyby dostali odpowiednie instrukcje. Ale zawsze jest to mniejsze prawdopodobieństwo.

Komuniści żydowskiego pochodzenia skupiali się w aparacie raczej w grupie puławskiej. Nie mieli zamiaru zrzucać się swojego udziału w totalitarnej władzy, ale bali się jednocześnie sowieckiego antysemityzmu i w ogóle grozy stalinowskiego terroru. Wybrali taktykę, która była taktyką w owym czasie niewątpliwie najbardziej liberalną. Inna sprawa, czy trzeba zawsze wierzyć w szczerą każdą przyjmowaną taktykę. Tak się dziwnie złożyło, że jeśli przedwojenna walka o sklepik między polskim drobnomieszczaninem a żydowskim drobnomieszczaninem, walka o klienta, była poważnym motorem przedwojennego antysemityzmu w Polsce – zresztą takie zjawiska zdarzają się na całym świecie – to w jakiś groteskowy sposób przerodziła się ona po wojnie w walkę o fotele w aparacie partyjnym czy rządowym. Do złudzenia te dwa mechanizmy są do siebie podobne. Tyle tylko że tym razem oczywiście odgrywają rolę zarówno czynniki spontaniczne, jak i bardzo przemyślane.

Muszę powiedzieć, że taktyka i demagogia, którą stosowała grupa „partyzantów”, czyli „chamów” czy – po prostu – „mocarowców”, w walce ze swymi konkurentami, była jednak dosyć trudna dla samej grupy „partyzanc-



kiej” z Moczarem na czele. Bo nigdy nie jest pewne, czy jeśli zwróci się uwagę na Żydów w bezpieczeństwie stalinowskim – to społeczeństwo zapomni np. o tym, że byli tam również i nie-Żydzi. A jeżeli byli nie-Żydzi, to którzy i kto. No, tak się składa, że przywódca grupy, pan Moczar, był po wojnie szefem bezpieczeństwa łódzkiego. Kwiatków tam nie wachał. A są i pamiętniki akowskie, drukowane na Zachodzie, dotyczące łódzkiej bezpieki. Można się tam dowiedzieć, że więzienia bezpieki łódzkiej nie były wcale przyjemniejsze dla akowców niż każde inne więzienie w stalinowskiej Polsce.

Chciałbym jeszcze tu poruszyć problem, który nurtuje zadających mi pytania, mnie samego i – niejednokrotnie – nas wszystkich. Mianowicie jaka była realna podstawa, by liczyć na antysemityzm w Polsce w latach 60., kiedy te sprawy, zdawałoby się, już zupełnie wygasły? I związku z tym będę musiał po prostu rzucić Państwu na każdy obszerny temat po jednym zdaniu, aby nakreślić pewien rys, jak ja to widzę poprzez historię,

Przede wszystkim musimy zdawać sobie sprawę, że pierwsze przywileje w sprawie Żydów, nadane przez księcia Bolesława Pobożnego, pochodzą z połowy XIII w. Gdy spotykamy Żyda albo człowieka pochodzenia żydowskiego, a nie zawsze wiemy dokładnie, kiedy jego przodkowie pojawili się w Polsce – to bardzo możliwe, że spotkaliśmy się z człowiekiem, którego rodzina żyje na tych ziemiach od 700 lat. To znaczy dłużej niż rodzina niejednego autochtona.

Prześladowania Żydów w Europie średniowiecznej i we wczesnym renesansie, m.in. w czasie wojen krzyżowych i przy różnych innych okazjach, powodowały napływanie ich do Polski. Tak się stało, że Polska stwarzała Żydom dobre i ludzkie warunki egzystencji. Z tego możemy być dumni. Konstytucja 3 maja i Konstytucja Księstwa Warszawskiego były to ustawy, z których pierwsza dawała Żydom równouprawnienie z polskim mieszczaństwem, a druga obywatelskie równouprawnienie. Żydzi od końca XVIII w. zawsze byli jakoś obecni w walce narodu polskiego o niepodległość. Wszyscy znamy oczywiście nazwisko Berka Joselewicza, ale nie wszyscy wiemy o tym, że był on w powstaniu nie sam, że był on dowódcą pułku żydowskiego, który skrwawił się w obronie Pragi, gdy szturmowały ją wojska Suworowa... W każdym powstaniu spotykamy polskich Żydów, bardziej lub mniej licznych. Akurat

najlepiej znam fakty z okresu powstania styczniowego. To piękne momenty: manifestacja na Krakowskim Przedmieściu, manifestacja narodowa idąca z krzyżem na czele, który niesie zakonnik (niektóre przekazy mówią, że był to student, nie zakonnik); ten niosący krzyż pada od salwy. Krzyż bierze do ręki uczeń szkoły rabinackiej, Landy. Uczniowi szkoły rabinackiej nie było pewno łatwo wziąć do ręki krzyż; wziął go jednak, symbol ważny dla narodu, wśród którego się żyje i z którym chce się razem żyć. Od następnej salwy padł Landy.

Gdy interesowałem się udziałem Żydów w powstaniu styczniowym, byłem zaskoczony szczególnie liczbą oficerów Żydów bądź pochodzenia żydowskiego. Trudno mi za każdym razem rozstrzygać, kto z nich czuł się po prostu Żydem polskim i w związku z tym solidarnym ze społeczeństwem polskim, a kto czuł się już Polakiem, może w jakiś sposób jeszcze przez rodzinę z żydostwem związanym, ale już w gruncie rzeczy Polakiem. Trudno to powiedzieć. Dla mnie był zaskakujący w tym powstaniu – które, powiedzmy sobie otwarcie, nie było tak znowu liczne, nie było masowe – duży procent Żydów. Trafiałem przy tym na ślady tragedii. Gdy w małym miasteczku na Mazowszu dwóch żandarmów Rządu Narodowego wiesza szpiega rosyjskiego – i ten szpieg rosyjski, okazuje się, nosi to samo nazwisko, co żandarm wieszający – może się za tym kryć tragedia. Pochodzą z tego samego miasteczka, przypuszczalnie krewni. Obaj byli Żydami. I teraz pytanie: czy chcemy pamiętać o tym, że jeden z tych Żydów był szpiegiem rosyjskim, a nie zechcemy pamiętać o tym, że żandarm narodowy, który zapłacił za to dożywotnią katorgą, był żołnierzem polskiego powstania narodowego?

Antysemityzm w sensie nowoczesnym jest to zjawisko, które pojawia się w Polsce wraz z nowymi stosunkami społecznymi i ekonomicznymi. Są to czasy po powstaniu styczniowym. Przenikliwie te momenty chwytła książka, którą wszyscy obecni na tej sali czytaliśmy. Bolesław Prus w *Lalce* uchwycił ten moment rodzenia się polskiego antysemityzmu. Takiego, który był czymś innym niż konfliktem religijnym Polaków i Żydów, czymś innym niż konfliktem stanowym. Nie tylko Wokulski był żołnierzem powstania styczniowego. Bolesław Prus – żołnierz powstania styczniowego – wiedział, co pisał, miał rozeznanie najnowszych dziejów naszego narodu. Widział te

rzeczy na własne oczy. Doktor Szuman jest również uczestnikiem powstania styczniowego, co więcej, również i młodszy Szlangbaum był uczestnikiem powstania styczniowego.

Przyszedł czas, w którym społeczeństwo żydowskie zaczęło tworzyć swoje organizacje polityczne, stawiając sobie własne cele. Już jesteśmy w nowoczesnym społeczeństwie. Wtedy, w drugiej połowie XIX w., powstaje ruch syjonistyczny, zdążający do budowy państwa żydowskiego. Czasami są wahania gdzie. Z biegiem czasu zwycięża koncepcja, by budować je w starej siedzibie narodowej. Powstaje partia Bund, głosząca, że miejsce Żydów jest tutaj, między społecznościami, wśród których żyją, że Żydzi muszą rozwijać swoją kulturę narodową, współżyjąc z Polakami. Muszę powiedzieć zresztą, że jest to partia, do której mam szczególny szacunek i sentyment. Bund w Polsce był cały czas wiernym towarzyszem PPS. Bundowcy byli tymi, którzy w czasie II wojny światowej w sposób niezwykle heroiczny podkreślali swoją lojalność w najtrudniejszych momentach wobec państwa polskiego. Przywódcy Bundu, Alter i Erlich, byli tymi, którzy – kiedy wojska sowieckie wkroczyły na tereny Polski – każdy osobno (w innym miejscu się wtedy znaleźli) – zwrócili się do okupacyjnych władz sowieckich i każdy z nich osobno zadeklarował w imieniu partii Bund protest przeciwko naruszeniu granic Polski przez obce wojska. Zostali oczywiście aresztowani. W rezultacie po porozumieniu między Sikorskim a Majskim na krótko zostali zwolnieni, a później ponownie aresztowani i skazani przez sądy sowieckie jako agenci Hitlera. I wyroki wykonano. Taka była heroiczna historia przywódców partii Bund. Oczywiście, były również partie ortodoksyjne, które sprawami polskimi na pewno mniej się interesowały, partie żydowskiego getta. Wielu Żydów czy ludzi żydowskiego pochodzenia szło – jak już mówiłem – do partii komunistycznej i do PPS.

W latach po rewolucji 1905 r. nastąpił nowy etap w dziejach antysemityzmu polskiego, mianowicie coraz bardziej ewoluuje w kierunku antysemityzmu Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne pod kierunkiem tajnej Ligi Narodowej. Ostatecznie rokiem przełomowym jest rok 1912, kiedy mniejszość żydowska poparła kandydata socjalistycznego w wyborach do Dumy, Jagiełłę, a tego już endecja znieść nie mogła. A przecież u kolebki Ligi Narodowej znajdowali się również

ludzie pochodzenia żydowskiego. W latach 30. np. było już niemożliwe, by tacy ludzie, jak Bronisław Hirszfeld, znaleźli się tam – ich by nie chciano.

Zacząło się również inne zjawisko. Mianowicie Ochrana, czyli tajna policja carska, by pohamować ruch rewolucyjny, wpadła na pomysł odwrócenia uwagi od spraw społecznych i narodowych. I zaczęły się pogromy, najpierw w Rosji, potem przeniosło się to również na ziemie częściowo zamieszkałe przez Polaków albo w ogóle na ziemie polskie. Historycy na ogół nie mają dzisiaj wątpliwości, że były to wydarzenia prowokowane, organizowane przez policję. Z tego okresu pochodzi publikacja zwana *Protokołami mędrców Syjonu*, wychodząca z tego samego źródła i cytowana niejednokrotnie w publikacjach antysemickich. Również niedawno w publikacji wydanej przez Niezależną Grupę Polityczną, grupę młodych i chyba po prostu głupich ludzi. W Rosji towarzyszyło temu hasło: *Bij Żida, spasaj Rassiju*, „Bij Żyda, ratuj Rosję” (*Żid* to po rosyjsku słowo obraźliwe, a nie opisowe). Myślę, że niewiele się od tego czasu zmieniło. Metody, hasła, cele są te same.

Aby ten ciąg zakończyć, chciałem zwrócić uwagę, że kto zna historię Legionów, ten wie, jak znaczny procent znajdował się w Legionach oficerów i żołnierzy pochodzenia żydowskiego.

Niestety, świt niepodległości... Nie możemy być pod tym względem dumni. I znów muszę powiedzieć – przykre to dla mnie – ale pogrom we Lwowie jest faktem. Jednym z jego motywów była neutralność większości Żydów w walkach o Lwów. Muszę powiedzieć, że nie mam im tego za złe. Mieli problem, czy Ukraińcy ich wyrzną, jeżeli poprą Polaków, czy odwrotnie. To była sprawa jednoznaczna dla Żydów poczuwających się do polskości – i o Lwów walczyli też Polacy pochodzenia żydowskiego. Pogromy w Wilnie. W 1920 r. generał Haller wpadł na wspaniały pomysł. Mianowicie kiedy wojska sowieckie szły na Warszawę, rząd apelował o ochotnicze zgłaszanie się do armii. Ci Żydzi, którzy byli kierowani do Armii Ochotniczej, zostali zgrupowani przez niego w obozie w Jabłonie, tuż przy linii frontu. O ile wiem, co to było Czeka, wyobrażam sobie, jaki byłby los tych Żydów, gdyby znaleźli się w rękę Czeka jako ochotnicy wojska, które miało bronić Warszawy. Ten problem ma dużą literaturę, głównie w „Zeszytach Historycznych” wydawanych przez Instytut Literacki w Paryżu, w „Kulturze” paryskiej itd.

Jednym z ważniejszych momentów w historii tych spraw była śmierć Narutowicza. Nienawiść była tak wielka, iż sam fakt, że pierwszy prezydent Rzeczypospolitej został obrany m.in. głosami mniejszości narodowych, w tym Żydów, wystarczył, by zabić tego szlachetnego człowieka, by stworzyć atmosferę, która to zabójstwo spowodowała i umożliwiła.

Dalsza ewolucja endecji jest zapewne Państwu znana. Ja jestem akurat specjalistą od Obozu Narodowo-Radykalnego i autorem różnych prac na ten temat. Koniec lat 30. znam już nawet z autopsji; miałem 13 lat, gdy zaczęła się wojna, miałem starszą siostrę studentkę. Stosowanie przemocy, sprawa getta ławkowego, *numerus clausus*, projekty tego, aby zastosować nawet *numerus nullus*, czyli pełny zakaz uczestnictwa Żydów w różnych dziedzinach polskiego życia społecznego, propaganda antysemicka tego okresu – wszystko to pamiętam. Pojawiła się wówczas nawet na łamach prasy ONR-u – nie w publikacjach programowych, lecz w publicystyce – koncepcja eksterminacji fizycznej Żydów w Polsce. Oba artykuły ukazały się na łamach „Falangi”, oba zresztą podpisane nazwiskami. W pierwszym z nich napisano (cytuję z pamięci): „Trzeba te wszystkie czarne karaluchy, pluskwy, robactwo, które nie pozwala nam żyć, zamknąć w getcie, otoczyć wysokim murem, by przez ten mur przejść nie mogli, a potem wyparzyć ich wrzątkiem aż do ostatniego”. Prorocza wizja...

Przyszły lata wojny. Ludność żydowska na ziemiach wschodnich nie zawsze okazywała w latach 1939–1941 lojalność wobec państwa polskiego. Mówiłem o sprawie Altera i Erlicha, o bohaterskiej ich postawie, ale bynajmniej nie była to postawa częsta. Niemniej ludność żydowską spotykały takie same wywózki, takie same deportacje jak ludność polską. I nie należy niczego uogólniać. W przekazach pamiętnikarskich, bardzo licznych nawet ludzi, którzy byli w partyzantce na Wileńszczyźnie, na innych terenach, znajdzie się dużo świadectw, iż uogólnienie takie byłoby niesprawiedliwe.

Sprawy gett, eksterminacji, powstania w getcie warszawskim nie muszą Państwu wyjaśniać ani przypominać. Muszę tylko powiedzieć, że i tym razem, tak jak zawsze, Żydzi, którzy znajdowali się w szczególnie ciężkiej sytuacji, tępieni w sposób okrutny, wzięli udział w naszej walce o niepodległość. Są wśród nich znani dowódcy oddziałów partyzanckich Armii Krajowej, jak

Maksymilian Boruchowicz, bardziej znany pod pseudonimem Borowicz w literaturze tyczącej spraw żydowskich okresu wojny. Zresztą sam kolego wałem się w Powstaniu zarówno z Żydami, jak i z Polakami żydowskiego pochodzenia. No i potem przyszły te sprawy, o których już mówiłem, Kielce itp.

W 1956 r. pojawił się pierwszy sygnał po czasach stalinowskich, że w partii powstają pewne koncepcje wykorzystania sprawy żydowskiej do walki wewnątrzpartyjnej. Na letnim plenum Zenon Nowak, członek najwyższych władz partyjnych, wygłasza przemówienie, gdzie mówi o konieczności regulacji narodowościowej kadr partyjnych. Był to oczywiście kryptonim. Trudno mówić tutaj o kadrach narodowościowych w tym wypadku, gdyż według mojego głębokiego przekonania większość tych ludzi, o których Nowakowi chodziło, była już zasymilowana, byli Polakami, inni byli – jak sądzę – narodowo obojętni; Żydzi w partii nie stanowili, jak myślę, prawdziwego problemu. Natomiast jeśli chodzi o służbę bezpieczeństwa, to ja mam, proszę Państwa, swój specjalny pogląd na tę sprawę. Bardzo nie lubię oczywiście tego, by mówiąc „Różański, Fejgin, Światło” itp., zapominać o ludziach, którzy nosili nazwiska Dusza, Kaskiewicz, Moczar i byli w tym samym aparacie. Bardzo bym nie chciał, by pamiętając o jednych, zapominano o drugich, a każdy jest odpowiedzialny według swoich zasług, według tego, co zrobił, ewentualnie według swoich zbrodni, jeśli je popełnił. I dlatego, że ktoś się nazywał Dusza czy Kaskiewicz i że na żadnych tablicach się tych nazwisk nie wywiesza, to nie znaczy, że ma mniej na sumieniu. I muszę Państwu powiedzieć więcej: tak jak nie uważam naprawdę Duszy i Kaskiewicza za Polaków – mam duże wątpliwości co do tego i nie bardzo chcę z nimi być w jednym narodzie – tak samo mam poważne wątpliwości, czy panowie Różański i Fejgin byli Żydami. Myślę, że takimi samymi byli oni Żydami, jak Dusza i Kaskiewicz – Polakami, akurat w tym samym stopniu. To znaczy był to, jak wiadomo, aparat bezwzględny, gotowy wykonywać wszelkie rozkazy, zamordować lub torturować tego, kogo mu władza do zamordowania lub torturowania przedstawi. Pogląd, że bezpieka stalinowska to Żydzi, prowadzi do zapomnienia o ubekach Polakach i o wszechobecnych „doradcach” sowieckich.

Jeszcze jeden element niezbędny jest do zrozumienia problemu. Pierwotnie Związek Radziecki i tym samym PRL udzieliły poparcia twórcy

się państwu Izrael. M.in. w Polsce – zarówno zresztą przed wojną, w Polsce sanacyjnej, jak i po wojnie – byli szkoleni specjaliści wojskowi Żydzi do wyjazdu do Palestyny i Izraela. Potem nastąpiła zmiana frontu: Związek Radziecki, a my wraz z nim, popieramy Arabów. Tym samym pojawia się ułatwienie i nowa motywacja kampanii antysemickiej. Żydów można odtąd nazywać „syjonistami” – nawiązuje to do pewnej sytuacji międzynarodowej i jest dobrze widziane również u Wielkiego Brata.

Moim zdaniem, a jest to sprawa oceny subiektywnej, manewr marcowy się nie udał. Jestem głęboko przekonany, że w swej ogromnej większości społeczeństwo polskie pozostało co najmniej obojętne wobec tej koncepcji rozegrania wielkiej gry polityczno–społecznej, rozgrywki, która miała sięgnąć bardzo głęboko. Takie jest moje przekonanie. Należałoby je oczywiście poprzeć jakimś badaniem. Ja ich na pewno nie robiłem ani nie zrobię. Czystki ówczesne były bardzo głębokie i wyszły zdecydowanie poza aparat. Słysy one, że tak powiem, aż do samego dołu. Wyrzucano skąd się dało, kogo się dało, byle tylko był pochodzenia żydowskiego, byle tylko budził przypuszczenie, że być może jest Żydem. Muszę powiedzieć, że wiele znam wypadków wśród znajomych, którzy nie byli na żadnych szczytach – jakiś zwykły redaktor czy korektor w wydawnictwie, wywalany tylko i wyłącznie z tego powodu, że był Żydem. Nawet nie był niesforny wobec władzy, po prostu bał się i był konformistą, nigdy się niczemu nie przeciwstawił, ze strachu cicho siedział. Tych ludzi tak samo wyrzucano z pracy.

Dano wolną drogę do emigracji – to jest ten ostatni już rozdział. Były to zarówno półurzędowe zachęty, również w prasie, publicznie, również w kontaktach z aparatem władzy – jak i terror psychiczny. Wielu z moich znajomych, ludzi żydowskiego pochodzenia – niektórzy z nich się uważali za Żydów – tego doznało. Były pogróżki telefoniczne, kartki w drzwiach z pogróżkami itd. Ludzie ci żyli w stanie dużego napięcia. Bywało tak, że gdy rozmawiałem ze znajomym mającym zamiar emigrować, mówiłem: „Nie przejmujcie się, za kilka miesięcy będzie po wszystkim. Sprawa się jakoś ułoży, uleży. Nie histeryzujcie!”. Ale ilekroć pytano mnie: „Słuchaj, ja mam dzieci. Czy ty mi gwarantujesz bezpieczeństwo, nie moje, tylko moich dzieci?”, za każdym razem kapitulowałem. Mówiłem: „Nie, jak się raz zaczęło,

jak się poszło w tę stronę... Ja wierzę, że ponieważ to w społeczeństwie nie chwyciło, że to społeczeństwo nie jest tak złe, jak się wydaje czasami komuś zdenerwowanemu i czasami zastraszonemu, że jest lepsze chyba... Nie wierzę w to, żeby to trwało długo i żeby to było tak groźne, jak się może wydawać, ale zaręczyć nie mogę, bo gdy raz to się zaczęło, to może pójść nawet dalej". I kapitulowałem wtedy, przestawałem namawiać. Motywacją wyjazdu było przeważnie poczucie zagrożenia, obawy przed wzrostem antysemityzmu, obawy o los własnych dzieci – w takich wypadkach jest to motyw najmocniejszy, strach zawsze największy. Były uwikłania rodzinne decyzji. Znałem ludzi, którzy nie chcieli wyjeżdżać: mąż nie chciał, żona chciała. Decyzje wyjazdu powstawały wówczas niejednokrotnie na tej zasadzie, że ludzie nie chcieli się rozstawać i gdy jedna ze stron była już zdecydowana, to wygrywał w tym sporze ten, kto okazywał większy stopień uporów. Niejednokrotnie była to emigracja z nadzieją na poprawienie sobie warunków bytu, emigracja, która przypominała emigrację zarobkową. Takie wypadki też niewątpliwie były, ale nie one, myślę, stanowią charakterystykę tego, co się wówczas działo. Myślę, że byli również i tacy, którzy woleli stąd wyjechać, by w wypadku jakichś dużych przemian nie ponosić odpowiedzialności za rzeczy, które robili, będąc w aparacie władzy. Myślę, że niejedyn taki również wyjeżdżał. Ci ludzie często są tymi, którzy o Polsce i Polakach mówią w sposób, na jaki nie zasługujemy. Jak Państwo widzieli z tego, co mówiłem – jestem dość krytyczny wobec historii mojego narodu i wobec, niestety, również możliwości tego, co ludzie zbrodniczy, także Polacy, zrobić potrafią. Niemniej to, co pisze się o narodzie polskim na Zachodzie, jest czasem rzeczywiście niesprawiedliwe, niesprawiedliwe i bolące. Muszę powiedzieć, że mnie bardzo boli, gdy czasami czytam „narod szmalcowników”. To nie ja podejmowałem decyzje, więc to nie moja zasługa, ale moich rodziców, ale ostatecznie myśmy też, moja rodzina, brali jakiś udział w przechowywaniu Żydów – a nie w wydawaniu Żydów. Za co mnie się bije po twarzy dzisiaj? I innych, takich jak ja czy moi rodzice, krewni, przyjaciele, z których wielu to samo robiło. Za co się nas bije po twarzy? Tylko, proszę Państwa, myślę, że popaść w histerię w tej sprawie byłoby bardzo głupio. Niektórzy po prostu robią to w złej woli i bardzo często są to te same łobuzy, które wtedy po prostu w bezpiecie ludzi obrabiali. To



mówią zwykle antysemitom, dorzucając czasami do wstrętnej tendencji ten czy inny prawdziwy argument.

Zjawisko szmalcowania istniało, nie okłamujemy się, był to jednak margines, na szczęście. Ginęli w ten sposób nie tylko Żydzi, nie tylko ludzie pochodzenia żydowskiego, ale zginął również z powodu agentów gestapo komendant główny Armii Krajowej, ginęły całe oddziały, zdekonspirowane przez agentów gestapo, byłoby dziwne, gdyby tylko Żydzi nie ginęli wtedy, łatwi do rozpoznania.

Natomiast niejednokrotnie próbuje się nam wmówić w prasie, że Żydzi zajmują się na Zachodzie wyłącznie tym, żeby opluwać naród polski i kłamać na temat historii wojny. Właśnie oskarżając Polaków. Jest to zwykle kłamstwo. Akurat bardzo wielu uczonych żydowskich, na przykład Filip Friedman, więcej chyba zrobiło dla zrozumienia, jak to było u nas naprawdę, niż wiele, wiele innych prac Polaków „czystej krwi”. Między innymi to Filip Friedman zdobył ogromny materiał, że Polacy, którzy należeli do partii, do organizacji, do stowarzyszeń itd., mających antysemityzm w programie, i którzy, co więcej, byli bojowymi antysemitami w okresie międzywojennym, odegrali dużą rolę w ratowaniu Żydów polskich. To Filip Friedman akurat tę rzecz udokumentował. Nie jest to jedyne nazwisko, jeżeli chodzi o sprawę pomocy Żydom. Są to również uczeni pracujący tutaj, w Polsce. Pan prof. Datner, o ile wiem, poczuwa się do żydowskości; mało kto zrobił tyle dla wyjaśnienia, ile Polacy uczynili, by pomóc Żydom. Chyba jednego Bartoszewskiego można by porównać. Są to więc zwykle kłamstwa.

Jaki był stosunek społeczeństwa do emigracji pomarcowej? O tym można mówić nie na podstawie jakichkolwiek badań, tylko z własnych obserwacji. Antysemitom znajdowali tu dodatkowy argument. Często też była zazdrość, że jadą tam, gdzie jest lepiej. Tutaj byli często w partii i w aparacie, a teraz proszę, będzie im tam dobrze. Były to dosyć częste reakcje. Były też różne stopnie żalu za tymi, którzy wyjeżdżają, czasami wynikające z pryncypiów, czasami z osobistych przyjaźni. Towarzyszyło temu potępienie sprawców. W środowisku, w którym się obracałem, ta postawa przeważała, i dlatego może nie nadają się na obiektywnego referenta tych spraw. Pozostali ci, którzy albo czuli się i czują Polakami, a mieli mocniejsze nerwy, albo ci, którzy

nie mieli takich motywów do wyjazdu, jak np. małe dzieci; powiadali sobie po prostu: „Jestem u siebie, jestem Polakiem” lub „Jestem Żydem, ale jestem u siebie, bo tu moi przodkowie od wieków mieszkali”, lub wreszcie „Jestem częściowo Polakiem, a częściowo Żydem, i to jest mój kraj i moje miejsce, mam prawo tutaj się znajdować”. Ludzie, którzy ideologicznie poczuli się do syjonizmu, wyjechali już wcześniej, przed 1968 r. Nic nie stało temu na przeszkodzie, wyjeżdżali do kraju, który – jak uważali – będzie ich ojczyzną. Emigracja 1968 r. nie była natomiast emigracją syjonistyczną.

Wspomniałem o ludziach, którzy częściowo czują się Polakami, częściowo Żydami. Było to zjawisko częste dawniej, w okresie procesów asymilacyjnych, zaawansowanych i licznych, choć nie tak masowych, jakby sobie tego życzyli zwolennicy programu asymilacyjnego. Ale i dzisiaj nierzadkie jest zjawisko podwójnego poczucia narodowego. Muszę powiedzieć, że kiedy Gomułka mówił o dwóch ojczyznach (to nie to samo, co podwójne poczucie narodowe), było to jakby ktoś wałnął pałką w głowę. Powiedzieć w tym kraju, temu narodowi, który wydał Conrada, który wydał Marię Curie, że człowiek nie może mieć dwóch ojczyzn – jest to największa bzdura, jaką kiedykolwiek w Polsce z tak wysokiej trybuny powiedziano. W szczególności tyczy to również tych Żydów czy ludzi żydowskiego pochodzenia, którzy, czując się Polakami, nie stracili więzów uczuciowych z narodem, z którego wyszli. Gdybyśmy chcieli stać konsekwentnie na stanowisku sformułowanym przez Gomułkę, to musielibyśmy uznać, że łotrem jest każdy Polak w Stanach Zjednoczonych, który ma dwie ojczyzny i poczuwa się do lojalności nie tylko wobec narodu amerykańskiego, ale również i polskiego. Bardzo często są to ludzie, którzy zamerykanizowali się, sfrancuzieli czy zangliczeli, ale kochają nadal Polskę – i my się temu nie dziwimy, uważamy nawet, że jest to pozytywne zjawisko. Jedynie wobec Żydów niektórzy – na szczęście tylko niektórzy – uważają, że jest to złe.

Przejdźmy do faktów. Jaka jest szacunkowa liczba ludzi, którzy wyjechali? Otóż muszę powiedzieć, że miałem ogromne trudności ze zdobyciem informacji. Tych danych szukali dla mnie przyjaciele na Zachodzie. Szukałem ich również tutaj. W ambasadzie holenderskiej, która reprezentuje interesy Izraela w Polsce, odmówiono mi po prostu podania jakichkolwiek danych.

Powiedziano mi, że nie są zobowiązani udzielać tego rodzaju informacji. Rozmawiałem z ludźmi, którzy znają się na problemie. Szacują, że wyemigrowało ich około 18 tysięcy (ale to „około” jest tak wielkie, że trudno tę liczbę traktować jako godną zaufania; może być parę tysięcy mniej lub parę tysięcy więcej). Wielu z tych, którzy wyemigrowali, zajmuje dziś wybitne pozycje w życiu społecznym, naukowym, kulturalnym różnych krajów. Prof. Brus np., którego Uniwersytet Warszawski uznał za nie dość dobrego, by uczył studentów polskich, jest wykładowcą w Oksfordzie. Ponieśliśmy ogromne straty. Ale największe z nich to straty moralne. Stratą moralną jest m.in. i to, jak wyglądamy w oczach świata. Trudno wytłumaczyć cudzoziemcom, jak to jest, co jest antysemityzmem z góry, co antysemityzmem z dołu. Ludziom z Zachodu wszystko to płacze się w głowie i nie sposób niemal im tego wytłumaczyć. Czasami jednak się udaje. Wiem np., że Nina Karsow i Szymon Szechter mieli serię odczytów w Anglii i w krajach skandynawskich. Jeden z moich przyjaciół, który trafił przypadkiem gdzieś w Skandynawii na ich odczyt, powiedział, że oni potrafią coś z tego ludziom wytłumaczyć.

Większą szkodą moralną jest fakt, że takie wydarzenia nigdy nie pozostają bez śladu. Trucizny moralne mają to do siebie, że nie zawsze powodują śmierć czy nawet ciężką chorobę, nigdy jednak nie pozostają bez śladów. Jednym z tych śladów jest wedle mnie owa manifestacja na placu Na Rozdrożu 8 marca [1981 roku]: stara argumentacja, stare problemy, stare sposoby, stare chwytły itd. Tego rodzaju hasłami posługują się – jak sądzę – nie tylko starzy cynicy (choć przypuszczam, że oni przede wszystkim to robią), ale bardzo często również ludzie po prostu otumanieni, a przez otumanienie rozumieć nie tylko problem intelektualny, lecz również moralny; są to ludzie zatruci. W związku z tym uważam, że największą stratę ponieśli w 1968 r. nie Żydzi, ale Polacy, bo zatrucie moralne, choćby tylko częściowe, choćby nawet nie śmiertelne, jest jednak w życiu narodu czymś najniebezpieczniejszym, najgroźniejszym i tylko eksterminacja fizyczna narodu może być od tego gorsza.

■ **Jan Józef Lipski** (1926 – 1991) historyk literatury i krytyk, publicysta, działacz społeczny. Żołnierz AK i uczestnik Powstania Warszawskiego, ukończył polonistykę na UW; po 1956 brał aktywny udział w wielu niezależnych inicjatywach obywatelskich, stając się jedną z głównych postaci demokratycznej opozycji. Członek Komitetu Obrony Robotników, współzałożyciel i wykładowca Towarzystwa Kursów Naukowych, działacz „Solidarności”, po ogłoszeniu stanu wojennego uczestnik strajku w „Ursusie”, aresztowany, w związku z chorobą serca wypuszczony na operację do Wielkiej Brytanii, skąd powrócił w związku z przygotowywanym procesem członków KOR i został ponownie uwięziony. Inicjator odrodzenia Polskiej Partii Socjalistycznej, a po jej reaktywowaniu prezes Rady Naczelnej; od 1989 senator RP. Autor prac historycznoliterackich, opracowań historycznych (*KOR*, 1983), esejów (*Dwie ojczyzny – dwa patriotyzmy*, 1981), artykułów i recenzji.

## Adam Michnik

### Dziedzictwo Marca

Nie jest rzeczą łatwą ani prostą mówić na tematy historyczne dzisiaj, kiedy wszyscy mamy w głowie zupełnie co innego. Jeśli wszakże podejmuję taką krótką refleksję na sformułowany w tytule temat dziedzictwa Marca, to dlatego może, że jest to z mojej strony akt wiary w to, że – podobnie jak przez te wszystkie lata dzielące nas od Marca – inteligencja polska, w nader niesprzyjających warunkach, potrafiła w osobach swoich najwybitniejszych przedstawicieli zachować ciągłość refleksji umysłowej, która czyniła z naszej kultury fragment kultury europejskiej, z naszej refleksji fragment refleksji europejskiej. Tak samo i dzisiaj każdy z nas wedle swoich możliwości winien nie poddawać się psychicznie, duchowo temu, co zdaje się nas przytłaczać, i winien stawiać sobie wciąż pytania o przeszłość, które są zawsze pytaniami o tożsamość, o dzień dzisiejszy, a zatem i o przyszłość.

Pierwsza refleksja, jaka się nasuwa na temat dziedzictwa Marca, dziedzictwa ruchu studenckiego 1968 roku, jest taka oto, że porównując ruch studencki w Polsce z ruchem, który ogarnął w owym czasie kraje Europy Zachodniej oraz uniwersytety amerykańskie, mówić można o jednej cesze wspólnej i o wielu zasadniczych różnicach. Cecha wspólna byłaby taka, że ci wszyscy ludzie, którzy – głosząc wprawdzie różne idee i formułując różne hasła – wyszli wtedy na ulice w Warszawie, Paryżu, Oksfordzie, Berkeley, wiedzeni byli jednym zasadniczym dążeniem: mieli poczucie, że dopóki ten świat jest taki, jaki jest, to nie mają ochoty – żeby zacytować XIX-wiecznego poetę – umierać we własnym łóżku, i stawiali sobie pytanie, po co właściwie rano z tego łóżka wstawać do takiego świata. O ile jednak w Europie Zachodniej i w Ameryce ruch ewoluował w stronę form skrajnej lewicy, w stronę goszyzmu, nierzadko w stronę terroryzmu, o tyle w Polsce

to wszystko, co z tego ruchu zostało i okazało się trwałą jego kontynuacją, odrzucało pewien język, pewien zespół sloganów i formuł, i szukało nowego języka, zachowując przy tym troskę, która w Marcu wysuwała się na plan pierwszy, troskę – mówiąc najprościej – o poszerzenie sfery wolności ludzkich w państwie i w społeczeństwie.

Gdyby postawić sobie pytanie, co było w pierwszym momencie lekcją Marca dla całego społeczeństwa, to trzeba by posłużyć się dwiema formułami, które wtedy właśnie, w '68 roku, często były cytowane w dyskusjach polskiej inteligencji. Kiedy publicysta „Prawa i Życia” Tadeusz Kur swoim drapieżnym piórem demaskował nadużycia świeżo usuniętych z Uniwersytetu profesorów, to w skonfiskowanym artykule, bodaj na łamach „Polityki”, jeden z publicystów, kwestionując informacje, na których opierał się autor artykułu z „Prawa i Życia”, zatytułował swoją replikę *Kur wie lepiej*. I ów tytuł: *Kur wie lepiej* pozostał jako ta właśnie lekcja, ta nauuczka płynąca z wydarzeń marcowych. Ale w tym samym czasie, kiedy powtarzano ten tytuł, byli inni, którzy już wtedy mówili, że Polska jest takim dziwnym krajem, gdzie nie warto być świnią, że to po prostu się nie kalkuluje, i jeżeli zważyć na późniejsze kariery „marcowych rycerzy”, na ich intelektualne dokonania, na ich dorobek umysłowy czy pisarski, to powiedzieć trzeba, że istotnie w Polsce nie warto być świnią.

Wedle mego, bardzo subiektywnego, punktu widzenia – bo chcę się zastrzec na wstępie, że w refleksjach nad '68 rokiem nie jestem obiektywny i nie chciałbym nawet za takiego uchodzić, jestem przecież aktorem tych wydarzeń – '68 rok to niewątpliwie najważniejszy rok w mojej biografii, i to, co mówię, nie będzie chłodnym, akademickim wykładem, ale swego rodzaju świadectwem, świadectwem dziecięcia w starszym wieku, jak mawiał mój mistrz Antoni Słonimski. Otóż ja myślę, że Marzec był końcem i był początkiem. Był początkiem nowej świadomości i był końcem złudzeń. Złudzeń dwojakiego typu: z jednej strony końcem złudzeń lewicy październikowej, ludzi, którzy w '56 roku żywili przekonanie, że możliwy jest demokratyczny socjalizm pod światłym kierownictwem Władysława Gomułki; z drugiej zaś – końcem złudzeń aparatu, który uformował się w dwunastolecie gomułkowskim, dzielącym Październik od Marca, aparatu, który

wierzył w to, że formuła Gomułki, budująca władzę na autorytecie jednostki, jest wystarczająca. I w tym właśnie sensie skończył się świat zakłamanego języka, zakłamanego po obu stronach, świat fałszywej jedności w imię socjalizmu, w imię polskiej racji stanu. Bo w tym języku potrafili w owych latach porozumieć się wybitni politycy katolicy z kierownictwem partii i z liberalnymi profesorami, moimi profesorami z tego Uniwersytetu. I właśnie w '68 roku naga przemoc, brutalność policji, tej policji od pałek i tej orwellowskiej policji od myśli, doprowadziła do konfrontacji dwóch różnych racji stanu i dwóch różnych wizji socjalizmu. Racji stanu wstępującej elity władzy, która zrzucała właśnie wtedy w '68 roku niewygodny i uciążliwy bagaż tradycji demokratycznej, tradycji lewicowej i która zaczynała obficie czerpać z wzorów ideologicznych totalitarnego nacjonalizmu, oraz racji stanu demokratycznej inteligencji, zwłaszcza młodzieży studenckiej, która dosyć miała marazmu, dosyć miała postępującego rozziwu między ideą deklarowaną a praktyką realizowaną, i która na koniec dosyć miała milczenia wobec coraz to bardziej duszącego knebla cenzury i pętli coraz to silniej zaciskającej się na gardle narodowej kultury.

Skończyła się wtedy, wedle innej formuły, „mała stabilizacja”, zaczęła się „mała apokalipsa”. Właśnie mała. Na tyle mała, by ją przetrwać, na tyle apokalipsa, by ją przeżyć i przemyśleć. I kiedy myślę o marcowym dziedzictwie, to myślę o jego dwóch twarzach. Jedna twarz to dziedzictwo ideologiczne władzy. Dla władzy Marzec '68 roku jest ważną datą nie tylko dlatego, że w karierach obecnej elity partyjno-rządowej, która właśnie wtedy zdobywała kolejne szczeble na drabinie wiodącej do władzy, jest to data gwałtownych awansów. Proszę spojrzeć na życiorys naszego premiera, na życiorys pierwszego sekretarza i wicepremierów, wszyscy oni w '68 roku zrobili ogromny krok naprzód. Ta data jest zakłeta. Tej daty, tych wydarzeń kierownictwo nie chce zrewidować. Dlaczego? Chyba dlatego, że jest to data wspólna, data wspólnego udziału w świństwie. I dla kierownictwa partyjnego wyrzec się tradycji Marca, to wyrzec się tym samym anatemy rzuconej na polską myśl niepokorną, na odradzającą się właśnie wtedy polską tradycję antytotalitarną. Innymi słowy, wyrzec się tradycji Marca, to dla władzy wyrzec się własnej negatywnej tożsamości.

Kiedy dziś zastanawiamy się, jakie były wiodące cechy ideologii, która w Marcu objawiła się w całej swej okazałości, a która istniała już przecież wcześniej we fragmentach, w zarysach, w odłamkach (by wspomnieć choćby o tak zwanej grupie natolińskiej w 1956 r.), należy – rezygnując z całościowego wykładu (a wdzięczny byłby to temat dla badacza politycznej psychopatologii naszych czasów) – zwrócić uwagę przynajmniej na trzy konstytutywne cechy tego syndromu ideologicznego, który wtedy właśnie, w '68 roku, objawił się w sposób tak groźny i agresywny. Te cechy to autorytaryzm, populizm i ksenofobia. Był to państwowy autorytaryzm, o tyle osobliwy wszakże, że posłusznie dawał ucha instrukcjom obcego mocarstwa. Był to populizm chętnie odwołujący się do haseł egalitarnych, o tyle osobliwy wszakże, że w sklepach za żółtymi firankami rozpoznawał i umiał wysledzić sylwetki tych przywódców, którzy byli świeżo zdegradowani. Była to ksenofobia, o tyle wszakże dziwna, że w kraju podporządkowanym Rosji manifestowała się, wyłącznie niemal, jako nienawiść do Żydów.

Innymi słowy prawdziwie konstytutywną cechą tego syndromu ideologicznego, który w Marcu można było oglądać na łamach gazet, była jego nieautentyczność czy też – jeszcze inaczej mówiąc – jego nihilizm. Tadeusz Kroński przed wielu laty na pytanie, czy faszyzm był kontynuacją tradycji europejskiej, odpowiadał negatywnie. Myślę, że na pytanie, czy ów marcowy syndrom ideologiczny był kontynuacją jakiegokolwiek kanonu tradycji polskiej, również trzeba odpowiedzieć negatywnie. Nie była to bowiem, wbrew pozorom, kontynuacja szkoły politycznej Romana Dmowskiego, szkoły narodowej demokracji z początku XX wieku, choć nieraz za taką chciała uchodzić. Albowiem myśl polityczna narodowej demokracji – jakkolwiek byłoby się wobec niej krytycznym, a ów krytycyzm jest na przykład moim udziałem – była przecież myślą niepodległościową, była refleksją nad budową podmiotowości polskiego społeczeństwa. Ideologia ludzi Marca ze strony rządowej była ideologią nakierowaną jedynie na zniewolenie i na destrukcję. Dlatego ten syndrom nie miał swojego historycznego rozwinięcia w późniejszych latach. Jeśli dziś, po trzynastu latach, powraca w owej demonstracji na placu Na Rozdrożu, to powraca – aby użyć celnej formuły Karola Marksa – jako farsa, która jest żalonym powtórzeniem zdarzeń dramatycznych. Powraca



jako schizofreniczna wizja świata ludzi starych i przegranych, którzy szukają kompensacji, oraz ludzi młodych i niezdolnych, którzy szukają posady.

A jednak ten syndrom miał i swoje pozytywne skutki. I nie idzie mi tu li tylko o poszerzenie refleksji historycznej z zakresu najnowszej historii naszego kraju. Idzie mi raczej o nakierowanie, mimowolne choćby, polskiej refleksji na problematykę, która przez wiele lat ze stu powodów była ignorowana i pomijana. Idzie mi tutaj o problematykę normalnej świeckiej refleksji nad ciągłością polskiej tradycji historycznej, normalnej refleksji nad własnym miejscem w polskim procesie dziejowym, wreszcie normalnej refleksji nad problemem Rosji, nad problemem Niemiec, nad kwestią żydowską. Posłużę się przykładem. Jeśli w 1958 r. profesor Jerzy Szacki opublikował, świetną zresztą, książkę o Maurycym Mochnackim, to mógł nie wspominać w niej o stosunku Mochnackiego do Rosji. Nie było to zdumiewające dla czytelniczek opinii. Po '68 roku, po interwencji w Czechosłowacji, było to już niemożliwe. I nieprzypadkowo po '68 roku właśnie powstały w naszej literaturze takie książki, jak Mariana Brandysa *Koniec świata szwoleżerów*, Andrzeja Kijowskiego *Wieczór listopadowy*, Kazimierza Brandysa *Wariacje pocztowe* czy książki pani profesor Marii Janion o romantyzmie. Wszystkie te dokonania – a można by mnożyć i autorów, i tytuły – są, jak się zdaje, próbą nowego odczytania naszej historii. Tę historię po raz pierwszy po 1945 roku w polskiej kulturze oficjalnej odczytuje – by zacytować poetę – „syn podbitego narodu”, ale i „syn niepodległej pieśni”. I po raz pierwszy odczytuje tę historię, stawiając jej nowe pytania, polski intelektualista, który nie pamięta już Polski innej, Polski niekomunistycznej. A różne to były pytania i różne to były interpretacje.

Te pytania i te interpretacje poprzedziło totalne zakwestionowanie sfery języka. Języka władzy, języka propagandy, tej oficjalnej nowomowy, a także języka potocznej refleksji. Ten stary język przedmarcowy spłonął wraz z gazetami, które palili studenci. Albowiem kiedy studenci, skandując hasło „Prasa kłamie!”, palili gazety wypełnione kłamstwem plugawym i agresywnym, to wtedy właśnie opinia publiczna, jak się wydaje, na nowo odczytywała, na nowo i głębiej uświadamiała sobie sens elementarnych słów i fundamentalnych wartości. Kończył się bowiem – powtórzmy to – czas „małej stabilizacji”, zaczynała się epoka „małej apokalipsy”.

W tym świecie „małej apokalipsy” trzeba było siebie na nowo odszukać, po to, by móc siebie, swą autentyczność, swą duszę ocalić. Spisując biografię duchową Tadeusza Borowskiego, dwudziestokilkuletni krytyk Andrzej Werner stawiał pytanie o sens faszyzmu dla swego pokolenia, pokolenia, któremu faszyzm najbrutalniej objawił się z płacht „Prawa i Życia”, „Walki Młodych” i innych pism, przemawiających wówczas językiem „Stürmmera” i językiem procesów moskiewskich. Pytanie o faszyzm naszych czasów stawiali młodzi poeci i młodzi krytycy: mój rówieśnik Barańczak w jednym ze swoich esejów szukał odpowiedzi na współczesny faszyzm w wierszach demaskujących język, w wierszach obnażających kłamstwo dnia codziennego, w wierszach trudnych i elitarnych, w wierszach Karpowicza, Wirpisy czy Białoszewskiego. Ryszard Krynicki konstatował, że faszyści zmieniają koszule, zaś Adam Zagajewski odmawiał podania ręki „temu człowiekowi”, a „ten człowiek” był faszystą. Refleksja nad faszyzmem, nad tym doświadczeniem, zaczęła wtedy – może bardziej niż przedtem, a na pewno inaczej niż przedtem – odgrywać niezwykle istotną rolę w naszym życiu umysłowym. O państwach faszystowskich pisał Wiktor Woroszyński; *Wartości i przemoc* to tytuł studium Anny Pawełczyńskiej o Oświęcimiu; *Chrześcijanin w Trzeciej Rzeszy* to bohater esejów Anny Morawskiej i Tadeusza Mazowieckiego. Szkic o destrukcji nadziei w świecie faszyzmu to temat powieści Bogdana Wojdowskiego *Chleb rzucony umarłym*. I tutaj tytuły i dyskusje można by mnożyć. Klemperer i Bertold Brecht, Dietrich Bonhoeffer i Tomasz Mann, Rauschning i Reck-Malleczewen – to nazwiska, które często powracają w eseistyce i publicystyce tego czasu.

Faszyzm dla dziedziców Marca nie jest tylko kostiumem historycznym. Jest również sposobem rozumienia samego siebie, odczytywania na nowo sensu własnego życia i własnego czasu. Jest inspiracją do refleksji o tym, jak samotny człowiek może stawić czoło totalitarnemu zagrożeniu. Zaś refleksja nad faszyzmem zespolona z obserwacją codzienności uczyła wtedy nowego rozumienia sensu tradycyjnych wartości demokracji mieszczańskiej i tradycyjnych wartości chrześcijańskiej etyki. Taki kierunek ewolucji na przykład można bardzo łatwo wyśledzić na łamach kwartalnika „Aneks”, świetnie redagowanego pisma pomarcowej emigracji. Podobny, choć w pewnym sensie odwrotny kierunek zmian w świadomości umysłowej ukazuje książka Boh-

dana Cywińskiego *Rodowody niepokornych*, świetny historyczny esej, który tłumaczy – rozwijając niektóre wątki publicystyki „Więzi” czy „Tygodnika Powszechnego” – wartości chrześcijańskie na język lewicy społecznej, a wartości lewicy społecznej na język chrześcijaństwa. Przekroczenie kredowych kół, dzielących Polaka–radykała od Polaka–katolika, to, jak mi się wydaje, jedna z najcenniejszych wartości pomarcowego dziedzictwa. Chrześcijaństwo jako system transcendentnych wartości i Kościół katolicki jako wartości tych opoka i depozytariusz w świecie totalnej dyktatury zaczęły jawić się różnym ludziom – często od Kościoła odległym, by nie rzec, mu wrogim – w nowym świetle, zaś tradycja jako źródło ludzkiej oraz polskiej nadziei – to temat bardzo ważnych dla tamtej pomarcowej epoki esejów historycznych Wojciecha Karpińskiego i Marcina Króla, esejów o „stańczykach” krakowskich i margrabim Wielopolskim, o Henryku Rzewuskim i Henryku Kamieńskim, o Kucharzewskim i o Tocqueville’u. Spór o historię jawi się – bardzo rzecz upraszczając – jako rozpisany w dziejach konflikt myśli wolnej i niepodległej ze światem zniewolenia umysłowego, z myślą dogmatyczną, „myślą zaprzeczną”. I pozytywnym układem odniesienia stają się ci właśnie, którzy szanują organiczną tkankę narodowego bytu, jedyny gwarant ciągłości historycznej narodu w epoce burzliwych, trwających przez cały XIX wiek, gwałtownych przeobrażeń. Zwieńczeniem tych organicznych działań, rozpisanych na role we wszystkich niemal zaborach i we wszystkich epokach, miało się stać w czasach rozbiorowych odzyskanie niepodległości w 1918 r. Przeciw takiej problematyzacji polskiej historii protestował świetny krytyk tego pokolenia Tomasz Burek, przeciwstawiając kultowi Polski Anno Domini 1918 – owej, jak powiadał, Polski „kochajmy się” – swoją wizję Polski 1905 roku, Polski autentycznych konfliktów społecznych i ostrych napięć intelektualnych. Początek XX wieku przykuwał uwagę. Ten czas, czas rodzenia się nowoczesnej kultury polskiej i nowoczesnej polityki polskiej, czas Piłsudskiego i Dmowskiego, Róży Luksemburg i Witosa, czas Wyspiańskiego i Żeromskiego, Brzozowskiego i Boya, czas narodzin nowoczesnej polskiej podmiotowości, ten czas fascynował wszystkich. Tam właśnie nieprzypadkowo szukano inspiracji i wzorów dla działań późniejszych, które nazwać można refleksją nad budowaniem niezależnych od władz instytucji, refleksją nad budowa-

niem nowej formuły społecznych zachowań w obliczu totalitarnej dyktatury.

Psychiczny rozbrat ze światem oficjalnych struktur czynił owych intelektualnych dysydentów tamtych czasów bezbronnymi; duchowy i intelektualny dom trzeba było stwarzać sobie samemu, choć nie od zera, lecz to, co istniało, trzeba było umieć samemu odnaleźć. Niedawno wyświetlany film Janusza Kijowskiego *Kung-fu* opisuje, w moim przekonaniu bardzo charakterystyczną, cechę tego dziedzictwa i tego pokolenia. Ten nowy duchowy dom budowano rozmaicie i budowali go rozmaici ludzie, z różnych środowisk, o różnych tradycjach i różnych temperamentach, i szukali w różnych miejscach – jedni w psychoterapii, drudzy w historii, jedni w poezji lingwistycznej, drudzy w nowej lewicy. Rozmaicie więc budowano, lecz – jak mi się wydaje – obowiązywała w tym pokoleniu marcowych dziedziców pewna osobliwa pokoleniowa lojalność i solidarność. Film Kijowskiego pokazuje to bardzo precyzyjnie. I kiedy budowano ten dom, to wyłaniały się z wolna przed oczyma ludzi, którzy wyszli z Marca, cienie zapomnianych przodków: insurekcyjistów i spiskowców, rzeczników ugody i rzeczników pracy organicznej. Powracały w rozmowach, w polemikach, przekłète polskie pytania o powstania narodowe i wallenrodyzm, o Rosję i o Niemcy, o kompromis i o świadectwo, o romantyzm i o realizm. Jedno i drugie próbowano nazwać, odczytać, zrozumieć na nowo. Z romantyzmu – można chyba zaryzykować taką tezę – czerpano przekonanie o potrzebie świadectwa. Realizm pozwalał przyoblec to świadectwo w instytucjonalny kształt i wydaje mi się, że wtedy właśnie wypracowana została owa zasadnicza mądrość, głosząca – aby użyć formuły Jacka Kuronia – że jest czas dawania świadectwa i czas politykowania. Wydaje mi się, że ruch niezależnych instytucji w następnych latach – to wynik tamtych refleksji, tamtych sporów, najistotniejszy być może efekt tamtego marcowego dziedzictwa.

Wydarzeniom marcowym '68 roku w Polsce towarzyszyła Czechosłowacja, praska wiosna; i pamięć o 1968 roku nie może być dla nas pamięcią po prostu o tym, co wydarzyło się w Polsce. To również pamięć – dziś trzeba to powiedzieć głośno – o narodowej hańbie, jaką był udział wojsk polskich w okupacji Czechosłowacji. To także pamięć o czeskich przyjaciółach, którzy nas, Polaków, kopanych wtedy, bronili w swoich gazetach, słowem mó-

wionym i pisanym, i którzy za to zapłacili. Może dlatego dzisiaj właśnie ja czuję się w obowiązku tu, z tego miejsca, dopóki jeszcze mogę, upomnieć się – wierzę, że nie tylko we własnym imieniu – o przyjaciela Polski uwięzionego w Czechosłowacji, o znakomitego pisarza i eseistę Vaclava Havla, i tu, z tego miejsca powiedzieć, że Havel nie jest sam, że ma wśród nas przyjaciół. Pamięć o '68 roku to również pamięć o tragicznym końcu praskiej wiosny, o zasadniczych przyczynach ówczesnej tragedii. I dlatego, świadomi tamtych doświadczeń, dziś chcemy i szukamy kompromisu, postępujemy z umiarem, powodujemy się rozważą. Ale dlatego też, w imię tejże rozważgi i tego kompromisu, wszyscy winni wiedzieć i rozumieć, że naszej wolności, tak drogo okupionej, nie oddamy i będziemy bronić za wszelką cenę.

Nie lubię patosu, lepiej czuję się, operując ironią i żartem. Dziś jednak, w chwili tak trudnej dla nas wszystkich, kiedy wazą się losy naszego kraju, pozwólcie mi na tyk patosu, na cytaty z wiersza, który wydaje mi się – może na dzisiaj przynajmniej – summa, pointą marcowego dziedzictwa, na cytaty z wiersza Kazimierza Wierzyńskiego:

*Powstaje dramat – żywy. Okopcie kurhany  
I żywi na kurhanach, na okopach stańcie.  
Naprawdę dokonywa się świat rymowany,  
Biją polskie zegary kurant po kurancie.  
Naprawdę idzie pożar. Na ściany się wdrze  
Gęstą luną, co wszystko z tych murów pościera  
Oprócz krwi zapisanej na waszej katedrze:  
Że tym się tylko żyje, za co się umiera.*

■ **Adam Michnik** (ur. 1946), działacz polityczny, historyk, publicysta. Jako student Wydziału Historii UW, w 1965 zawieszony za demonstrowanie solidarności z uwięzionymi autorami *Listu otwartego do członków partii* – Kurokiem i Modzelewskim, a w 1966 za wypowiedzi na spotkaniu z Leszkiem Kołakowskim; w 1968 relegowany, później aresztowany i skazany na 3 lata więzienia. Po zwolnieniu w 1969 na mocy amnestii przez 2 lata pracował jako robotnik w Zakładach im. Róży Luksem-

burg; studia historyczne ukończył jako ekstern na UAM w Poznaniu. Członek Komitetu Obrony Robotników, członek i wykładowca Towarzystwa Kursów Naukowych, współpracownik pism wydawanych poza cenzurą („Biuletyn Informacyjny”, „Zapis”, „Krytyka”) i wydawnictw drugiego obiegu, od 1980 doradca „Solidarności”. W stanie wojennym internowany, 1982 – 1984 i 1985 – 1986 więziony; uczestnik obrad Okrągłego Stołu, od 1989 redaktor naczelny „Gazety Wyborczej”. Autor esejów politycznych i historycznych (*Kościół, lewica, dialog*, 1977; *Szanse polskiej demokracji*, 1984; *Z dziejów honoru w Polsce*, 1985; *Polskie pytania*, 1987; *Takie czasy... Rzecz o kompromisie*, 1995; *Wściekłość i wstyd*, 2005; *W poszukiwaniu utraconego sensu*, 2007).

## Krzysztof Wolicki

### Dziedzictwo Marca

**N**o cóż, ja, będę musiał prosić Państwa na początek o zmianę nastroju. Przypadła mi taka dola, że muszę mówić o brzydszej stronie dziedzictwa Marca. Nie mam do zacytowania żadnej literatury. Mówiąc o okresach kryzysowych, chciałoby się móc zacytować wyniki prac naukowych. Tak to jednak jest z kryzysami, że na ogół można mówić tylko o swoich intuicjach na temat tego, co się działo, a nauka, która nam powinna pomóc, np. socjologia, niewiele w gruncie rzeczy na ten temat wie. A niewiele wie z tego prostego powodu, że w okresach kryzysowych ludzie sami nie wiedzą, jak się zachowają jutro, ani sami nie wiedzą, jak się zachowają za chwilę, a nawet nie pojmują, że się tak właśnie zachować mogli, toteż kiedy ankieter pyta o ich poglądy i ewentualne zachowania, często nieświadomie odpowiadają nieprawdziwie. Może więc to, co powiem o moim rozumieniu Marca, powinno się opierać na tekstach literackich, na analizach, intuicjach literackich? Nie ma takich intuicji. Nasza literatura o Marcu jest w tym znaczeniu pusta. Prawie pusta.

Będę mówił o tym, czym był kryzys marcowy dla władzy, dla strony rządzącej. Muszę się zatem cofnąć paroma zdaniem raz jeszcze do roku 1956, żeby określić możliwie najkrócej, jaką to szansę zmarnowano w tym roku. Zmarnowano szansę znalezienia polskiego socjalizmu. Rozwiązania nie tyle problemu, czy ten ustrój jest reformowalny – bo to pytanie wydaje się dość absurdalne – ile problemu, czy ten ustrój jest do pogodzenia z wartościami tej kultury w tym kraju. Z wartościami kultury, to znaczy z tradycją, z historią, z tym, w co ludzie wierzą, co ludzie myślą, czego ludzie chcą. To było pytanie '56 roku. Nie były to dwa pytania oddzielne: z jednej strony, czy można wywalczyć suwerenność i załatwić sprawy narodowe, i z drugiej, czy można budować wolnościowy ustrój sprawiedliwości społecznej. To nie były dwa

pytania, jedno – powiedzmy sobie, już tak po chamsku upraszczając – prawe, a drugie lewe. Jedno narodowe, a drugie robotnicze. Nie, to było jedno, łączne pytanie. To pytanie rozbrzmiało w momencie, kiedy przekształcał się obowiązujący wówczas model obozu zwanego obozem socjalistycznym. Ów model oparty był, jak Państwo wiecie, na zasadzie imitacji. Ale zasada imitacji wsparta była o zasadę nieustannej ingerencji. Składały się na nią, po pierwsze, przynależność ideologiczna, owa, powiedzmy sobie, kominternowsko–kominformowska zasada, że to, co jest dobre dla rewolucji światowej, jest dobre dla Związku Radzieckiego, a zwłaszcza vice versa, oraz, po drugie, metoda ingerencji kadrowej, bezpośredniego nadzoru, którego symbolem stała się w Październiku postać marszałka Konstantego Rokossowskiego. Dopiero dzięki tej nieustannej podwójnej ingerencji zasada imitacji w ogóle cośkolwiek gwarantowała obozowemu centrum. Proszę zwrócić uwagę na fakt historyczny powszechnie znany, a przecież bardzo dobitny, że wówczas, kiedy owa ingerencja funkcjonowała źle i funkcjonować przestała, wówczas zasada imitacji żadnych interesów ochronić nie mogła – jest to casus Chin Ludowych. Ten więc model obozowej konstrukcji załamywał się, przeżywał swój kryzys, zaczynał go przeżywać i w związku z tym Polska miała dodatkową szansę. Dużą szansę. I ta szansa została do cna zmarnowana. Bo, aczkolwiek słusznie tutaj mówił na początku sesji Jacek Kuroń, że nie wszystko z Października zostało zmarnowane, to jednak trzeba powiedzieć, że ta szansa zmarnowana została kompletnie. Będzie sprawą historyków, na dużo tomów i długie lata, aby rozliczyć wszystkich, którzy tę szansę zmarnowali. Chciałbym powiedzieć, że to nie tylko Gomułka ją zmarnował. Nie tylko rządzący ją zmarnowali i nie tylko jedna frakcja wśród rządzących. Za zmarnowanie tej szansy ponosi odpowiedzialność równie dobrze Natolin, jak grupa na Puławskiej. Ponoszą ją również rewizjoniści, którzy wprawdzie oddzielali się wtedy, aż wreszcie oddzielili się całkowicie, od rządzącej warstwy, klasy czy grupy, jak chcecie, ale którzy w tym odłączeniu się nie umieli przejść ku społeczeństwu, tylko przechodzili na ogół do wieży z kości słoniowej swoich poszczególnych zajęć, specjalizacji, bardzo intelektualnych, bardzo inteligentnych. W każdym razie zmarnowanie tej szansy postawiło władzę w latach 60. w sytuacji specyficznego paraliżu, zamrożenia, w którym wła-



dza ta nie mogła rozwiązać podwójnego, a palącego problemu rządzenia. Pierwszym takim problemem był problem odblokowania mechanizmów, które stopniowo wyhamowywały wszelki rozpęd ekonomiczny kraju i które stopniowo zamykały skutecznie wszelkie szanse dalszego awansu zbiorowego klas ludowych. Drugim takim problemem był problem zapewnienia sobie, mimo tamtej blokady, przynajmniej właściwej rekrutacji, dopływu nowych kadr do rządzącej elity. Słowo „elita”, jak Państwo rozumieją, jest tu użyte bez wartościowania.

Na to podwójne zadanie rządzący starali się odpowiedzieć w sposób rozmaity, ale każda ich odpowiedź nacechowana była fikcyjnością, ponieważ u podłoża tkwiła właśnie owa zdrada największej październikowej szansy, cofnięcie się przed wielkim skokiem. Nie będę wyliczał, bo o tym już trochę była mowa, i zresztą nie należy to bezpośrednio do tematu, jakie to różne propozycje rozwiązań małych i dużych były wtedy w sferach rządzących wysuwane. Były najrozmaitsze szkoły. Byli więc np. technokraci, którzy zwłaszcza lubili operować w gronie młodzieży akademickiej związanej z ZMS-em. Dzisiejszy członek biura politycznego Olszowski był w pewnym sensie eksponentem tej grupy. Były najrozmaitsze inne szkoły i koterie, ale była przede wszystkim grupa związana z Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego, nazywającym się już Ministerstwem Spraw Wewnętrznych. Wypada podkreślić ten właśnie związek, nim jeszcze wspomnimy o ideologii tej grupy, do której się zwykło przywiązywać nadmierną wagę. Ścisły związek z policją przesądzał bowiem o specyficznym sposobie realizowania i pojmowania działań społecznych. MSW dysponowało techniką, co zresztą zrozumiało w związku z jego „specjalizacją zawodową”, techniką małej zdyscyplinowanej grupy. Dysponowało także dobrze rozwiniętą techniką komunikacji, ściśle od nadawcy do odbiorcy, zatem komunikacji nierozchodzącej się na boki, niełatwej do rozszyfrowania. Dysponowało dalej zasadą i możliwością działań poufnych, skrytych. Wprawdzie mówił tutaj Jerzy Jedlicki, że nie należy ulegać policyjno-spiskowej wizji historii, ale wierzcie, Państwo, że z dużym trudem przychodzi to nieuleganie komuś, kto mówi o Marcu widzianym od strony władzy. Działania grupy moczarowskiej były zaplanowane w sposób niezwykle precyzyjny, zdumiewająco precyzyjny. Obecny dyrektor akademii

milicyjnej, profesor doktor Tadeusz Walichnowski, rozpoczął przecież swoją karierę zawodową jako twórca pierwszego w Polsce banku danych. Nie tylko polskim, ale chyba nawet amerykańskim informatykom jeszcze się nie śniło o tej koncepcji, a MSW już miało bank danych, przy czym bank danych, wbrew naiwnym poglądom, nie obejmował tylko towarzyszy syjonistów czy też, jak mawiano delikatniej, ludzi „niewłaściwego pochodzenia”. Obejmował również zbliżone do nich kręgi takich, którzy syjonistami być mogą, albo takich, których syjoniści zwerbować ewentualnie potrafią, albo też i takich, których ewentualnością wpisu na taką listę można postraszyć. Montowano – żeby Państwa po tak podniosłych chwilach nieco rozweselić – montowano całe afery. Na przykład, czy Państwo wiecie, jak ówczesny premier Józef Cyrankiewicz został wyprowadzony na syjonistę? Chyba nie. Otóż premier Józef Cyrankiewicz miał podobno ciotkę w Krakowie. Ciotka była zupełnie nieznośna i nic więcej o niej nie wiadomo. Ciotka siedziała na emeryturze w Krakowie i zatruwała życie wszystkim krakowskim działaczom, ciągle miała o coś pretensje. Ale że wyrobiła sobie opinię, iż jest ciotką premiera, więc wszyscy w Krakowie ciotki się bali. Kiedy jednak podchodziło do Marca, ktoś wpadł na genialny pomysł i zauważył, że zapewne ta domniemana ciotka premiera jest jednocześnie kuzynką Drobnera; no bo ciotką Drobnera być by już nie mogła – Drobner był zbyt stary – więc zapewne kuzynką Drobnera. Hyr poszedł o tym do Warszawy; jest więc w Krakowie ciotka syjonistka. A w Warszawie wieść puszczono na amplifikatory i w różnych organizacjach partyjnych, na różnych zebraniach partyjnych, jakie się odbywały w ‘68 roku, fakt złej przynależności rasowej premiera Cyrankiewicza był podawany już jako fakt niewątpliwy, udokumentowany ową ciotką ze Zwierzyńca w Krakowie, o której zrazu nie było przecież nawet jasne, czyją jest ciotką. To nie była plotka po prostu, to nie było po prostu ludzkie gadanie. To było gadanie sterowane, precyzyjnie sterowane i nie była to oczywiście jedyna operacja tego rodzaju.

Długo można by też opowiadać – ale to powinni już zrobić historycy PZPR – w jaki sposób ówczesne gomułkowskie kierownictwo PZPR było odcinane od wszelkich źródeł informacji niekontrolowanych przez tzw. frakcję moczarską. Dzisiejszy kierownik wydziału ideologii, to tak się chyba na-

zywa, Walery Namiotkiewicz, sekretarz, kierownik sekretariatu Władysława Gomułki i bardzo prominentny członek owejże frakcji, dbał już o to, aby do Gomułki nie dochodziły pisma, które dojść nie powinny. Cóż, to są anegdotki, które ja tu opowiadam, ale proszę układać sobie z tych anegdotek mozaikę; uprzedziłem, że nieudolnie staram się zastępować literaturę, której nie ma. A więc, proszę Państwa, trudno w to uwierzyć, ale w tych marcowych i pomarcowych miesiącach '68 roku, ludzie, którzy próbowali dotrzeć do Władysława Gomułki z najrozmaitszymi skargami, przeważnie osobistymi – ale nie tylko, bo były tam różne memoriały starych komunistów przerażonych wydarzeniami – znaleźli wreszcie taką osobę, jedną z ostatnich, która tam została nie pod kontrolą owej frakcji, osobistą sekretarkę Władysława Gomułki, i nocami – nocami, proszę Państwa – osoba ta wychodziła pod Muzeum Narodowe, z drugiej strony KC, i po cichu, w konspiracji przyjmowała pisma dla pierwszego sekretarza. Co zresztą zostało odkryte, zdemaskowane i wykorzystane do poinformowania całego miasta, o tym że... towarzysz Gomułka uprawia nierząd. Tak. To były takie metody gry. Dlaczego o tym mówię? Teraz może chwileczkę na poważnie.

Ta frakcja szukała, ona również, sposobu – zastępczego, fałszywego, ale jednak sposobu – rozwiązania przynajmniej części owych problemów porzuconych, nierozwiązanych w Październiku. W tym czasie zamrożenia wszyscy w ogóle patrzyli w przeszłość. Nie należy sobie wyobrażać, że dlatego, iż fałszowano tradycję, to właśnie nie patrzono w przeszłość. Przeciwnie, wszyscy patrzyli w przeszłość i starali się w niej znajdować to, co odpowiadało ich interesom. Również moczarowcy – świadomi już, że głównego zadania Października, prawdziwego pogodzenia socjalizmu z polską kulturą, nie podejmą i nie rozwiążą, ale świadomi również, że pozorowanie takich działań bardzo by im w walce o władzę pomogło. Jeśli nie umie się jednak prawdziwie pogodzić socjalizmu z kulturą narodową, to nie znaczy wcale, by nie można spróbować pogodzenia z kulturą... okrojoną. Okrojoną o całe połaci czasu, o wiele wymiarów. Przypomnę, nie całkiem dla żartu, tak kultywowany w latach 60. mit epoki prapiastowskiej. Była to oczywiście wygodna epoka, epoka ziem zachodnich, a bez ziem wschodnich, epoka bez Żydów i bez literatów... Otóż, nie wdając się w nazbyt ryzykowne socjo-psychologizowanie, trzeba

chyba podkreślić, że to okrawanie tradycji, kultury, jej pluralizmów i jej wartości nie może się odbywać bez regresu własnego: własnego jako indywidualnej psychiki i jako grupowej obyczajowości. Wyglądało na to – i rzeczywiście przy powierzchownej obserwacji mogło tak wyglądać – jak gdyby to nieuleczalny Cham ścigał do swego poziomu kulturę Kordianów. A w istocie to znaczna część rządzącego establishmentu i jego narybku, tzw. młodych wilków, po utracie czy też po zrzeczeniu się swego udziału i swego dorobku w tej nieokiełzanej i nie do okiełznania kulturze narodowej – dokonywała własnego regresu. Następowало więc cofanie się od pewnego poziomu intelektualnych osiągnięć, od pewnego świata wartości, tam, gdzie człowiek normalnie się cofa, gdy traci wiarę, ideę i dojrzałość kulturową. Dokąd cofa się taki człowiek, proszę Państwa? Cofa się do tego, co Niemcy nazywają pokojem dziecięcym, do Kinderstube. I otóż ci ludzie na ogół nie mogli się tam właśnie cofnąć. Nie jest to ironia. Ci ludzie pochodzili – są takie badania, wprawdzie fragmentaryczne, ale dość wymowne – ci ludzie na ogół pochodzili z bardzo specyficznego środowiska, ze środowiska małych miast i miasteczek, w dużej mierze Mazowsza i okolic, ale również dawnego województwa kieleckiego, łódzkiego (to były główne tereny rekrutacji), po trosze lubelskiego. Małych miasteczek. Nie mówię tego, aby małym miasteczkom okazać lekceważenie. Chcę tylko zwrócić uwagę, że były to właśnie te tereny w Polsce, w których tradycyjna kultura i obyczajowość uległy wskutek wojny i powojennego dwudziestolecia najgłębszej erozji.

Tam nie było się dokąd cofać. Jest to chyba element w biografii tej władzy ciągle jeszcze niedoceniany. Cofając się, znajdowała już tylko okruchy zupełnie niezborne, strzępy: z ksenofobicznych odruchów, z głuchych zawiści, z niegdyś zaznanych krzywd i równie niezasłużonych szczęśliwych wydarzeń, których racjonalizacje, z trudem pozyskane, znów się gdzieś zagubiły. Cofając się tam, gdzie zwykliśmy się cofać, szukając ostatnich pewności i oczywistości pierwszych, znajdowali krajobrazy po burzy, łapance i przeprowadzkach – usłane śmieciem. To, co najgorsze. Wszystko to wiąże się po trosze z historią okupacji, zagładą Żydów, wyniszczeniem miast, szmuglem, szabrem – ale nie zagłębiajmy się już w to. Faktem jest, że kiedy w Marcu '68 rozpoczął się atak, grupa ludzi, która ten atak prowadziła, nie dysponowała

już nie tylko obyczajowością – bo o ideologii i wierze szkoda mówić – ale nawet obyczajnością. Znowu anegdota. Nie wymienię tym razem nazwiska – jest to nazwisko, które należy do człowieka żyjącego, piastującego dość wysokie stanowisko, a zachowującego się tak, że nie chciałbym mu szkodzić. Jest to coś, co mówił ów człowiek w roku '68, kiedy opowiadał, jak chciano go włączyć do frakcji moczarskiej i dlaczego on na to nie poszedł. Mówił jako polityk: „Wiesz, ja bym może i na to poszedł. Oni są na fali wznoszącej, ale ja sobie pomyślałem, że musiałbym nie tylko z nimi grać. Musiałbym do tego z nimi żyć. Musiałbym z tymi ludźmi pić, chodzić z nimi na te same dziwki, jeździć z nimi do tych samych daczy na Mazurach. Ja bym tego nie wytrzymał”. Proszę Państwa, to są takie drobne, nieważne oczywiście w wielkich, historycznych skalach, nieważne rysy. A dość dużo mówią. Dość dużo mówią o tym, kto wykonał atak marcowy.

I chciałbym teraz powiedzieć – rzecz oczywiście do dyskusji, a mam nadzieję, że znajdą się dyskutanci i oponenti – iż wbrew temu, co tutaj było mówione, że ta grupa niewiele wygrała, że ta grupa wygrała Marzec. To ona wygrała Marzec. Na skutek dość specyficznych okoliczności historycznych tego roku 1968 nie mogła swego zwycięstwa doprowadzić do końca kadrowo, ale wygrała Marzec w tym sensie, że jej postawa myślowa w Marcu zwyciężyła. Stała się ona – o czym wspomniał już tutaj przed chwilą Michnik – postawą dominującą w aparacie władzy, w kaście rządzącej.

Zmianę, jaka następuje po roku 1970, można rozumieć jako próbę nadbudowania na tym niezachęcającym fundamencie wyzutej ze wszelkich złudzeń warstwy rządzącej, nadbudowania czegoś, co nadbudować trzeba, bo tak rządzić po prostu nie można. I wtedy na pomoc temu myśleniu i tej postawie przychodzi coś, co jest już wtedy od dziesięciu lat nazywane technokracją i technokratyzmem i co cieszy się u nas na skutek pewnych legend z lat 60. ulgową taryfą. Muszę Państwu powiedzieć, że uważam to myślenie technokratyczne lat 60. za chyba najbardziej szkodliwą postawą intelektualną w Polsce, ponieważ wytworzyła ona złudzenie, jakoby można było i należało być technokratą, człowiekiem sprawnej pracy i dużej wiedzy zawodowej, wszystko jedno w jakich okolicznościach. Że to się zawsze przydaje. Zapomniano o paru faktach bardzo prostych: mianowicie że technokracja funk-

cjonująca dobrze jest technokracją, która jest oceniana według bardzo precyzyjnych wartościowań. Technokrata zachodni, żeby mówić bardzo skrótowo, manager zachodniego koncernu jest oceniany według ilości dolarów, jakie jego przedsiębiorstwo zarabia. Jest to ocena prosta, jasna i wyrazista. Można się z nią zgadzać, można tę wartość wyznawać albo nie, ale ona jest sformułowana. Technokracja na usługach byle czego staje się byle czym. I tym właśnie stała się w Polsce. Ta domniemana wielka szansa, bo od początku lat 60. Tak przedstawiała siebie i tak była przedstawiana, tak więc ta domniemana druga szansa władzy i aparatu rządowego, rządzącego, okazała się, gdy już uzyskała taką możliwość po dojściu do władzy ekipy Gierka i Moczara, najzupełniej jałowa, choć może w trzyleciu triumfalnego bogacenia się na kredyt wielbiciele technokracji nie zdążyli tego zauważyć. Na fotografiach rodzinnych tamtych lat panowie Jan Szydłak i Stefan Olszowski przepychają się jeden przed drugim jako twórcy polskiego cudu gospodarczego, a „Polityka” lansuje wizję drugiej Polski domków rodzinnych i samochodów w ogródku, zapomnianych problemów, pogrzebanych konfliktów... A potem, po 1973, po 1974, została już tylko ucieczka do przodu. Zatem znów dziesięć lat straconych złudzeń. Czy władza się w tym czasie czegoś nauczyła? Wątpię. W każdym razie nie zdążono tego zauważyć. Władza wykazała tylko, w porównaniu z okresem poprzednim, pewien liberalizm. Tak. Chciałbym jednak, żebyście Państwo zauważyli, że ten liberalizm jest również wynikiem braku przekonania o własnych wartościach. To nie był liberalizm jako zbiór wartości. To był liberalizm jako nieobecność wartości.

Jednej rzeczy dokonano w latach 70. – nowej próby legitymizacji tej władzy. O tym, co Gomułka mógł być zrobić i czego nie zrobił – czyli polskiego socjalizmu, o tym, co moczarowcy w ‘68 roku udawali, że chcą zrobić – o socjalizmie po polsku, w latach 70. nawet nie mówiono. Tu kilka słów o sytuacji zewnętrznej. Układ imitacji został po kilkunastoletnich wahaniach zastąpiony w 1968 r. przez nową zasadę konstrukcyjną obozu, wyrażoną w doktrynie Breżniewa. Doktryna Breżniewa nie polega bowiem na postulowaniu imitacji. Tamta zasada w ogóle nie może już powrócić. Była bowiem zakorzeniona w przeświadczeniu o istnieniu wspólnego celu, wspólnego punktu dojścia, komunizmu, i z tej identyczności postulowanej

czepała swe uzasadnienie. Już Chruszczow zachował z tego wszystkiego jedynie wyścig ekonomiczny, a kiedy po odejściu Chruszczowa miejsce celu zajęła, jako naczelną wartość, systemowa konserwatywna zasada status quo – imitatywność straciła wszelkie oparcie. Jedynie w powierzchownej obserwacji rzecz ta umknąć może uwagi, gdyż konserwatyzm w doktrynie Breżniewa broni również zaciekle każdej istniejącej formy – ale jako formy właśnie istniejącej, a bynajmniej nie z naśladownictwa. Świętość status quo artykułuje się w doktrynie Breżniewa jako racja stanu, na dodatek rozumiana geopolitycznie, ponadhistorycznie. Zarazem jednak doktryna Breżniewa jest całkowicie pragmatyczna. Nawet nie tyle określa dopuszczalne granice wewnątrzobozowych odmienności, ile przepisuje, że ad hoc każdego ewentualnego obozowego incydentu granice te winny być negocjowane i to z zachowaniem, jako wartości najwyższej, racji stanu ZSRR, oraz z zachowaniem także, jako negocjatora po tej stronie, władzy komunistycznej. W tej doktrynie pomieszczono się w latach 70. I w tych ramach podjęto też kolejną próbę legitymizacji tej władzy w poprawkach do Konstytucji z lat 1975–1976. Prace nad poprawkami zainicjowano zresztą już w końcu lat 60., po kryzysach roku 1968 i proklamowaniu doktryny Breżniewa, a eksponentem tych tendencji był notabene Andrzej Werblan. Tak doszło do umieszczenia w Konstytucji PRL znanych zastrzeżeń o racji stanu Związku Radzieckiego, to znaczy geopolitycznej niezmienności sojuszków i o przewodniej roli partii w społeczeństwie budującym socjalizm (bo to dopiero w Gdańsku w sierpniu 1980 r. udało się to przewodzenie sprowadzić do kierowniczej roli w państwie, już bez społeczeństwa). W ten sposób dokończono drogę, która prowadzi od Lenina do takich konstytucji, drogę, gdzie najpierw jest krytyka wszystkich formalnych zapisów, papierków, postanowień i gwarancji – i gdzie u kresu są już wyłącznie papierkowe, wyłącznie formalne pseudogwarancje. Uchwalenie tej Konstytucji stało się początkiem nowej historii, ale ta historia już do Marca nie należy.

■ **Krzysztof Wolicki** (1925 – 2001), teoretyk i krytyk teatru, eseista, publicysta, tłumacz. Od schyłku lat 60. związany z opozycją demokratyczną, publikował artykuły i recenzje w pismach ukazujących się poza cenzurą, jako „Drużynowy Timur” był stałym współpracownikiem pisma „Głos”, członek i wykładowca Towarzystwa Kursów Naukowych, ogłaszał korespondencje w prasie francuskiej, w stanie wojennym ukrywał się, publikował w podziemiu, był aresztowany, następnie redagował podziemne pismo „Poglądy”, współpracował jako autor z paryską „Kulturą”, Radiem Wolna Europa i Głosem Ameryki. Autor książek *Wszystko jedno co o 19.30* (1969), *Gdzie jest teatr?* (1978), *Przeciw lamentowi i realizmowi na kacu* (1987).